Mroczne sekrety Koteckiej-Ziobro

Polska Partia Kibolska • Co powinna jeść prawica
Zamrożone elektryki • Meksykańska mafia na Podlasiu

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY 1

© SHUTTERSTOCK

TYGODNIK, nr 5 (3549), 28.01–3.02.2026

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Zimna wojna

Trump grozi i obraża, Europa się stawia

s. 4, 9, 10, 46, 49

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Wydanie w sprzedaży do 3.02.2026

ISSN 0032-3500

05>

9 770032 350602

epresa.pl f51a94433

ski team®

SKITEAM.PL | ROWERYCUBE.PL | SPYDER.PL

Sale!

NA ASORTYMENT ZIMOWY

Przygotuj się na ferie w Ski Team

od -15% do -50%

W TYM NAJNOWSZE KOLEKCJE
ODZIEŻY / BUTÓW / NART / DESEK / WIĄZAŃ

Promocja obowiązuje w sklepach stacjonarnych i na skiteam.pl

Sklepy stacjonarne Ski Team w Poznaniu, Wrocławiu i Katowicach są otwarte w najbliższą niedzielę (01.02.2026) w godzinach 12:00 - 18:00

Godziny otwarcia sklepów Poniedziałek - Sobota: 12:00 - 20:00

Warszawa: ul. KOR 36/38, ul. Toruńska 107b, Poznań: ul. Bułgarska 117a,
Katowice: ul. Sportowa 20, Wrocław: ul. Grabiszyńska 167

eprasa.pl f51a944834

© MAKSYMILIAN RIGAMONTI/FORUM

18
Pati azylantka

Temat tygodnia

10 Mateusz Mazzini
Trump kontra Europa

Polityka

14 Michał Danielewski
Kibole na salonach

18 Anna Dąbrowska
Pani Ziobro: kim jest i co robi Patrycja Kotecka

22 Wojciech Szacki
Druhowie Morawieckiego

Rozmowa Polityki

25 Dr **Damian Parol** o dietetycznych mitach i tym, jak nowa piramida żywieniowa stała się manifestem politycznym

Społeczeństwo

28 Ryszarda Socha
Przyroda chroni i broni

32 Dr **Dawid Myśliwiec** o sile algorytmów oraz metodach manipulacji i dezinformacji

35 Marcin Kołodziejczyk
Meksykanie na podlaskiej wsi, czyli narcos po polsku

38 Filip Zagończyk
Mieszkania treningowe – czym są i komu pomagają

Rynek

40 Adam Grzeszak
Jaka przyszłość czeka elektryki

43 Joanna Solska **Firmy polonijne, czyli jak się rodził polski kapitalizm**

Świat

46 Artur Domosławski KUBA
Kryzys i niepewność

49 Agnieszka Zagner STREFA GAZY
Riwiera z ruin?

52 Paweł Reszka UKRAINA
Pociąg z ciałami

Nauka/projektpulsar.pl

56 Edwin Bendyk ESEJ
Dokąd zmierzają młodzi cyfrowi

59 Tomasz Targański
Werner Heisenberg: fascynująca opowieść o granicach wiedzy i odpowiedzialności

64 Kamil Nadolski **Jak miasto zmienia nasze zdrowie i psychikę**

Historia

66 Rozmowa z dr. **Marcinem Rozmarynowskim** o pierwszych szkołach niepublicznych w III RP

70 Tomasz Czapla
Jak złamano szyfr Traugutta

73 PROSTO Z KSIĄŻKI

Kultura

78 Rozmowa z reż. **Katarzyną Minkowską**, laureatką Paszportu POLITYKI w kategorii Scena

82 Jakub Demiańczuk
Benny i Josh Safdie: artyści osobni

85 Reż. **Kaouther Ben Hania** o nominowanym do Oscara filmie „Głos Hind Rajab" i historii, która się za nim kryje

88 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

94–97
- **Świat Valentino**
- **Smart klocek**
- **Kto jest freaky**
- **Atrakcje Sycylii**
- **Dieta monotonna**

Stałe rubryki

- **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
- **12**, **92**, **98** Galeria POLITYKI
- **74** Afisz • **89** Agata Passent
- **90** Witkowski
- **91** Lis • **92** Mizerski
- **93** Do i od redakcji
- **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl f51a944834

Gra w Trumpa

Mariusz Janicki

W ostatnich dniach można było się przekonać, że prezydent Donald Trump stosuje – jak w przypadku sprawy Grenlandii – wypróbowaną metodę, która polega na eskalowaniu żądań do maksimum, a potem cofnięcie się o krok i zbieranie oklasków za to, że mogło być gorzej, a nie jest. W Polsce na takiej „dobroci" przez lata jechał Jarosław Kaczyński, który, jeśli tylko w swoim przemówieniu nikogo akurat jakoś bardzo nie obraził, mówiono, że był ugodowy i spokojny; ten chwyt wciąż działa. Oczywiście eskalacji ze strony Trumpa może być jeszcze wiele, choćby po to, aby ponownie skorzystać z efektu wielkiej ulgi. Ale i Europa stała się nieco odważniejsza, choć bez przesady, bo najsilniejszy sprzeciw wobec wizji Trumpa wyraził w świetnym przemówieniu premier Kanady Mark Carney. O konieczności ściślejszej współpracy średnich państw, aby zrównoważyć coraz wyraźniejszy dyktat mocarstw, powinni dobitnie mówić także europejscy oficjele (więcej na s. 10).

Widać też, że prezes Kaczyński, prezydent Nawrocki i ich środowisko stoją przed problemem rosnącej nieobliczalności prezydenta Trumpa, w którego PiS zainwestował praktycznie wszystkie aktywa, a partia stała się niemal politycznym zakładnikiem administracji USA. Teraz z niepokojem patrzy, co z tego wyniknie, a uwagi prezydenta USA o tym, że wojskowi sojusznicy podczas walk kryli się raczej na tyłach, wzbudziła protest nawet Kaczyńskiego, który dotąd unikał takich zdecydowanych opinii.

Trump wciąż jest w PiS pod specjalną ochroną, jego kolejne działania i przemowy są albo przemilczane, albo pokrętnie uzasadniane, ale piarowcy tej partii muszą wiedzieć, że jest gdzieś granica, po której przekroczeniu już mogą nie dać rady i popadną w śmieszność. Zwłaszcza że polska opinia publiczna, co pokazują badania, jest wobec amerykańskiego prezydenta w wielu kwestiach bardzo krytyczna. Na razie wykorzystywana jest znana metoda, wypróbowana w przypadku Viktora Orbána, czyli tłumaczenie, że polityk musi dbać o interesy swojego kraju, a poza tym Polska nie ma wyjścia i musi akceptować Trumpa takiego, jaki jest.

Ta narracja może sporo wytrzymać, ale nie wszystko. Nawrocki deklaruje „niezachwiane wsparcie dla prezydenta Trumpa". Mariusz Błaszczak znowu wezwał do budowania Fortu Trump i stwierdził, że „obawia się słabości Unii Europejskiej". Tego jednak, że PiS od dekad podważa jedność Unii, sprzeciwia się wspólnym decyzjom tej organizacji i zawzięcie walczy z „federastami", już nie powiedział, ale zarazem narzeka, że Unia niewiele może. Jest tak, ponieważ PiS i wiele podobnych partii w innych europejskich krajach robią wszystko, aby USA, Rosja i Chiny nie miały w Europie silnego, zjednoczonego partnera do negocjacji, tylko kilkadziesiąt państw, które nie mogą się dogadać i z tego powodu przestają być istotnym podmiotem w globalnej polityce.

Strona rządowa natomiast nie może zbyt krytykować Trumpa, bo zostanie oskarżona o szafowanie bezpieczeństwem kraju w imię ideologicznych niechęci do waszyngtońskiej administracji. W jakimś sensie korzystne dla rządu jest to, że to prezydent Nawrocki – co prawica i on sam nieustannie podkreślają – ma „świetne kontakty" z Trumpem, jest więc pierwszym zderzakiem w kontaktach z administracją i musi jakoś autoryzować amerykańskiego prezydenta. Ale Nawrocki z kolei ma to zabezpieczenie, że wszystkie twarde decyzje i zobowiązania, w tym finansowe, są domeną rządu, może więc odbijać piłkę.

Tak było w sprawie trumpowskiej Rady Pokoju, kiedy część prawicowych polityków twierdziła, że Nawrocki może sam podpisać akt założycielski tej nowej organizacji i akceptacja rządu i parlamentu nie jest mu potrzebna. Jednak prezydent, zapewne po gruntownej naradzie ze swoimi ludźmi w kancelarii, a może też po uzgodnieniach z Kaczyńskim, z którym się roboczo regularnie spotyka, doszedł do wniosku, że lepiej uznać, iż taka zgoda jest jednak wymagana, że istnieją „względy konstytucyjne".

Dlatego na razie akcesu nie podpisał, choć ogólnie popiera, „wyraził zainteresowanie" i podobno dostał zgodę od Trumpa, żeby na razie nie podpisywać się pod założycielskim dokumentem. Kaczyński uważa, że „powinniśmy tam być, a na uwagę, że może to oznaczać siedzenie przy jednym stole z Putinem, odpowiedział, że przecież „Putina tam nie będzie". Fakt, że Trump jednak zaprosił rosyjskiego dyktatora, nie ma dla prezesa PiS znaczenia, w ramach taktyki niezauważania kontrowersyjnych działań prezydenta USA. W razie czego będzie mógł obwinić Tuska, Sikorskiego i większość rządową o obstrukcję, a gdyby jednak także Tusk zgodził się na ten wynalazek Trumpa, to z kolei Nawrocki postara się to przedstawić jako swój osobisty sukces wynikający z jego pozycji i sprawczości.

Prawicowi publicyści już piszą, że Nawrocki ma tzw. sytuację win-win, ale oni zawsze tak twierdzą, wspomagani zresztą przez część komentatorów z liberalnych kręgów, zachwyconych nowym prezydentem. Przy tej obsadzie Białego Domu trzeba uważać, żeby nie ujawniła się inna, mniej popularna zasada lose-lose.

Obie strony polskiej polityki w kwestii Trumpa uważnie patrzą na siebie nawzajem i stąpają po kruchym lodzie. Każdy błąd może być politycznie kosztowny, bo amerykański prezydent budzi wielkie emocje na całym świecie, stał się ikoną osobliwej, turbopopulistycznej prawicy, ale jednocześnie trzyma klucze do globalnego bezpieczeństwa i cokolwiek by o nim sądzić – jest nie do zlekceważenia. Jest więc problemem zarówno dla przeciwników, jak i zwolenników. Dlatego „gra w Trumpa" to może być także w Polsce najważniejsza polityczna batalia tego roku.

eprasa.pl f51a944834

Sycylia w klasycznej odsłonie

Urokliwe miasta, antyczne świątynie, pomarańczowe gaje i majestatyczny wulkan Etna.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Katanii. Przejazd do Syrakuz, zakwaterowanie w hotelu. **Dz. 2** Syrakuzy – Caltagirone – Agrigento. Wycieczka po starożytnych Syrakuzach, przejazd do miasta ceramiki - Caltagirone, a następnie do doliny świątyń w Agrigento. **Dz. 3** Agrigento – Palermo. Spacer po stolicy Sycylii – Palermo. **Dz. 4** Czas do własnej dyspozycji w Palermo. Zwiedzanie Cefalu i Enna. **Dz. 5** Enna – Piazza Armerina - Giardini Naxos. **Dz. 6** Wulkan Etna oraz Taormina. **Dz. 7** Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 8** Powrót do Warszawy.

NOWOŚĆ

8 dni
Wylot z Warszawy
18/05 2026

od **6.998,-**

Stambuł i Kapadocja – od cesarskich pałaców po skalne miasta

Odkryj jedno z najbardziej imponujących miast Europy oraz wyjątkowy krajobraz Kapadocji – krainy jak z baśni.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Stambułu. Zakwaterowanie i kolacja powitalna. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta: Hipodrom, Błękitny Meczet, Hagia Sophia i cysterna Binbirdirek. **Dz. 3** Meczet Sulejmana Wspaniałego, rejs po cieśninie Bosfor i Wielki Bazar. **Dz. 4** Poranek w Stambule i przelot do Kapadocji. **Dz. 5** Kapadocja. Twierdza Uçhisar, Dolina Wyobraźni, Muzeum Göreme i możliwość lotu balonem. **Dz. 6** Kapadocja. Wąwóz Ihlara, klasztor Selime i podziemne miasto. **Dz. 7** Powrót do domu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 27/04, 01/06, 11/09, 18/10 2026
od **6.998,-**

Zachwycający Wietnam

Poznaj największe atrakcje Wietnamu czyli najważniejsze miasta: Hanoi, Hoi An, Hué i Ho Chi Minh, Deltę rzeki Mekong oraz weź udział w rejsie po Zatoce Ha Long.

Jednym z największych przeżyć będzie rejs po Zatoce Ha Long wśród 3000 wapiennych wysepek wpisanych na listę UNESCO. Odwiedzimy także cztery różnorodne miasta Wietnamu: historyczne Hanoi, urokliwe Hoi An, dawną cesarską stolicę Hué oraz nowoczesne Ho Chi Minh, skąd wyruszymy do tuneli Cu Chi i Delty Mekongu.

15 dni | Wyloty z Warszawy 11/02, 19/10 2026
15/01, 10/02 2027 | od 10.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL03**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl f51a944834

Trzeba było Dody?

Patoschronisko w Sobolewie, o którym pisaliśmy w nr. 3, zostało zamknięte decyzją Powiatowego Lekarza Weterynarii. W sobotę – gdy pod schroniskiem trwał kolejny obywatelski protest; i dwa dni po tym, gdy do Sobolewa przyjechała **Doda**. To jej internetowe zasięgi spowodowały, że podjęto decyzję o zamknięciu schroniska. Dorota Rabczewska na początku stycznia zainicjowała „Hot as Ice challenge". Wystąpiła z apelem do influencerów i zachęcała osoby publiczne do odwiedzania schronisk i wsparcia psów szczególnie narażonych na zimowe warunki. Zawiozła ubranka dla zwierząt i – jak stwierdziła – „wdepnęła w g…". Od tego zaczęła się jej krucjata. 16 stycznia pojawiła się w Bytomiu i temat schroniska mordowni rozgrzał internet do czerwoności. Po wizycie piosenkarki prezydent miasta Mariusz Wołosz rozwiązał umowę z prowadzącym schronisko – jeszcze przed włączeniem się Dody w sprawę prokuratura wszczęła śledztwo.

Rabczewska poszła za ciosem i pojechała do opisanego przez POLITYKĘ patoschroniska w Sobolewie nazwanego – o ironio – „Happy Dog". I od wójta gminy Macieja Błachni zażądała wypowiedzenia umów na prowadzenie schroniska i dzierżawę gruntu. Dzień po Dodzie w Sobolewie pojawiła się kolejna celebrytka Małgorzata Rozenek-Majdan. Tego samego dnia poseł Litewka zaoferował wójtowi 100 tys. zł dla gminy, jeżeli rozwiąże umowę do końca stycznia. Jednak wójt był nieugięty: dopóki Marian D. nie usłyszy wyroku skazującego za znęcanie się nad zwierzętami, będzie prowadził schronisko. Sprawa toczy się od ponad ośmiu lat – sześć lat temu prokuratura postawiła właścicielowi schroniska Happy Dog zarzuty zadawania bólu i cierpienia przetrzymywanym w schronisku zwierzętom. W lutym pierwsza rozprawa.

Przez te lata ani gmina, ani władze centralne nie wystąpiły o wgląd do akt, by dowiedzieć się, o co oskarżony jest człowiek, któremu powierza się opiekę nad bezdomnymi zwierzętami. Nikt nawet nie zapoznał się z dowodami, a te według mec. Katarzyny Topczewskiej, prawniczki od lat występującej w sądach w obronie zwierząt, są miażdżące. Podobnie opinia biegłej.

Trzeba było Dody i pospolitego (po)ruszenia, by coś się w sprawie ruszyło! Tak naprawdę schronisko trzeba było zamknąć już osiem lat temu, kiedy pojawiły się zdjęcia robione przez wolontariuszy: ukazujące psy – szkielety obciągnięte skórą wykrwawiające się na betonie, trzymane w klatkach dla królików… W weekend zwierzęta zostały zabrane przez organizacje prozwierzęce i protestujących. (AS)

Zimą trują

Przyszła zima, wraz z nią wrócił smog. I to taki, że Rządowe Centrum Bezpieczeństwa rozsyła alerty! Tak źle dawno nie było. I nie zanosi się na poprawę. Polska pozostaje brunatną wyspą na europejskiej mapie jakości powietrza. Odpowiedzialnych za to szukamy razem z Piotrem Siergiejem z Polskiego Alarmu Smogowego.

JĘDRZEJ WINIECKI: **– To władza jest winna!**

PIOTR SIERGIEJ: – Obecny rząd zaczął świetnie. W 2024 r. w ramach programu Czyste Powietrze, głównego narzędzia walki ze smogiem, zlikwidowano rekordową liczbę kopciuchów, tydzień w tydzień składano przeciętnie 5–6 tys. wniosków na wymianę źródeł ciepła. Utrzymując to tempo, uporalibyśmy się z problemem w trzy–cztery lata. Niestety w 2025 r. program na kilka miesięcy zawieszono, rzekomo po to, by wyeliminować nadużycia, np. zawyżone rachunki za usługi lub materiały.

Po restarcie program Czyste Powietrze miał przyspieszyć i działać sprawniej.

A popadł w głęboki kryzys i zwolnił do poziomu tysiąca wniosków tygodniowo. Regulamin przewiduje miesiąc na zwrot poniesionych kosztów, w praktyce czeka się kilka miesięcy. W rezultacie obywatele stracili zainteresowanie. Znacznie ostrożniejsze są też firmy wymieniające kotły i ocieplające domy, zwłaszcza te mniejsze, dla których długie oczekiwanie na płatności bywa zabójcze.

Gdzie jesteśmy w walce ze smogiem?

W jednej trzeciej drogi. W dekadę pozbyliśmy się ok. miliona z 3–3,5 mln kotłów na węgiel i drewno. Zniknęła trzecia część dymu i mniej więcej o tyle poprawiły się wskaźniki jakości powietrza, w tym średnioroczne stężenia pyłów zawieszonych. Upowszechniła się też wiedza o ich szkodliwości i pochodzeniu. Jeszcze 10 lat temu błędnie sądzono, że odpowiadają za nie przede wszystkim przemysł i samochody.

Mała poprawa uśpiła społeczną wrażliwość?

Epizodów smogowych jest trochę mniej i stały się płytsze, co siłą rzeczy uspokaja. Znieczuliły nas też ostatnie, lżejsze zimy. Wraz z nimi przygasła mobilizacja. Ale w styczniu, przy braku wiatru, jak chwycił mróz i rozkręcono ogrzewanie, wróciło dawne oburzenie. Bo zimą wciąż mamy najbardziej zanieczyszczone powietrze w całej Unii Europejskiej. Mimo postępu ostatnich lat dalej stoimy na szczycie tego niechlubnego podium.

© INSTAGRAM, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, AGNIESZKA SADOWSKA/AGENCJA WYBORCZA.PL, KRZYSZTOF ZATYCKI/FORUM

eprasa.pl f51a944834

Napięcie pod celą

Epopeja z ucieczką Zbigniewa Ziobry przed wymiarem sprawiedliwości ma i humorystyczny aspekt. Wśród osadzonych pojawił się żart, że Ziobro poprosił o azyl, ponieważ wystraszył się… rachunków za prąd. W żarcie jest nieco prawdy, bo to był pomysł Ziobry, żeby osadzeni płacili za prąd w czasie odsiadki. A że skala zatrudnienia osadzonych pozostawiała wiele do życzenia, można było wyjść zza krat z długami.

9 grudnia 2022 r. minister Ziobro podpisał rozporządzenie ws. „wysokości zryczałtowanej miesięcznej opłaty związanej z użytkowaniem w celi mieszkalnej dodatkowego sprzętu elektronicznego lub elektrycznego". A już 1 stycznia 2023 r. zaczęto naliczać osadzonym opłaty. Słowo „dodatkowe" może być mylące, bo dodatkowym urządzeniem w praktyce okazało się wszystko to, co nie jest czajnikiem elektrycznym. I jak przystało na opłatę wprowadzaną przez polityków z Solidarnej Polski, opłata również była solidarna. Wystarczyło, że jeden osadzony miał w celi telewizor, a płacić musieli wszyscy. Przy czym stawka pozornie nie była wygórowana, bo wynosiła **15 zł** miesięcznie. W efekcie w czteroosobowej celi za jeden telewizor ściągano 60 zł. Jeśli w celi było jeszcze np. radio, nie podwyższało to opłaty.

Na pierwszy rzut oka pomysł można uznać za sukces. W 2024 r. z tego tytułu ściągnięto od osadzonych ponad **9 mln zł**. W zeszłym roku **o 200 tys. mniej**. Głównie dlatego, że sukcesywnie zmniejszana jest, rozdęta za czasów rządów PiS, populacja osadzonych. Kwota wydaje się znaczna, dopóki nie zestawi się jej z kosztami obsługi systemu poboru i ściągania długów. – *Zdarza się, że koszt korespondencji jest wyższy niż dług, który usiłujemy wyegzekwować* – mówi nasz rozmówca z Centralnego Zarządu Służby Więziennej. Opłaty rodzą również sporo napięć w samych celach, bo są skazani, którzy żalą się, że płacą, a nie oglądają. Inni z kolei oglądają, ale nie płacą, bo nie mają z czego. Jeśli wykonują nieodpłatną pracę na rzecz więzienia, dyrektor może ich zwolnić z opłat. Wszystkie środki przekazywane miały być na Fundusz Aktywizacji Zawodowej Skazanych oraz Rozwoju Przywięziennych Zakładów Pracy. Tyle że pieniądze te nie przełożyły się na wzrost zatrudnienia osadzonych.

Wzeszłym roku planowano więc zrezygnować z pobierania opłat. Ostatecznie jednak rząd się wystraszył, że w oczach konserwatywnych wyborców wyjdzie, mówiąc językiem Ziobry, na „miękiszonów", którzy folgują bandytom. Opłaty mają więc zostać, ale ich system poboru ma się zmienić przy okazji kolejnej nowelizacji Kodeksu karnego wykonawczego. Ta jednak utknęła w resorcie. A problem dalej jest pod napięciem. (JULL)

Śmierć Bartka z Lubina: są zarzuty

Prokuratura Okręgowa w Łodzi ponad cztery lata po śmierci 34-letniego Bartosza Sokołowskiego z Lubina postawiła zarzuty ratownikom medycznym wezwanym do interwencji policyjnej. Jak mówi pełnomocnik rodziców młodego mężczyzny radca prawny Wojciech Kasprzyk, to nie koniec sprawy opisywanej m.in. przez POLITYKĘ w cyklu artykułów o fatalnym wyszkoleniu policjantów i czarnej serii zgonów w trakcie podejmowanych przez nich interwencji. Kasprzyk spotkał się w ostatnich dniach z ministrem sprawiedliwości Waldemarem Żurkiem – pojechał do niego razem z Maciejem Stachowiakiem, ojcem Igora, którego śmierć na komisariacie wstrząsnęła polską opinią publiczną. Mieli ze sobą całą listę zakończonych tragicznie policyjnych interwencji.

Bartosz Sokołowski zmarł w sierpniu 2021 r. Do tragedii doszło w Lubinie – po policję zadzwoniła matka mężczyzny, który miał problemy z narkotykami, licząc na to, że zawiozą go do szpitala. Ci jednak obezwładnili Bartosza, a nagrania m.in. z telefonu świadka pokazały, że jeden z funkcjonariuszy przyciskał go do ziemi za szyję, a drugi trzymał za ręce. Po chwili 34-latek przestał się ruszać, wezwano więc na pomoc zespół ratownictwa medycznego, ale ani policjanci, choć mają do tego uprawnienia i są przeszkoleni, ani tym bardziej ratownicy nie podjęli resuscytacji. Ci ostatni nawet nie ułożyli mężczyzny w pozycji bezpiecznej, ułatwiającej oddychanie.

Śledztwo w tej sprawie było prowadzone początkowo w Lubinie, po interwencji pełnomocników rodziców Bartosza Sokołowskiego przeniesiono je do Łodzi, wyodrębniając do osobnego postępowania wątek niszczenia dokumentacji, mataczenia, składania fałszywych zeznań i naruszenia nietykalności matki zmarłego mężczyzny – tym zajęli się prokuratorzy w Szczecinie. I umorzyli postępowanie. Zażalenie wniesione do sądu w Lubinie zostało przez ten sąd oddalone, więc pełnomocnicy rodziny Bartosza Sokołowskiego odwołali się do Europejskiego Trybunału Spraw Człowieka – sprawa czeka na rozpatrzenie.

Z opinii biegłych, którzy analizowali przebieg interwencji, wynika, że prokuratura powinna postawić zarzuty nie tylko ratownikom, ale też policjantom – w ich ocenie, za nieudzielenie pomocy. (KK)

eprasa.pl f51a944834

TYDZIEŃ W POLITYCE

Praxis, miasto technoproroków

Anna Siewierska

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka.

W ostatnich miesiącach Grenlandia nie schodzi z czołówek światowych mediów, prezydent Donald Trump bowiem postanowił, że uczyni „ten wielki kawałek lodu" częścią Stanów Zjednoczonych. Strategiczne znaczenie Grenlandii dla zdolności obronnych USA jest oczywiste, podobnie jak surowcowe bogactwo drzemiące pod grubą warstwą lodu i skał. Jest jednak jeden mniej oczywisty powód, dla którego Trump tak bardzo pragnie Grenlandii.

Obsesją na tym punkcie zaraził go w 2018 r. Ronald Lauder, dziedzic kosmetycznej fortuny i przyjaciel Trumpa jeszcze ze szkoły. Lauder jest jednym z inwestorów grenlandzkiego sektora wydobywczego, obok m.in. Jeffa Bezosa z Amazona, Billa Gatesa z Microsoftu, Sama Altmana z OpenAI oraz Petera Thiela z Palantir Technologies. Skąd to zainteresowanie gigantów technologicznych terenem, co prawda zasobnym w minerały, jednak niezwykle trudnym z punktu widzenia efektywności wydobycia? Otóż wyjaśnieniem może być projekt Praxis, wspierany przez Thiela i innych technoproroków, postrzegających siebie jako rewolucjonistów i mesjaszów nowego świata. Marzą oni o budowie tzw. *freedom cities*, miast-start-upów, niezależnych od państw i jakichkolwiek ograniczeń.

Dryden Brown, współzałożyciel Praxis i piewca „odnowy cywilizacji zachodniej" w Deklaracji wzlotu, dokumencie założycielskim Praxis, napisał górnolotnie: „Tak jak królowie-wojownicy niegdyś poszukiwali Świętego Graala, tak i my zbudujemy imperium, w którym prawdziwa moc płynie z heroicznej odwagi i harmonii z boskim porządkiem". W listopadzie 2024 r. Brown triumfalnie ogłosił na portalu X: „Przyjechałem na Grenlandię, żeby ją kupić". Zdecydowana odmowa ze strony zarówno duńskiego, jak i grenlandzkiego rządu spowodowała, że hojni sponsorzy kampanii Trumpa wzmocnili presję na świeżo wybranego prezydenta USA.

Jak donosi Quincy Institute for Responsible Statecraft, amerykański think tank specjalizujący się w polityce zagranicznej, tacy technobilionerzy jak Peter Thiel czy Elon Musk postrzegają Grenlandię „nie jako źródło minerałów, ale jak laboratorium dla swoich libertariańskich ekonomicznych i społecznych eksperymentów". Owi technoprorocy marzą o stworzeniu na Grenlandii „miast wolności, wolnych od demokratycznego nadzoru, ochrony środowiska i prawa pracy". Analitycy Quincy Institute piszą wprost: technologicznym miliarderom, którzy sfinansowali kampanię wyborczą Trumpa, nie zależy na strategicznych interesach państwa. Chcą „placu zabaw dla swoich anarchokapitalistycznych eksperymentów". Trump zaciągnął u nich ogromny dług. Teraz nadszedł czas zapłaty. Suwerenność Grenlandii lub jakiegokolwiek innego miejsca na Ziemi czy poza nią nie ma dla nich żadnego znaczenia. To niewielki koszt stworzenia nowego światowego porządku, w którym politycy są jedynie marionetkami w rękach technologicznych gigantów, a obywatele – zasobem.

Punkt ogrzewania w atakowanym przez Rosjan Kijowie.

Europejskie żale Zełenskiego

Spośród kilku ważnych przemówień w Davos to ostatnie, prezydenta Ukrainy, było wyjątkowo przykre. Finansowa i polityczna elita świata usłyszała bowiem listę skarg, o których niby powszechnie wiadomo, ale które w czwartym roku wojny w Europie są jak wyrzut sumienia. Przez ostatnie lata Davos, które otwiera coroczny cykl narad wielkich, możnych i bogatych, służyło też planom wsparcia Ukrainy. Wołodymyr Zełenski bezlitośnie ukazał, ile były warte, skoro w Ukrainie każdy kolejny rok wojny jest jak „dzień świstaka", pozornie nowy, ale niczego niezmieniający. Szczególnie ostro potraktował najlepszych przyjaciół w Europie, zarzucając im bezradność, niesłowność i ciągłe oglądanie się na Amerykę, gdy ona patrzy gdzie indziej.

Zachód zajęty jest coraz bardziej sobą, a głównym tematem między Europą i Ameryką od roku nie jest przeciwstawianie się Rosji, lecz opanowywanie konfliktów wywoływanych przez Trumpa. Nadchodzące amerykańskie wybory połówkowe, w atmosferze niespotykanego od dekad konfliktu wewnątrz Stanów Zjednoczonych, jeszcze bardziej odwrócą uwagę administracji Trumpa od Ukrainy.

Zełenski wybrał w Davos rolę apologety Trumpa i surowego krytyka Europy. Czy ta taktyka przyniesie efekty? Na razie widać negocjacyjne przyspieszenie, bo Trumpowi też zależy na czasie. Specjalny negocjator Steven Witkoff znowu był w Moskwie na rozmowach z Władimirem Putinem, które jak zwykle nie przyniosły przełomu. Jednak tuż po nich delegacje przeniosły się do Abu Zabi na pierwsze rozmowy trójstronne – na niewysokim szczeblu, ale z udziałem głównodowodzącego wojsk NATO gen. Alexusa Grynkewicha. Po tych spotkaniach Zełenski ogłosił, że porozumienie z USA dotyczące bezpieczeństwa jest w 100 proc. uzgodnione i czeka na podpisanie, a jego kraj będzie „technicznie gotowy", by wejść do Unii Europejskiej w 2027 r.

Na inne strony tego „dealu" liczyć coraz trudniej. Amerykanie znowu potwierdzili, że bezpieczeństwo Europy traci dla nich znaczenie. W Narodowej Strategii Obrony (NDS) określają Rosję jako bezpośrednie zagrożenie tylko dla „wschodnich członków NATO", swoje zaangażowanie w Europie opisują jako „kluczowe, lecz ograniczone", a o pomocy Ukrainie w ogóle nie wspominają. Gdy formalna deklaracja odejścia na „swoją" zachodnią półkulę zbiega się z antyeuropejskimi i antysojuszniczymi wypowiedziami prezydenta, np. taką, że Ameryka nigdy nie potrzebowała NATO, a żołnierze wysyłani przez sojuszników na wspólne operacje trzymali się z dala od walk, trudno mówić o zbiegu okoliczności.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

eprasa.pl f51a944834

Palec pod budkę

I sprzymierzeńcy Ameryki, i jej rywale mają strapienie z Radą Pokoju – nową organizacją międzynarodową utworzoną na życzenie Donalda Trumpa. „Będziemy mogli robić praktycznie wszystko, co zechcemy" – kusi prezydent Stanów Zjednoczonych. Akt założycielski podpisano na szczycie w Davos. Obok Trumpa swoje podpisy złożyli przedstawiciele 19 państw, co oznacza, że stawiła się raptem **jedna trzecia zaproszonych**. Rozwiązanie dylematu „czy wstępować, czy odmawiać, czy zwlekać z odpowiedzią" wymaga oszacowania ryzyka – czy narażać się na irytację Trumpa i wystawiać na jego potencjalnie brutalną reakcję? Wymaga też ustalenia, czym Rada Pokoju (Board of Peace) faktycznie ma być.

Punktem wyjścia pozostaje zarzut Trumpa, że dotychczasowe instytucje porządku międzynarodowego – na czele z Organizacją Narodów Zjednoczonych – nie służą amerykańskim interesom. W preambule Karty Rady Pokoju czytamy więc, że w działaniach społeczności międzynarodowej zabrakło „pragmatycznego osądu, zdroworozsądkowych rozwiązań i odwagi", w związku z czym powszechnie „instytucjonalizowano" kryzysy, zamiast je kończyć. BoP ma być zatem jakimś zamiennikiem ONZ, jeśli nie całej, to przynajmniej Rady Bezpieczeństwa. I nie chodzi raczej o rzeczywiste wspieranie pokoju, zwłaszcza w Strefie Gazy. Prędzej o narzędzie władzy. Trump woli system, w którym zamiast dotychczasowych zasad obowiązuje siła oraz lojalność, wymuszona lub kupiona.

Rada powstała podstępem. Wykiełkowała z komisji, która miała wspierać odbudowę Strefy Gazy. Jej powstanie przewidywała listopadowa rezolucja Rady Bezpieczeństwa ONZ nr 2803. Odbudowa regionu zniszczonego podczas wojny z Izraelem ma przebiegać według planu napisanego przez Amerykanów i jesienią większych kontrowersji nie budziło włączenie ONZ w jego realizację. Chodziło o mandat dla Międzynarodowej Siły Stabilizacyjnej, zapewniającej bezpieczeństwo w Strefie Gazy i nadzorującej jej demilitaryzację. Rezolucja miała szerokie poparcie, także Europy, ale teraz karta o Gazie nie wspomina.

Karta BoP spełnia niezbędne minimum statutu organizacji międzynarodowej, choć dogmatycy postulują jeszcze wskazanie oficjalnej siedziby. Naturalnym adresem byłby należący do Trumpa klub Mar-a-Lago na Florydzie, pełniący funkcję „weekendowego Białego Domu". Zwłaszcza, że – jak dostrzeżono – w karcie użyto sformułowań jakby żywcem wyjętych z regulaminu ekskluzywnego klubu golfowego (Trump prowadzi takich kilkanaście) lub statutu spółki – należącej w większości do Trumpa, w której jest prezesem i zachowuje dominującą pozycję.

W świetle karty BoP stanowi folwark Trumpa. Wskazuje go imiennie jako przewodniczącego, który „jest ostateczną instancją w kwestii znaczenia, interpretacji i stosowania niniejszej karty". Poza tym przewodniczący zaprasza państwa, odnawia członkostwo lub je wymawia (ten krok może zablokować weto dwóch trzecich członków, w praktyce nieosiągalne). Tworzy i rozwiązuje jednostki pomocnicze Rady, zwołuje jej spotkania, wybiera miejsce obrad i zatwierdza ich porządek. Zatwierdza – bądź nie – wszystkie decyzje przyjęte w drodze głosowania. Wyznacza swojego następcę. I będzie przewodniczyć, dopóki nie ustąpi lub nie zostanie jednogłośnie odwołany.

Przystąpienie wyglądałoby więc jak deklaracja uległości. Unia Europejska – w tym Francja i Niemcy – odmawia udziału, wyrażając obawy dotyczące mandatu BoP, kolizji z krajowymi konstytucjami, rywalizacji z ONZ oraz pomijanie Gazy i jej znękanych mieszkańców. Wielka Brytania nie chce żyrować ewentualnej obecności prezydenta Rosji Władimira Putina. Zaproszenie dla Kanady wycofano po przemówieniu Marka Carneya w Davos, w którym kanadyjski premier wezwał do wspólnego oporu przeciw trumpizmowi. Obiekcji nie miał za to Viktor Orbán stawiający na osobiste związki z Trumpem. Podobnie wiele państw muzułmańskich. Przystąpiła też Bułgaria, co objaśniono głębokim kryzysem politycznym w kraju i faktem, że Wysokim Przedstawicielem ds. Strefy Gazy został bułgarski obywatel i sprawny oenzetowski urzędnik Nikołaj Mładenow.

Rosja się waha, choć uznała, że sam fakt jej zaproszenia pozostaje dowodem na to, iż jedynie kolektywnie – czyli z udziałem Rosji – da się skutecznie rozwiązywać główne problemy międzynarodowe. Rosjanie chcą też przy okazji załatwić odmrożenie swoich aktywów zatrzymanych w USA. Chiny potwierdziły przyjęcie zaproszenia, ale bronią starego porządku, „prawdziwego multilateralizmu" i „systemu skoncentrowanego wokół ONZ". Chiński przywódca Xi Jinping w rozmowie telefonicznej naciskał na brazylijskiego prezydenta Luiza Inácio Lulę da Silvę do działań na rzecz utrzymania roli ONZ jako „fundamentu globalnego zarządzania". „Rozważenie tej kwestii wymaga czasu" – tak do zaproszenia papieża Leona XIV odniósł się kardynał Pietro Parolin, nr 2 w Watykanie. I odrzucił perspektywę wpłaty miliarda dolarów za stałe członkostwo w Radzie. Zresztą i tu nie wiadomo, czym wpłata ma być (formą okupu?), na czyje konto powędruje i na co zostanie wydana. Włochy i Rumunia powołały się na konieczność ratyfikacji. Tym tropem podążyła też odpowiedź Rzeczypospolitej (więcej o polskich wątkach na s. 4).

JĘDRZEJ WINIECKI

© MAXYM MARUSENKO/EPA/PAP, EVAN VUCCI/AP/EAST NEWS

eprasa.pl f51a944834

Trump drażni i obraża

ILUSTRACJA **MARTA RÓŻA ŻAK**

eprasa.pl f51a944834

Wystąpienie Donalda Trumpa w Davos tylko potwierdziło, że mamy oto prezydenta USA, który Europy nie szanuje i chce się z nią wadzić, daje przy tym wolną rękę autokratom. Ale po raz pierwszy przywódcy Zachodu postawili się Trumpowi.

MATEUSZ MAZZINI

Rzecznikiem antytrumpowskiej rewolty stał się nieoczekiwanie premier Kanady Mark Carney. Jego znakomite przemówienie w Davos w dużej części składało się z paradoksów. Myślą przewodnią było wytyczenie nowego, bardziej pragmatycznego kursu – może nawet doktryny – dla tzw. średnich potęg, „realizmu opartego na zasadach". Mówił to szef rządu 10. największej gospodarki świata, kraju członkowskiego G7, o jednym z najwyższych wskaźników innowacyjności, rozwoju przemysłowego i naukowego czy poziomu życia.

Jeszcze niedawno takiego przemówienia spodziewać się można było po politykach w stylu prezydenta Brazylii Luli da Silvy czy prezydenta RPA Cyrila Ramaphosy – przywódców państw na dorobku, dopiero wybijających się na niezależność, szukających własnej drogi pomiędzy zachodnim liberalizmem a najpierw sowiecką, a potem chińską wizją scentralizowanej władzy.

Tymczasem słowa o potrzebie stworzenia alternatywy dla tego, co przez lata promował Zachód, popłynęły z samego środka Zachodu. Do tego stopnia, że jeden z brytyjskich dyplomatów w reakcji na wystąpienie Carneya określił go mianem „najlepszego lidera w historii globalnego Południa". Nazwanie w ten sposób premiera Kanady to najlepsza ilustracja tego, w jakim momencie znalazł się świat.

Po wtóre, to właśnie Carney, były pracownik banku inwestycyjnego Goldman Sachs, a potem szef Banku Anglii, człowiek całą swoją biografią ucieleśniający sukcesy i przywileje płynące z uczestnictwa w globalizacji ostatnich 30 lat, okazał się tejże globalizacji najsurowszym recenzentem, a może nawet grabarzem. To on powiedział publicznie, że „porządek światowy oparty na zasadach był częściowo kłamstwem". Wprost wytykał zachodnim państwom hipokryzję i selektywność w stosowaniu prawa międzynarodowego czy bronieniu suwerenności innych krajów – nawet jeśli nie wymienił przykładów, takich jak inwazja w Iraku czy ostatnia operacja USA w Wenezueli. Przyznał też, że ta iluzja była utrzymywana, bo „służyła naszym własnym interesom".

I znów – nikogo nie zdziwiłoby, gdyby takie słowa padły z ust reprezentantów Pakistanu, Indii, Iranu, może nawet Francji, tradycyjnie krytycznej wobec mniej lub bardziej zawoalowanego amerykańskiego imperializmu i awanturnictwa. Ale żeby wypowiedział je Kanadyjczyk? Jeszcze niedawno nie do pomyślenia.

Nie dziwi, że kilku prominentnych członków amerykańskiej administracji, w tym sekretarz handlu Howard Lutnick, ruszyło z frontalną krytyką przemówienia Kanadyjczyka, nazywając je politycznym szumem. Sam Trump wycofał z kolei zaproszenie skierowane do Carneya, oferujące mu miejsce w Radzie Pokoju – nowej, niemalże prywatnej inicjatywie amerykańskiego prezydenta, mającej dać mu możliwość rozstrzygania światowych konfliktów na własną korzyść.

Kanadyjskiego przywódcę te groźby chyba jednak nie poruszyły. Dzień po wystąpieniu w Davos rozmawiał z „Financial Times", mówiąc, że zbliżenie z Chinami „nie wymaga obrony, gdyż nie jest działaniem obronnym, tylko ofensywnym". Widać było też, że jest na krytykę przygotowany.

Zresztą Carney nie odkrył koła na nowo. Tekst o bardzo podobnych założeniach programowych dosłownie dzień wcześniej opublikował znany analityk Carnegie Endowment Stewart Patrick, zauważając, że to właśnie od „średnich potęg" zależeć będzie utrzymanie jakiejkolwiek równowagi w nowym, wielobiegunowym świecie. Co więcej, w tym dla jednych obrazoburczym, dla drugich szalenie odważnym tekście wybrzmiały echa Ruchu Państw Niezaangażowanych, światopoglądu Gandhiego, Nehru, nawet Tity. A przede wszystkim filozofia „siły bezsilnych" – cytowanego też przez Carneya – Václava Havla, co powinno przemówić zwłaszcza do odbiorców z naszej części świata.

Carney rozbił szybkę bezpieczeństwa, a w Davos uruchomiły się przeciwpożarowe zraszacze polityki międzynarodowej. Najsilniejszy towarzyszył działaniom europejskich przywódców, którzy do Szwajcarii przyjechali, żeby zażegnać najpoważniejszy kryzys w powojennych relacjach transatlantyckich. Donald Trump przez wiele dni nie wykluczał przecież użycia siły, by Grenlandia stała się amerykańska. Oliwy do ognia dolewali radykałowie z jego otoczenia, na czele z wiceszefem personelu Białego Domu, znanym zwolennikiem nagiej siły jako wyznacznika pozycji państw na świecie, Stephenem Millerem.

Jeśli jednak pierwszy rok drugiej kadencji Trumpa czegokolwiek nas nauczył, to tego, że wypowiedzi akolitów zawsze są bardziej wychylone poza nawias debaty publicznej niż słowa samego prezydenta. Jak w każdym reżimie absolutystycznym, ambitni poddani stają się z czasem karykaturalną, przesadzoną wersją suwerena, by okazać mu wdzięczność i lojalność. Chociażby dlatego od początku należało powątpiewać w to, że amerykańskie siły na Grenlandii otworzą ogień do Duńczyków czy innych żołnierzy NATO.

Sam Trump niemal od razu po przyjeździe do Davos okazał Europejczykom łaskę, mówiąc w swoim wystąpieniu, że Grenlandię podbić mógłby, ale jednak tego nie zrobi. Wieczorem tego samego dnia spotkał się z sekretarzem generalnym NATO Markiem Rutte, ustalając treść porozumienia grenlandzkiego – tyle tylko, że nikt nie wie, co się w nim znajduje. Rutte po raz kolejny odtrąbił sukces, mówiąc, że utemperował najostrzejsze instynkty Trumpa. Media zaczęły jednak donosić, że Holender miał się rzekomo zgodzić na przekazanie części grenlandzkiego terytorium Amerykanom pod stałe bazy – w typie Guantanamo, okrytej niesławą jednostki zarządzanej przez USA na Kubie.

To wywołało oburzenie delegacji duńskiej, premier Mette Frederiksen przypominała, że Rutte nie ma mandatu do negocjowania statusu grenlandzkich ani duńskich terytoriów. Oboje mieli wyjaśnić sobie nieporozumienia na wspólnym śniadaniu. ▶

eprasa.pl f51a944834

▶ Najważniejsze jednak, że po raz pierwszy w ciągu ostatniego roku europejscy przywódcy naprawdę postawili się Trumpowi. Padły słowa o szantażu, przemocy, suwerenności, wręcz niepodległości Europy – obok zatwardziałych krytyków, jak Emmanuel Macron, wykpiony zresztą przez Trumpa, także z ust polityków tak ostrożnych jak Ursula von der Leyen. Przynajmniej więc w warstwie diagnostycznej nastąpiło poważne przebudzenie. Wydaje się, że nawet dotychczasowi tzw. zaklinacze Trumpa, jak prezydent Finlandii Alexander Stubb czy premier Włoch Giorgia Meloni, nie łudzą się już, że są w stanie zapanować nad kaprysami amerykańskiego przywódcy. I tym samym ochronić Europę albo chociaż własne państwa. Wprawdzie Meloni miała – jak twierdzi portal POLITICO – przekonywać pozostałych europejskich liderów na specjalnym szczycie unijnym w ubiegły czwartek, że otwarte starcie z Trumpem Europie się nie opłaca, bo jest w nim skazana na porażkę, ale nawet ona już wie, że jeśli główny lokator Białego Domu będzie miał ochotę wystosować groźby pod adresem Starego Kontynentu, zrobi to bez oglądania się na innych.

Nie ulega wątpliwości, że pomiędzy Europą a USA wybuchł trudny do zdefiniowania, bo bezprecedensowy konflikt. Nie ma on charakteru zbrojnego, tylko polityczny. Jest nieprzewidywalny, bo nie wiadomo, do czego zdolny jest Trump. Presja na Duńczyków, by oddali Grenlandię w zamian za dalsze wsparcie wywiadowcze dla Ukrainy? Kolejne sankcje na byłych, a może nawet obecnych unijnych urzędników? Karne cła za porozumienia handlowe omijające Stany Zjednoczone, a przecież takie umowy zaraz zostaną podpisane z Indiami czy z Mercosurem? W euroatlantyckiej zimnej wojnie nic nie jest już niemożliwe. Trump uznał, że musi boleć, stąd słowa o nieprzydatności sojuszników z NATO, którzy we wspólnych operacjach trzymali się z dala od walk.

Sama świadomość zakończenia partnerstwa transatlantyckiego nie oznacza, że stan faktyczny jakoś szczególnie się po Davos zmienił. Relacje USA z Europą cechuje olbrzymia asymetria – militarna, energetyczna, technologiczna. Co gorsza, otwarte pozostaje pytanie, czy europejscy politycy nie popełniają błędu samozadowolenia, przypisując sobie i swojemu nagłemu zjednoczeniu zmuszenie Trumpa do kroku w tył w sprawie Grenlandii. Nie wiadomo przecież, dlaczego to zrobił i na ile groźba europejskiej odpowiedzi w postaci unijnego mechanizmu antyprzymusowego, tzw. bazooki handlowej, rzeczywiście go wystraszyła. Możliwe, a nawet prawdopodobne, że jego motywacje były inne. Sophia Besch, analityczka Carnegie Europe, w przekonującym eseju po Davos argumentowała, że groźba inwazji została oddalona, bo nawet dzisiejsza amerykańska administracja nie chce wycofywać się z Europy, a jedynie radykalnie ją zmienić, najlepiej na podobieństwo ruchu MAGA. Jednocześnie zachowałaby obecność wojskową, choć pewnie zmniejszoną, a to dawałoby dalszą kontrolę nad europejskim zbiorowym bezpieczeństwem i możliwości gigantycznego zarobku dla koncernów zbrojeniowych zza oceanu. W opublikowanej właśnie przez Ministerstwo Wojny USA Narodowej Strategii Obrony (NDS) zaangażowanie w Europie określane jest jako „kluczowe, lecz ograniczone", a Rosja jako bezpośrednie zagrożenie tylko dla „wschodnich członków NATO".

Z kolei w kręgach analityków giełdowych i ekonomistów krąży teoria, że groźby terytorialne i celne Trumpa były po prostu powieleniem schematu znanego z pierwszego roku kadencji, mającego na celu zmanipulowanie giełdy i cen obligacji skarbowych.

GALERIA POLITYKI

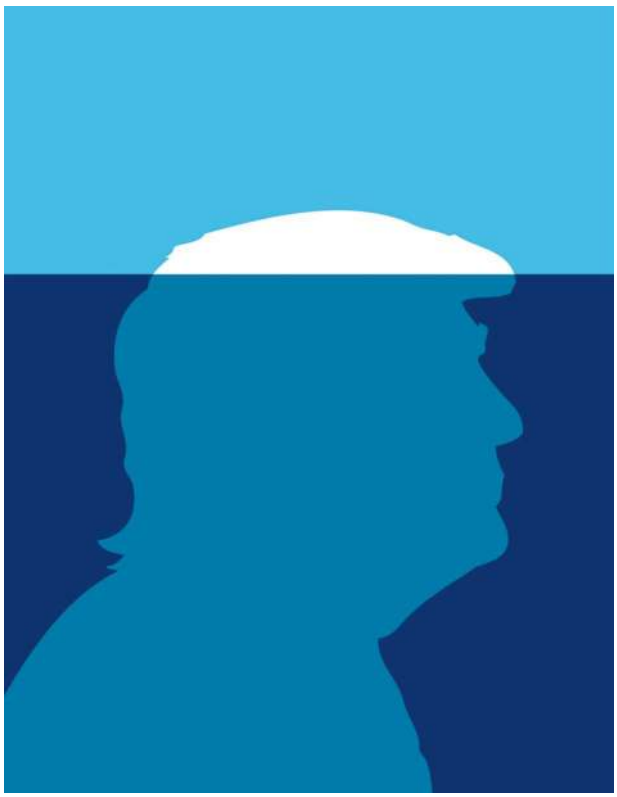

SYLWIA MARKIETA

Zasada wydaje się prosta: pod koniec tygodnia pojawiają się pierwsze deklaracje o cłach, które przyjmują konkretne kształty w piątek, już po zamknięciu rynków. Przez weekend wywołują panikę, co odbija się na poniedziałkowym otwarciu. Przez kolejne dni Trump eskaluje, giełdy na chwilę się stabilizują, żeby potem zanurkować ponownie w okolicach środy. Wtedy dopiero do gry wchodzą „mądrzy" inwestorzy, kupując najtaniej, jak się da. Chwilę później Trump, ustami własnymi albo kogoś z administracji, najczęściej sekretarza skarbu Scotta Bessenta, tonuje nastroje i ostatecznie wycofuje się z gróźb. A kto miał zarobić, ten zarobił. W przypadku Grenlandii ten scenariusz sprawdził się co do joty. Może to przypadek, a może nie.

Iluzja nietykalności powojennego porządku nie była jednak jedyną, która została w Davos zniszczona. Światowe Forum Ekonomiczne jest w końcu imprezą o wielkim rozmachu, skupiającą kilka tysięcy uczestników z różnych branż. Oczy całego świata skierowane były wprawdzie na Trumpa, a uwaga na kwestię Grenlandii, ale na tegorocznej edycji padło wiele innych stwierdzeń, które świadczą o końcu pewnej epoki. Sam amerykański prezydent sformalizował swoją Radę Pokoju, do której oprócz europejskich liderów, w tym Karola Nawrockiego, zaprosił szeroką gamę dyktatorów i autokratów, na czele z Putinem.

Tym samym dał dowód, że mało kogo interesuje już reforma ekosystemu Organizacji Narodów Zjednoczonych, a stworzenie alternatywnych instytucji, nawet jeśli oparte są na neokolonializmie i czysto komercyjnych aspiracjach, jest już do zaakceptowania. Ciekawie było też poza polityką – i być może tam sformułowano stwierdzenia, które

eprasa.pl f51a944834

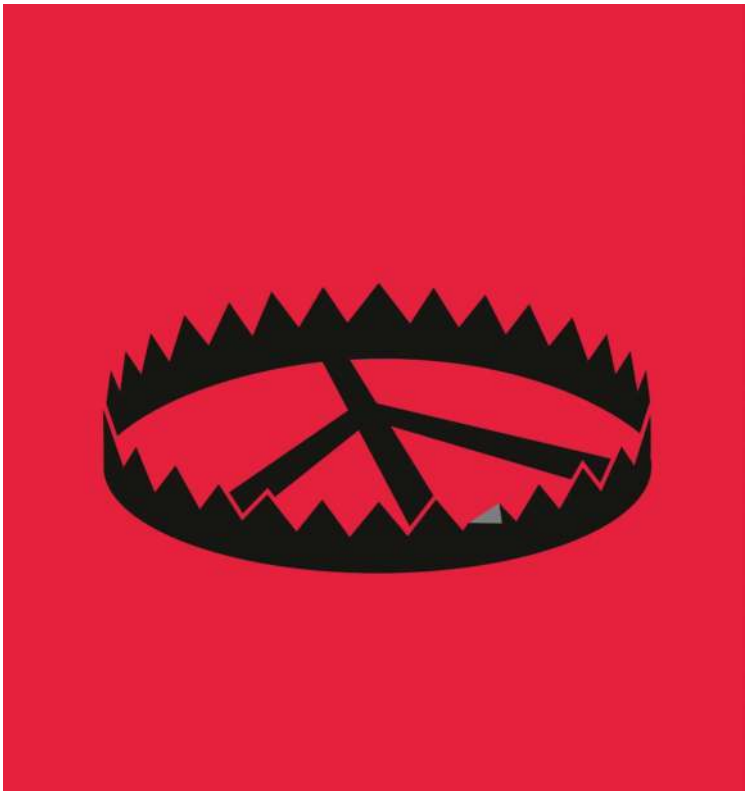

obywateli państw zachodnich powinny interesować znacznie bardziej niż kolejne ekscentryczne wybuchy Trumpa. Jamie Dimon, prezes banku inwestycyjnego JP Morgan Chase, mówił wprost, że rewolucja technologiczna związana z adopcją sztucznej inteligencji doprowadzi do zlikwidowania ogromnej liczby miejsc pracy – i jego zdaniem jest to nie do uniknięcia. Był jednak jednym z pierwszych, o ile nawet nie pierwszym członkiem światowej elity finansowej, który na tak ważnym forum przyznał, że państwa będą musiały interweniować, być może nawet zmuszając firmy do wolniejszego wdrażania nowych technologii albo oferując finansowe rekompensaty za utratę pracy z powodu automatyzacji. W przeciwnym razie, mówił Dimon, czeka nas ostateczny rozpad współczesnego kontraktu społecznego, co może prowadzić do katastrofy na skalę cywilizacyjną.

Inny przedsiębiorca, Demis Hassabis z DeepMind Technologies, przyznał z kolei, że cały sektor technologiczny, a dokładniej jego finanse, „nosi znamiona bańki", a wiele dużych firm jest narażonych na olbrzymie ryzyko. Zwroty z inwestycji w sztuczną inteligencję są na razie znikome, a kwoty pompowane w te przedsięwzięcia najwyższe w historii kapitalizmu. A zatem mesjanistyczne wizje płynące z Doliny Krzemowej mogą się okazać mocno przesadzone, wywołując przy tym globalny kryzys finansowy.

Wreszcie, w Davos ostatecznie pogrzebana została iluzja walki elit z katastrofą klimatyczną. Jeszcze niedawno w tym szwajcarskim miasteczku Greta Thunberg wygłaszała płomienne przemówienie o „płonącym świecie", a dzisiaj po kwestiach klimatycznych w programie nie ma już śladu. Wróciła twarda geopolityka, stosunki międzynarodowe jako próba sił i wyścig pomiędzy największymi korporacjami na świecie. W pewnym więc sensie tegoroczna edycja forum była powrotem do normalności, wszak Davos to zawsze miała być świątynia globalnego kapitalizmu, ostatnie, bardziej progresywne edycje były tylko odstępstwem od normy.

W tym wszystkim szczególnie słabo wygląda pozycja Polski, całkowicie w tym międzynarodowym chaosie pogubionej. Stronie rządowej, na czele z premierem Tuskiem, zabrakło stanowczości, by jednoznacznie opowiedzieć się po stronie Danii, podpis pod jedną deklaracją poparcia to naprawdę bardzo mało. Z kolei prezydent Nawrocki dał się uwieść Trumpowi i jego Radzie Pokoju, uznając zaproszenie do niej za coś bardzo prestiżowego. Swoje dołożył szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz, niemal dziękując Amerykanom za wycofanie się z gróźb aneksji Grenlandii.

W efekcie Polska nadal próbuje stać w rozkroku pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi, co jest coraz trudniejsze, bo dystans między stronami się powiększa. Wobec Waszyngtonu prezentujemy ton niemal służalczy, wobec europejskich partnerów – ambiwalentny, pasywny, pozbawiony inicjatywy. Zupełnie jakbyśmy wierzyli, że będzie tak, jak już było.

W przemówieniu w Davos Mark Carney nawiązał do słów Václava Havla o sklepikarzach, którzy w oknach swoich lokali umieszczali plakaty z hasłami poparcia dla czechosłowackiego komunizmu, choć żaden z nich nie wierzył w tę ideologię ani trochę. Kanadyjczyk użył tej opowieści jako metafory iluzji, w której żył powojenny Zachód. Jednoznacznie stwierdził, że z iluzją już koniec. Tymczasem Polska wydaje się jednym z niewielu krajów, które swój plakat nadal trzymają w oknie. I jest z tego dumna.

MATEUSZ MAZZINI

eprasa.pl f51a944834

Polska Partia Kibolska

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

eprasa.pl f51a944834

Stadionowa przeszłość już nie przeszkadza w byciu szanowanym obywatelem, politykiem, a nawet prezydentem. Skrajnie prawicowa tożsamość przechodzi z trybun na salony, przebierając się za nową normalność.

MICHAŁ DANIELEWSKI

„Gdyby interesowała nas piłka nożna, zostalibyśmy piłkarzami" – tak brzmi stare powiedzonko, które od dawna służy za motto najzagorzalszych grup kibicowskich. Lapidarne, a do tego trafne, czego dowodzą regularnie medialne nagłówki. Choćby o tym, że bardziej od piłki interesuje ich przemoc, więc znowu zostali zatrzymani podczas leśnej ustawki. Że bardziej interesują ich brudne pieniądze, więc policja rozbiła kolejny gang narkotykowy powiązany klubowymi szalami. Wreszcie – że interesuje ich polityka, w związku z tym regularnie fetują swojego prezydenta Karola Nawrockiego: a to na stadionach, a to w internecie, a to podczas pielgrzymki na Jasną Górę. Często gęsto lubią też zbiorowo wypowiadać się w szerszym kontekście polityczno-społecznym, stąd przez lata z trybun słyszeliśmy, że kibole obalą rząd matoła Donalda, że uchodźcy mają wypierdalać, „litewskie chamy" klękać przed „polskimi panami" oraz że należy „jebać murzyna", ponieważ Lechia Gdańsk, której kibicuje Nawrocki, to „biała drużyna".

Jeszcze bardziej specyficzny pakiet zainteresowań pozapiłkarskich znajdziemy w dossier kibica Jagiellonii Białystok o pseudonimie Dragon, z którym ciepło witał się ostatnio nasz prezydent. To między innymi – cytujemy za tekstem Szymona Jadczaka w Wirtualnej Polsce – kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą, udział w bójkach i pozbawieniu wolności innych osób oraz propagowanie faszyzmu.

Chuligan wtapia się w tłum

Z lotu ptaka trybuny polskich stadionów piłkarskich przypominają czasami bawarską pijalnię piwa z pierwszej połowy XX w.: siedlisko resentymentu, agresywnego nacjonalizmu i ksenofobii. Ten obraz wzmacniany jest migawkami z Marszu Niepodległości licznie zasilanego delegacjami radykalnych grup kibiców z całej Polski. Wobec tego nie znajdujemy niczego dziwnego w tym, że kibice są obiektem licznych miłosnych westchnień prawicowych polityków jako zdrowy, patriotyczny trzon polskiego społeczeństwa, nawet jeśli miałby to być trzon bejsbolowego kija lub maczety.

„Dzięki waszej odwadze stadionów nie dotknęła propaganda i chwilowe ideologiczne mody" – kadził im niedawno Nawrocki. Patryk Jaki z kolei dziękował kibicom za „ochronę polskich granic", a Łukasz Rzepecki z Konfederacji bronił ostatnio „obrażanych polskich kibiców, polskich patriotów" przed atakami lewicy. Grzegorz Braun z kolei rozpływał się nad tym, jak kibice „ratują honor Rzeczypospolitej", ponieważ „piękna oprawa stadionowa czasem robi większą robotę niż niejedno ministerstwo". Jedną z „pięknych opraw" wyświetlił nawet na fasadzie Pałacu Prezydenckiego Nawrocki, a była to oprawa wyklęta, ponieważ wcześniej na jej wniesienie na Stadion Narodowy podczas meczu reprezentacji nie zgodziła się policja. W domyśle oczywiście policja Tuska, który w tym środowisku od kilkunastu już lat pełni funkcję oberdiabła.

Wraz z wyborczym zwycięstwem Karola Nawrockiego kibice mają swojego człowieka w Pałacu Prezydenckim: zagorzałego fana Lechii Gdańsk z historią uczestnictwa w ustawkach, a więc z dostępem do wąskiego kręgu wtajemniczenia kibicowskiej subkultury. Stadionowi chuligani nigdy nie byli tak blisko władzy i nigdy żadnej władzy w takim stopniu nie akceptowali. To fakt. Jednak tak grubą kreską rysowany obrazek związków między kibolami a polityką nieco zafałszowuje rzeczywistość, z którą mamy do czynienia. Paradoks polega między innymi na tym, że związany ze zwycięstwem Nawrockiego ich największy sukces może być równocześnie ostatnim epizodem w roli budzącego postrach lub podziw zorganizowanego, stadionowego tłumu. Bo tak jak działo się to w Europie Zachodniej, również z polskich trybun kibolską tradycyjną tożsamość coraz mocniej wypiera współczesny kapitalizm, przekształcający widowiska futbolowe w dochodową mieszczańską rozrywkę.

Co nie oznacza, że polityczny wpływ zawartych na trybunach paramafijnych układów podlanych agresywnym, skrajnie nacjonalistycznym sosem staje się mniejszy. Raczej inny. Może nawet groźniejszy. Bo dawni bojówkarze zdejmują szaliki, ukrywają kompromitujące tatuaże i występują w nowych rolach społecznych, zlewają się z tłumem normalsów, zachowując radykalne poglądy.

Krótka historia kibolstwa

Publiczne postrzeganie środowiska kibicowskiego wciąż jest silnie osadzone w rzeczywistości sprzed dwóch dekad, gdy pamiętające PRL stare, rozpadające się stadiony co rusz były arenami plemiennych walk agresywnych tłumów młodych mężczyzn, bijących się wśród wirujących w powietrzu krzesełek, desek i kamieni, na tle – zdarzało się i tak – płonących trybun. Wizyta na meczu piłkarskim jawiła się wtedy niczym podróż do jądra ciemności, ekstremalna wycieczka, przed którą w razie czego warto wykupić ubezpieczenie na życie.

To w takiej atmosferze społecznej pierwszy rząd Donalda Tuska poszedł na pełnoskalową wojnę z kibicowską bandyterką, zaostrzając prawo i działania policyjne oraz zamykając stadiony. To wówczas powstało też słynne hasło „Donald, matole, twój rząd obalą kibole", które pozostało jednak pobożnym życzeniem, bo kibole żadnego rządu nie obalili, wręcz przeciwnie, Platforma Obywatelska w wyborach 2011 r. znacząco poprawiła swój wynik sprzed czterech lat.

To był czas tuż przed organizowanym przez Polskę i Ukrainę piłkarskim Euro 2012, postrzeganym powszechnie jako ostateczny test narodowej przynależności do rodziny krajów cywilizowanych. Ostry kurs wobec środowisk kibolskich cieszył się z tego powodu powszechną akceptacją, tym większą, ▶

eprasa.pl f51a944834

▶ im mocniejsza była obawa, że radykalne grupy kibicowskie narobią nam podczas prestiżowej imprezy obciachu przed całym światem. Wraz z powstającymi nowoczesnymi arenami mistrzostw Europy coraz szerzej podzielane było też marzenie, żeby na polskich stadionach było tak jak na Zachodzie, który – jak wówczas mówiono – poradził sobie z chuliganami. Nawiasem mówiąc, ten opis nie do końca odpowiadał rzeczywistości, bo spektakularne burdy kibiców w bardziej od Polski cywilizowanych piłkarsko krajach zdarzały się wówczas i zdarzają się także dziś. Tak czy inaczej, w zbiorowej wyobraźni klubowemu kibicowi piłkarskiemu przypisano wówczas funkcję „dzikiego kibola": agresywnego, niebezpiecznego stworzenia, którego intencje i motywacje trudno jest zrozumieć ludziom normalnym.

Rzeczywistość z tamtego czasu wciąż często przedstawiana jest w mediach jako opis współczesności, choć z perspektywy 2026 r. wydaje się jednak z zupełnie innej epoki. Dziś większość klubów piłkarskiej Ekstraklasy dysponuje nowoczesnymi stadionami pozwalającymi oglądać mecze w komfortowych warunkach, a jakość piłkarskiej infrastruktury bije na głowę wiele krajów Europy Zachodniej. W polską piłkę dziesiątki milionów euro inwestują poważni biznesmeni, a wypad na mecz wiąże się z podobnym ryzykiem jak weekendowe wyjście do kina. Dziś średnia liczba kibiców podczas kolejki ligowej to niemal 14 tys. osób, czyli prawie dwukrotnie więcej niż 15 lat temu, z czego płynie prosty matematyczny wniosek, że najradykalniejsze grupy kibiców nie dominują już wśród ogółu fanów.

Bywanie na meczach stało się modne, a mecze nie są po to, żeby zarobić w zęby, tylko by zarobić po prostu. Dziś polska piłka klubowa to już nie patologiczne bachanalia chuliganów dopingujących skorumpowanych piłkarzy, tylko opakowany w błyszczący papierek, całkiem dochodowy produkt. Folklor zaś tzw. ultrasów w postaci odpalanych rac i opraw stał się częścią widowiska, przedstawienia odgrywanego ku uciesze zapełniającej trybuny klasy średniej, która nauczyła się skutecznie przymykać oczy na widok pojawiających się od czasu do czasu nieestetycznie radykalnych haseł.

Czy możliwa jest partia kiboli?

Ten zwrot polegający na ucywilizowaniu (lub w innym ujęciu – komercjalizacji) widowiska piłkarskiego powoduje, że mówienie po prostu o poglądach politycznych kibiców to karkołomne wyzwanie. Gdy na trybunach stadionu siedzi 20 tys. osób, nie sposób sprowadzić ich do wspólnego, ideologicznego mianownika. To o tyle ważne zastrzeżenie, że radykalnie prawicowe poglądy wyrażane przez najbardziej zagorzałą część trybun często ekstrapoluje się na kibiców piłkarskich w ogóle. A to z kolei prowokuje umiarkowanie trafne uproszczenia. Próba definiowania umownej „partii kibiców" jako jednolitego konstruktu sympatyzującego z konkretnym ugrupowaniem politycznym jest tak samo pozbawiona sensu jak w przypadku projektowania partii rowerzystów albo miłośników kina akcji.

Co nie zmienia faktu, że bez pudła konkretny pakiet poglądów możemy przypisać zaludniającym stadionowe „kotły" i „żylety" tzw. ultrasom: w wersji umiarkowanej to zestaw narodowo-konserwatywny, zwany również patriotycznym, w wersji hard – połączony z ksenofobicznym nacjonalizmem i homofobią, rzadziej z sympatiami wprost neofaszystowskimi. Jak liczna to grupa, trudno precyzyjnie oszacować. Zakładając nieco na wyrost,

Hasło Lechii tutaj adresowane do Nawrockiego. Do Tuska zaadresowano kiedyś

że podczas rekordowej kolejki Ekstraklasy w 2025 r., gdy na stadiony przyszło prawie 158 tys. osób, 30 proc. stanowili radykalni kibice i przyjmując nieco ryzykowną jednak hipotezę, że każdy z nich podziela wykrzykiwane lub wywieszane na transparentach hasła, dostajemy ok. 50 tys. osób wyznających poglądy ze skrajnie prawicowego imaginarium. Doliczając niższe ligi, możemy tę liczbę podwoić, co daje mniej więcej frekwencję podczas marszów niepodległości.

To oni fetowali mordercę i rasistę Janusza Walusia jako bohatera walki z komunizmem (sic!), obrażali liberalno-lewicowych polityków i dziennikarzy, to oni przed wyborami prezydenckimi wywieszali transparenty z hasłem „Byle nie na Rafała". To ich próbują pozyskać dla siebie prawicowi politycy. Ostatnio najaktywniej robi to Grzegorz Braun, który pielgrzymuje po stadionach, robiąc sobie zdjęcia w towarzystwie zwolnionego z więzienia w RPA Walusia i oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Rosji Mateusza Piskorskiego.

Pytanie o skuteczność tych zabiegów pozostaje otwarte. Badacze polskich ruchów kibicowskich wskazują, że w parze z ich prawicowymi i nacjonalistycznymi poglądami idzie również silna antysystemowość i niechęć do partyjnych szyldów, nastawienie, by być raczej przeciwko – migrantom, lewicy, osobom LGBT, Trzaskowskiemu, Tuskowi – niż za. Zresztą łaska kiboli na pstrym koniu jeździ, o czym ostatnio przekonał się Zbigniew Ziobro, gdy na trybunach obelżywie fetowano wniosek o areszt dla polityka PiS. Notabene te nienawistne transparenty są dla Ziobry swoistym komplementem, bo za jego czasów prokuratura też rozbijała kibolskie gangi, a „niezłomni" jeszcze niedawno hersztowie zaczęli sypać kolegów, przyjmując status małych świadków koronnych.

© PRZEMEK ŚWIDERSKI/REPORTER

eprasa.pl f51a944834

nieco zmienioną wersję: „Nie byłeś, nie jesteś i nigdy nie będziesz kibicem Lechii".

W tym miejscu należy zrobić przypis, że afiliacje polityczne związane z klubami piłkarskimi lub grupami kibicowskimi nie są tylko polskim fenomenem. Co jednak jest charakterystyczne dla Polski, ale także większości innych krajów postkomunistycznych Europy Środkowo-Wschodniej, to jednorodnie prawicowy kierunek politycznych sympatii. Z tym wiąże się jeszcze jedna istotna różnica: o ile na Zachodzie nacechowany politycznie aktywizm grup kibicowskich jest silnie związany z różnorodną historią i specyfiką lokalnych wspólnot, o tyle u nas zawsze jego ideologiczną czapę stanowi bliski nacjonalizmowi patriotyczny frazes.

Lokalne wspólnoty kontra nacjonalizm

W naszym kraju chyba jedynym klubem o jednoznacznie lewicowym charakterze jest warszawski AKS Zły, którego męska drużyna gra w A Klasie (siódmy szczebel rozgrywkowy), a drużyna kobiet w III lidze. W Europie Zachodniej mniej lub bardziej lewicowy profil mają kluby, by tak rzec, nieco bardziej rozpoznawalne, z historią sięgającą korzeniami lewicującej klasy robotniczej początku XX w. albo związaną ze społeczną bazą konkretnych dzielnic. Mowa np. o Liverpoolu, którego legendarny trener Bill Shankly uznawał socjalizm za optymalną formę organizacji nie tylko życia społecznego, ale również futbolowego. To także hiszpańskie Rayo Vallecano, z robotniczo-migranckiej dzielnicy Madrytu, albo niemieckie FC St. Pauli z Hamburga, chyba najbardziej emblematyczny lewicowy klub w Europie.

Również kibicowska przemoc nie jest specyficzna dla Polski, czego mogliśmy być świadkami naocznie w maju ubiegłego roku, gdy we Wrocławiu rozgrywano finał Ligi Konferencji pomiędzy angielską Chelsea a hiszpańskim Realem Betis. W centrum miasta doszło wtedy do gwałtownych starć pomiędzy fanami obu drużyn, a policja podczas interwencji użyła armatek wodnych. Do większych lub mniejszych zamieszek pomiędzy kibicami dochodzi regularnie we Francji, Niemczech czy Włoszech.

Przemoc – przynajmniej w najwyższych klasach rozgrywkowych – skutecznie wyrugowano ze stadionów, czyniąc z nich bezpieczne miejsca masowej rozrywki, ale to nie znaczy, że znikła w ogóle z kibicowskiego krajobrazu. W tym sensie, jakkolwiek dwuznacznie by to zabrzmiało, udało nam się w Polsce spełnić marzenie sprzed lat: dogoniliśmy Europę Zachodnią.

Koledzy po szalu

Ekosystem społeczno-polityczny polskiego życia futbolowego rekordowo długo przechodził czas burzy i naporów transformacji ustrojowej. Chaos organizacyjny, wszechogarniająca korupcja, widowiskowa przemoc na trybunach, działające z otwartą przyłbicą bandycko-mafijne układy, zdobywające władzę nad klubami albo wymuszające od nich haracze, biznesmeni nuworysze przejmujący kluby, by za chwilę doprowadzić je do upadku – to wszystko towarzyszyło nam jako codzienność jeszcze niedawno. A towarzysząc, deprawowało. Przez ten czas nauczyliśmy się wypatrywać zagrożenia po prostu w tym, co było wyraźnie widać: w kibolu rzucającym nożem w piłkarza, wyrywającym ogrodzenie, szturmującym murawę, tłukącym się z innym kibolem. Ten czas wydaje się jednak szybko przechodzić do przeszłości.

Jako się rzekło, nowe, piękne areny i coraz większe pieniądze z roku na rok intensywniej transformują naszą kibicowską scenografię na modłę Europy Zachodniej, zmieniając stadiony w centra spędzania wolnego czasu dla klasy średniej. Food trucki przy trybunach, strefy relaksu, piwko, kiełbaska, niezobowiązująca, zazwyczaj nieszczególnie napięta atmosfera. Gdyby ktoś 15 lat temu powiedział, że taka będzie polska rzeczywistość stadionowa, uznano by go za wariata. Ten krajobraz spycha najbardziej radykalne grupy z ich agresywnie nacjonalistyczną agendą na margines trybun.

Im mocniej będzie się zacierał w społecznej pamięci czas budzącej grozę stadionowej patologii, im rzadziej będą się zdarzać szczególnie oburzające ekscesy, tym bardziej otworzy się przestrzeń dla „kibola ustatkowanego", „kogoś takiego samego jak my", którego forpocztą jest dziś Karol Nawrocki. Cóż, ktoś w młodości zbierał znaczki, ktoś podróżował po świecie, a ktoś inny biegał bić się do lasu i nie przeszkadza mu to być prezydentem. Dlaczego więc ktoś inny o podobnej przeszłości nie miałby być szanowanym obywatelem, działaczem społecznym albo politykiem z PiS, Konfederacji czy od Brauna? Nawrocki karczuje dziś ścieżkę awansu społecznego i zdobywania prestiżu dla kolegów po szalu.

Wpływ środowiska kiboli na polską politykę nie będzie znaczony znanymi z przeszłości zadymami, będzie szedł drogą wytyczoną przez Nawrockiego: normalizacji ich stylu życia, wartości, poglądów, lojalności. Będzie coraz szerzej przenikał do głównego nurtu, a co za tym idzie, przesunie go jeszcze dalej na prawo. Czyli inaczej mówiąc, odnowi się w praktyce starą lewicową koncepcję marszu przez instytucje. Bo kibol w garniturze jest mniej awanturujący się. I jak pokazały wybory prezydenckie, akceptowalny dla większości. Ale czy mniej niebezpieczny?

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl f51a944834

Pati azylantka

Inteligentna, odporna psychicznie i tajemnicza. Ma wpływy w mediach. Decydowała o tym, co się działo w Ministerstwie Sprawiedliwości. Od niedawna znajduje się pod ochroną węgierskiego rządu. Jaką rolę odgrywa Patrycja Kotecka-Ziobro?

ANNA DĄBROWSKA

Wśród polityków i ludzi ze służb specjalnych krążą spekulacje na temat azylu politycznego dla Patrycji Koteckiej-Ziobro, żony byłego ministra sprawiedliwości-prokuratora generalnego. On sam w sążnistym oświadczeniu na X tak uzasadnił schronienie małżonki pod skrzydłami Viktora Orbána: „Podjąłem decyzję, że nie pozwolę, aby moje dzieci zostały pozbawione opieki matki, a moja żona – w zastępstwie za mnie – stała się ofiarą psychopatycznej zemsty Donalda Tuska. Dlatego wystąpiłem o objęcie jej międzynarodową ochroną".

Klementyna Suchanow, aktywistka i dziennikarka śledcza, która była podsłuchiwana Pegasusem, zauważa, że jako prokurator generalny i minister sprawiedliwości Ziobro ma ogromną wiedzę o elicie politycznej kraju, od tych, którzy dziś rządzą, po kolegów z PiS. – *Ziobro zna liczne sprawy prokuratorskie, miał pod sobą sądy, więziennictwo i słynął ze zbierania haków. Miał także Pegasusa, a do dziś posiadamy niewielką wiedzę o tym, czego i o kim się dowiedział* – stwierdza Suchanow.

Ludzie, z którymi rozmawiamy, nie mają wątpliwości, że Ziobrowie są na Węgrzech otoczeni przez tamtejsze służby. – *Prowadzone są z nimi regularnie i dociekliwe tzw. przyjacielskie rozmowy, zapewne są na podsłuchu, a Ziobro raczej uchodzi za człowieka słabego psychicznie, więc nawet nie trzeba na nim wywierać wielkiej presji, aby wycisnąć wszystko, co może być użyteczne w międzynarodowej grze* – uważa nasz rozmówca, który ma pojęcie o działalności służb, także węgierskich.

Czułe rozmowy

Sama Kotecka-Ziobro nie ma zarzutów, może więc latać do Brukseli. Od 2024 r. Ziobrowie wynajmują tam mieszkanie, a ich dwaj synowie chodzą do szkoły. Ich edukację finansuje Parlament Europejski, bo to jeden z przywilejów dla dzieci

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl f51a944834

asystentów akredytowanych, a taką jest Kotecka dla europosłów Daniela Obajtka, Jacka Ozdoby i Patryka Jakiego. Choć – jak twierdzą nasi rozmówcy z PE – nie jest tu często widywana. Zgodnie z przepisami powinna być codziennie w pracy, a mieszkać najwyżej 50 km od Brukseli. Jeśli jest inaczej, to może stracić pensję, ok. 40 tys. zł.

Wielu znajomych Ziobrów, i to nie tylko z Solidarnej Polski, twierdzi, że Ziobro nie zaszedłby w polityce tak wysoko, gdyby nie stała przy nim ambitna żona. Zwracają uwagę, że to ona go napędzała, jest jego polityczno-medialnym doradcą i ona w tej relacji zachowywała zimną krew, kiedy wpadali w tarapaty. Ale wydarzenia z ostatnich tygodni wstrząsnęły także Patrycją. – *Są pewne sprawy, o których się dziś jeszcze nie mówi, a które jeszcze mogą wyjść na jaw. Patrycja to wie, to ją psychicznie rozkłada* – twierdzi nasz rozmówca.

Rzecznik Prokuratury Krajowej, odpowiadając na nasze pytania, potwierdził, że „w żadnej sprawie prowadzonej w Prokuraturze Krajowej nie wydano postanowienia o przedstawieniu zarzutów Patrycji Koteckiej-Ziobro". Dodaje, że „w szczególności zarzutów nie przedstawiono (ani nie sporządzono) w śledztwie dotyczącym nieprawidłowości w Funduszu Sprawiedliwości. W postępowaniu tym Patrycja Kotecka-Ziobro została przesłuchana w charakterze świadka. Nie informujemy o przedmiocie przesłuchania (postępowanie w tym wątku jest kontynuowane)" – tyle z oficjalnej odpowiedzi. Wiadomo jednak, że status świadka w sprawie może się zmienić w podejrzanego.

Tomasz Mraz, były dyrektor w resorcie Ziobry, który poszedł na współpracę z prokuraturą, ujawnił nagrania, z których wynika, że Kotecka ingerowała w działalność FS. Formalnie nie miała do tego żadnego tytułu. Jedna z urzędniczek z resortu Ziobry Urszula D., która w październiku 2024 r. po siedmiu miesiącach wyszła z aresztu, zastanawia się na nagraniach Mraza, co w sytuacji, kiedy padną pytania „o kontakty z panią Patrycją? Co robić? Na ile ingerowała w różne rzeczy? Ja się wszystkiego wyprę (śmiech), chyba że mają na Pegasusie moją czułą korespondencję z nią. Mraz: – A korespondowałyście? Urszula D.: – No, ona ze mną (śmiech). Mraz: – To nigdy nie jest tak, że ty zaczynasz. Ty nie zaczynasz konwersacji z panią Patrycją. To ona zaczyna z tobą. Albo zaprasza cię do jakiejś (śmiech)".

Umorzona Katarzyna C.

Jest też inna sprawa, w której przewija się jej nazwisko, ale do tej pory mało o niej wiadomo. Wspomniał o niej kilka dni temu dziennikarz śledczy Radosław Gruca w rozmowie w Radiu Rebeliant. Chodzi o wprowadzony przez Ziobrę w 2017 r. System Losowego Przydziału Spraw w sądach powszechnych, który mógł przynosić nie tylko korzyści polityczne, ale też przysłużyć się osobiście ludziom ze świata przestępczego. „Osoba, będąc bardzo blisko jednego z informatyków, który nad tym pracował, zginęła w dziwnych okolicznościach, została znaleziona martwa pod koniec 2022 r. To historia, którą prokuratura analizowała, ale bardzo pobieżnie" – mówi Gruca.

Sprawę tę poruszył na początku listopada 2024 r. Andrzej Sikorski w tygodniku „Przegląd". Opisywał, że w 2018 r. Kaczyński otrzymał dramatyczny list od Katarzyny C., która zwróciła się o zapewnienie jej i jej dziecku bezpieczeństwa. List był cytowany w tygodniku prawie w całości. Przyznała, że jest w trakcie rozwodu z Damianem C., i zdecydowała się na zeznawanie w sprawie korupcji, w której uczestniczyła razem z mężem.

Chciała zeznawać w Prokuraturze Okręgowej w Warszawie, ale przyjęto tylko zawiadomienie w wątku dotyczącym jej osobistych spraw. „Obawiam się, że bezpośrednia znajomość mojego męża (...) i bliska przyjaźń z Patrycją (żoną ministra Ziobry) poskutkowała nieprzyjęciem zawiadomienia. Patrycja i mój mąż przyjaźnią się od dzieciństwa. Mój mąż wielokrotnie pomagał jako informatyk i nie tylko w sprawach pana Ministra". Pisała, że ma wydruki z kopii zapasowych telefonu męża, listy kontaktów, treści esemesów i maile, nazwiska i funkcje publiczne osób uczestniczących w procederze korupcyjnym oraz inne dokumenty. Twierdziła, że mąż wielokrotnie groził jej i dziecku, że po ujawnieniu przestępstw, w których uczestniczyli, będzie zagrożone jej życie. Przyznała, że ukrywa się, gdyż jest nękana telefonami oraz śledzona. Dostała odpowiedź z biura prezydialnego PiS, że Jarosław Kaczyński przekazuje sprawę do... ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry.

Kobieta opowiedziała Andrzejowi Sikorskiemu, że ani prokuratura, ani CBA nie są zainteresowane jej zeznaniami. Podejrzewała, że chodzi o bliską znajomość jej męża z Ziobrami. W „Przeglądzie" ujawniono, jak tragicznie potoczyły się jej losy, i to o tym mówił kilka dni temu Gruca. Po wywiezieniu syna do Niemiec przez Damiana C. matka dziecka zamieszkała niedaleko granicy z Polską, chcąc pozostać jak najbliżej dziecka. Tam w wynajmowanym mieszkaniu, we wrześniu 2022 r., znaleziono jej zwłoki, które leżały już około dwóch tygodni. Uznano, że śmierć 38-latki nastąpiła naturalnie, choć wedle Sikorskiego była w dobrym zdrowiu i nie narzekała na żadne dolegliwości. Damian C. w wiadomości do jej koleżanki miał napisać, że „zmarła w spokoju" i „nie zasłużyła aż na śmierć".

Dziewczyna do sprawdzenia

Wojciech Czuchnowski w 2020 r. ujawnił w „Gazecie Wyborczej" zeznania jednego z bossów mafijnych Piotra K. „Brody", który poszedł na współpracę z prokuraturą. Przesłuchiwany w 2009 r. mówił śledczym o związkach Koteckiej ze środowiskiem przestępczym, które ciągnęły się od końca lat 90. (była wtedy studentką Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych na UW oraz barmanką w modnym warszawskim klubie) do połowy 2006 r.

„Kotecka (...) wykonywała dla nas wiele działań, a w szczególności z uwagi na jej charakterystyczną urodę podrzucaliśmy ją różnym osobom, także z kręgu polityki, biznesu, ale także funkcjonariuszom policji" – zeznał Broda. Dopiero kiedy było już wiadomo, że w „GW" ukażą się zeznania Brody obciążające Kotecką, prokuratura, którą rządził wówczas Ziobro, uchyliła mu status świadka koronnego. Wcześniej, przez lata jako wiarygodnego świadka, dzięki któremu udało się skazać kilku prominentnych gangsterów, wychwalał go publicznie Mariusz Kamiński, były szef MSWiA i koordynator służb specjalnych za rządów PiS.

Ziobro miał się też obawiać, że Kotecka została mu podstawiona przez mafię. Renata Grochal opisywała, że udał się w 2006 r. do ówczesnego szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego Bogdana Święczkowskiego z poleceniem, ▶

eprasa.pl f51a944834

▶ aby podległe mu służby ją sprawdziły. Wtedy Ziobro był już z Kotecką w związku. W archiwum ABW pozostały dwie opasłe teczki z materiałami z inwigilacji.

Poznali się w 2003 r. przy okazji obrad sejmowej komisji śledczej badającej aferę Rywina. Kotecka (rocznik 1978) wyrosła wtedy na dziennikarkę śledczą, a on – o osiem lat starszy – na gwiazdę komisji. „Szczególną uwagę zwróciłem na Patrycję (...). Po siedmiu godzinach słuchania i patrzenia na Leszka Millera zobaczyłem w końcu piękną kobietę, która się uśmiechała" – wspominał Ziobro w jednym z wywiadów.

© TVN24

Ziobrowie w Budapeszcie, listopad 2025 r.

Mamy tu pewną dziennikarkę

Wówczas pracowała w „Życiu Warszawy". Mówili, że gdzie redaktor nie może, tam Patrycję pośle. Bo kto inny, aby dostać się w szpitalu do sali, w której leżał Rywin, przebrałby siebie i fotoreportera w fartuch lekarski?

W 2005 r. Paweł Kwaśniewski szukał prowadzącej do interwencyjnego programu „Detektor" w TV4. Kiedy przyszła na spotkanie w szpilkach i falbankach, pomyślał, że nie czuje tematu. – *Współpracowaliśmy przez mniej więcej dwa lata i nieraz przecierałem oczy ze zdziwienia, jakie papiery przynosi do redakcji. Wiele z nich było poza zasięgiem doświadczonych dziennikarzy śledczych. Kiedy ktoś ją zauważył na Placu Konstytucji w towarzystwie Ziobry, sprawa stała się dla nas jasna* – opowiada Kwaśniewski.

Były dziennikarz „ŻW" wspomina, że choć przynosiła wiele mocnych tematów, to patrzyli na nią nieufnie: – *Ubierała się dość wyzywająco i plotkowano, że to pomaga jej zdobywać przychylność informatorów. Ale najbardziej zastanawiające było to, że do redakcji podwozili ją panowie w luksusowych samochodach obwieszeni złotymi łańcuchami, tzw. ludzie z miasta.*

W 2005 r. PiS pierwszy raz przejął władzę, Ziobro został ministrem sprawiedliwości. Kariera Koteckiej przyspieszyła. Andrzej Urbański z gabinetu szefa kancelarii Lecha Kaczyńskiego przeszedł na fotel prezesa TVP i awansował ją na zastępcę dyrektora Agencji Informacji TVP (AI). Wtedy zaczęto ją nazywać Pati Koti.

Janusz Kaczmarek, prokurator krajowy i zastępca Ziobry w latach 2005–07, szef MSWiA w 2007 r., wspomina: „O pani Patrycji Koteckiej słyszałem po raz pierwszy z ust ministra [Ziobry] w trakcie pewnej rozmowy u prezydenta. (...) Ziobro mówił: »Mamy tu pewną dziennikarkę, która wcześniej była sekowana, ale jest dobrą dziennikarką. Co prawda jeśli znajdzie się na jakimś stanowisku, to może zacznie się wyciągać przeciwko niej jakieś zarzuty, że jest powiązana z mafią, ale to wszystko będzie nieprawda«".

Dzięki Kaczmarkowi wiemy też, jak Ziobro przekonywał Urbańskiego do Koteckiej. „Będzie pan potrzebował ludzi, ja mam taką osobę, jest nią redaktor, za którą mogę poręczyć, Patrycja Kotecka. To osoba, która będzie działała na naszą rzecz". Ona wywiązywała się z zadania. Podobno mawiała – jak twierdzili reporterzy „Wiadomości" – że coś nie będzie pokazane, „bo może zaszkodzić PiS".

Kotecka nie zaprzeczała, kiedy wyszło na jaw, że scenariusze telewizyjnych programów o sprawie doktora Garlickiego, na którego polował Ziobro, pisała na służbowym laptopie ministra sprawiedliwości, bo „są dobrymi znajomymi". Afera z komputerem wybuchła w 2008 r., po przejęciu władzy przez pierwszy rząd PO-PSL. Ziobro, ponaglony przez swojego następcę ministra Zbigniewa Ćwiąkalskiego, oddał służbowy sprzęt, ale znacznie uszkodzony. Kiedy udało się odzyskać dane z dysku, okazało się, że korzystała z niego Kotecka.

I tu się pojawia Pruszków

Tajemnicze powiązania Koteckiej opisał też w 2013 r. Tomasz Piątek. Jeszcze przed ślubem cywilnym z Ziobrą w 2011 r. (jest wiele wątpliwości co do tego, czy w ogóle zawarli związek sakramentalny) Kotecka była już właścicielką dwóch nieruchomości. Jak ustalił Piątek w 2010 r., za prawie milion złotych kupiła 120-metrowy apartament na Skarpie Wilanowskiej w Warszawie od byłego współpracownika komunistycznych służb specjalnych Andrzeja Kozłowskiego. W III RP współpracował on z deweloperską Grupą Radius, której założyciel miał kontakty z rosyjskimi oligarchami. I tu się pojawia gang pruszkowski. Jak wyjaśniał w rozmowie z POLITYKĄ Piątek, gang blisko współdziałał z mafią sołncewską – wielką rosyjską organizacją przestępczą, współpracującą ze specsłużbami Kremla.

Przy okazji warto wspomnieć, że Kotecka w 2014 r. nabyła na spółkę z rodzicami 53-metrowe mieszkanie na Mokotowie, płacąc ponad 400 tys. zł. I dodatkowo, w grudniu 2021 r. – 120-metrowe mieszkanie w apartamentowcu na warszawskim Powiślu. Pod koniec kwietnia 2024 r. sprzedała je Bartłomiejowi Litwińczukowi, bliskiemu współpracownikowi Ziobry, który reprezentował go przed sądami. Za rządów PiS Litwińczuk zasiadał w kilku radach nadzorczych państwowych spółek, m.in. w spółce zależnej od PZU – Link4. Kiedy w 2020 r. Kotecka wchodziła do zarządu państwowego ubezpieczyciela, Litwińczuk jako szef rady nadzorczej Link4 uzasadniał: „To wzmocnienie kompetencji marketingowych w teamie zarządzającym".

Z pewnością to było wzmocnienie promocji Ziobry w mediach, z którymi udało się Koteckiej skutecznie *dealować*. W 2018 r., kiedy była w Link4 szefową marketingu, ktoś zwrócił uwagę, jak bardzo łaskawy jest dla Zbigniewa Ziobry tabloid „Fakt", a że Morawieckiemu co rusz się tu obrywa. Sprawdziliśmy wtedy, ile Link4 inwestuje w reklamy w tych tabloidach. Agencja Publicis Media Poland przygotowała na naszą prośbę takie zestawienie: rynkowa wartość promocji ubezpieczyciela w „Fakcie" wyniosła

eprasa.pl f51a944834

w 2018 r. 734 tys. zł, a u wydawcy „SE" 144 tys. zł. Różnica w rozdziale funduszy była ogromna.

Przyszła i się nie wtrącała

Kotecka odegrała też istotną rolę w jednej z większych afer w polskich mediach. W 2020 r. OKO.press ujawniło, że w wp.pl pojawiają się teksty wychwalające Ziobrę. Ich autorem okazał się piszący pod pseudonimem Suwart dziennikarz, który miał być inspirowany przez Kotecką. Później znalazł pracę w resorcie Ziobry. Na tej współpracy wp.pl miała zarobić ok. 6 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości.

Jak ujawnił Mariusz Gierszewski w Radiu Zet, we wnioskach z audytu zapisano: „Link4 skoncentrował się jedynie na ślepym zdobywaniu udziałów w rynku, co w połączeniu z niekompetencją i licznymi błędami menedżerskimi doprowadziło do strat w segmencie ubezpieczeń komunikacyjnych". Przypomniano wprost, że „od 2016 roku za sprzedaż online i marketing w Link4 odpowiadała żona ówczesnego ministra sprawiedliwości. W 2020 roku weszła do zarządu Link4, gdzie pracowała do 2022 roku". To zaskakujące, że pomimo takich wniosków nowe władze spółki zdecydowały się niedawno na wypłacenie Koteckiej premii. To zresztą z satysfakcją odnotował na X Ziobro w swoim azylowym oświadczeniu. Ziobro chwalił, że „realizowane pod jej kierownictwem kampanie marketingowe zostały uhonorowane licznymi prestiżowymi nagrodami branżowymi".

O tych prestiżowych nagrodach dla Koteckiej też już pisaliśmy w POLITYCE, ale w kontekście oświadczenia Ziobry warto je jeszcze przypomnieć. To nagrody za reklamy utrzymane w stylistyce największych przebojów muzycznych, które wyśpiewywała Kasia Moś. Cała koncepcja powstała w 2014 r. i – jak twierdzili nasi informatorzy – to był sukces, ale marka nie zawdzięcza go Koteckiej, która przyszła na gotowe. Ktoś inny wspomina, że kiedy przyszła do Link4, nie wiedziała nawet za bardzo, jakie produkty sprzedaje. „Trzeba jej oddać, że nie udawała, że się jakoś szczególnie na tym zna" – mówili jej współpracownicy. A za jej największą zasługę uznali fakt, że pozwoliła kontynuować zastaną strategię i się nie wtrącała.

Na nagraniach Mraza słychać też, jak Romanowski wspomina, że ktoś miał „niezłe doświadczenie z Patrycją: „Dzwoni do niego w nocy i mówi:» jeżeli pan chce w tym kraju jeszcze w mediach robić karierę, to coś tam, coś tam...«". Z niektórymi dziennikarzami próbowała się zaprzyjaźniać, dawała jakieś newsy, obiecywała reklamy, ale nic za darmo, zawsze oczekiwała czegoś w zamian.

W 2018 r., podczas pracy nad tekstem dotyczącym Patrycji Koteckiej, dowiedziałam się, że dopytywała ona znajomego dziennikarza o moje życie prywatne, m.in. o to, czym zajmuje się mój mąż, czy mamy dziecko oraz gdzie mieszkamy. Po publikacji artykułu, w którym ujawniłam m.in. to, że nagradzana kampania z Kasią Moś to nie był jej pomysł, Kotecka zadzwoniła do mnie. Domagała się ujawnienia źródła informacji, zarzucała mi kłamstwo, pytała, czy nagrywam naszą rozmowę. Powiedziałam jej, że właśnie jadę samochodem, że oddzwonię, że to nie są warunki do rozmowy. Odpowiedziała: – *Dlaczego pani kłamie, przecież widzę, że nie prowadzi pani w tej chwili samochodu?* I odłożyła słuchawkę.

ANNA DĄBROWSKA

REKLAMA

DOBRY WZÓR

WYSTAWA POKONKURSOWA

Ślady Tworzenia

12/01/26-28/02/26
9:00-19:00
wstęp wolny

Instytut Wzornictwa Przemysłowego
Sala im. prof. Wandy Telakowskiej
ul. Świętojerska 5/7, 00-236 Warszawa

ORGANIZATOR INSTYTUT WZORNICTWA PRZEMYSŁOWEGO

PARTNERZY arp PZU LOT Biesiada Invest Instytut Przemysłów Kreatywnych

eprasa.pl f51a944834

Ruchy druha

Były premier Mateusz Morawiecki prowadzi własną kampanię, niezależną od PiS, aby ponownie zostać szefem rządu, a może i następcą Jarosława Kaczyńskiego. Czy ma na to jakiekolwiek szanse?

WOJCIECH SZACKI

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Mateusz Morawiecki 31 grudnia zamieścił wpis na platformie X, w którym obiecał, że w 2026 r. każdego dnia stoczy jedną bitwę o normalną Polskę. Ile z tych bitew będzie z Donaldem Tuskiem, ile z prokuraturą, a ile z przeciwnikami z własnej partii, to się dopiero okaże, ale trzeba przyznać, że tego noworocznego postanowienia były premier na razie się trzyma.

Zajrzyjmy do styczniowego kalendarza Morawieckiego. 5 stycznia – debata w Kanale Zero z amerykańskim ambasadorem Tomem Rose'em. 7 stycznia – posiedzenie władz PiS i wyjazdowe spotkanie klubu parlamentarnego. 12 stycznia występ w radiu RMF, dzień później trzygodzinna rozmowa ze studentami na SGH, 15 stycznia gość Radia Zet. 16 stycznia – wiec w Dąbrowie Tarnowskiej, 18 stycznia – w Mielcu. 19 stycznia to wizyta w Pałacu Prezydenckim i spotkanie z prezesami największych polskich firm. Wieczorem wywiad dla TV Republika. 25 stycznia – spotkania z wyborcami w Nysie i Łagiewnikach.

We wtorki i czwartki publikuje w mediach społecznościowych – na TikToku, Instagramie i YouTube – filmiki składające się na „Alfabet Morawieckiego" (aktywa, budżet, cyfryzacja itd.). Wypuszcza spoty, które do złudzenia przypominają partyjne klipy wyborcze (ich hasło to Normalna Polska, jest to pomysł Morawieckiego i jego ludzi, nie całego PiS), publikuje dłuższe teksty i niestrudzenie krytykuje obecny rząd. Protestuje przeciwko umowie UE z krajami Mercosur, proponuje utworzenie „gospodarczego NATO", czyli strefy wolnego handlu między Unią a USA, wytyka błędy w budżecie.

Co ciekawe, cała ta działalność jest trochę obok głównego nurtu PiS. Morawiecki toczy bitwy z Tuskiem na własną rękę, używając raczej swojej retoryki niż

eprasa.pl f51a944834

partyjnych przekazów. Swoich oponentów w partii oskarża, że chcą upodobnić PiS do Konfederacji czy Korony, oni rewanżują się tezą, że tacy są teraz wyborcy prawicy, a Morawiecki proponuje iść w stronę bezludnego centrum.

Jego posty podają dalej głównie politycy z nim związani. Bo za Morawieckim stoi liczne grono orientujących się na niego osób, które podrzucają pomysły, pomagają w ich realizacji, a potem próbują je popularyzować. Te wszystkie teksty, spoty, hasła, wiece – to dzieło zbiorowe, były premier daje im jedynie swoją twarz i internetowe zasięgi. Ta grupa – frakcja – funkcjonuje równolegle do oficjalnych struktur PiS i w kontrze do prawego skrzydła formacji, na którym brylują Patryk Jaki, Jacek Sasin, Tobiasz Bocheński, Przemysław Czarnek i inni.

Nie chce przyhamować

Wzmożona aktywność Morawieckiego świadczy nie tylko o jego dużej pracowitości, lecz także o jego równie pokaźnych ambicjach. Teoretycznie nic już nie musi. Dzięki karierze w bankowości jest człowiekiem bardzo zamożnym. W tym roku skończy 58 lat, z których osiem spędził w rządzie, a sześć – w fotelu premiera. Rok temu do swojego bogatego CV dołożył funkcję przewodniczącego Partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów.

Mógłby przyhamować, ale ewidentnie nie chce. Co wskazywałoby na to, że pragnie zagrać o najwyższą stawkę i zostać nie tylko kandydatem na premiera po wyborach w 2027 r., lecz także następcą starszego od niego o 19 lat Jarosława Kaczyńskiego. Nie musi się to wydarzyć szybko (a może nie wydarzy się wcale), ale Morawiecki jest cierpliwy, odporny na ciosy i ma za sobą ludzi, którzy w niego wierzą i na niego pracują.

Wisi nad nim afera w Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, którą za jego rządów kierował jego człowiek Michał Kuczmierowski. W pandemii za pośrednictwem firmy Pawła Sz. (twórca marki odzieży Red is Bad) RARS kupowała po zawyżonych cenach maseczki i agregaty prądotwórcze, co zwróciło uwagę CBA. Po utracie władzy przez PiS trop podjęła prokuratura – Paweł Sz., deportowany z Dominikany, czeka na proces, a Michał Kuczmierowski – współpracownik Morawieckiego jeszcze z czasów pracy w banku – jest w Wielkiej Brytanii, w lutym zapadnie decyzja w sprawie jego ekstradycji do Polski (ale może się od niej odwołać). Jednak do ewentualnych zarzutów wobec samego Morawieckiego – jak się wydaje – jeszcze daleka droga. Może się więc skupić na polityce; zapewnia zresztą, że w odróżnieniu od Zbigniewa Ziobry nie zamierza ukrywać się za granicą.

Zaplecze w europarlamencie

W 2024 r. liczni posłowie związani z Morawieckim zasilili listy wyborcze PiS do Parlamentu Europejskiego. Mieli być raczej dostarczycielami głosów, niż wygrać, ale w trzech okręgach doszło do niespodzianek. Mandaty zdobyli bliscy współpracownicy byłego premiera. Były rzecznik rządu Piotr Müller przeskoczył na Pomorzu wieloletnią europosłankę Annę Fotygę. Dawny szef kancelarii premiera Michał Dworczyk wyprzedził na Dolnym Śląsku Annę Zalewską i Beatę Kempę, a były minister rozwoju Waldemar Buda wygrał w okręgu łódzkim z Witoldem Waszczykowskim. Niewiele zabrakło, by podobnie stało się na Podlasiu, gdzie wspierany przez Morawieckiego Adam Andruszkiewicz (dziś wiceszef Kancelarii Prezydenta, kiedyś minister w kancelarii premiera) zaledwie o kilka tysięcy głosów przegrał mandat z Maciejem Wąsikiem.

Ten sukces ludzi Morawieckiego nie jest bez znaczenia; mandat europosła daje poczucie pewnej niezależności politycznej, finansową stabilność i świadomość, że do połowy 2029 r. jest się w gruncie rzeczy nieusuwalnym z polityki. To nie przypadek, że pierwsze skrzypce w obu ostatnich rozłamach w PiS grali europosłowie (w 2010 r. Adam Bielan, Michał Kamiński, Paweł Kowal i Marek Migalski, a w 2011 r. Ziobro, Jacek Kurski i Tadeusz Cymański).

Müller, Dworczyk i Buda wciąż trzymają się bardzo blisko swojego patrona. Za ludzi Morawieckiego w europarlamencie uchodzą także – choć te więzi są znacznie luźniejsze – Dominik Tarczyński i Daniel Obajtek.

Szable Morawieckiego

W grudniu odbyły się dwie partyjne wigilie – ta oficjalna, organizowana przez klub PiS, oraz afterparty; gospodarzem drugiej imprezy był Morawiecki. Posłowie byli zniechęcani do udziału w spotkaniu z nim, bo działo się to w momencie wewnętrznego kryzysu w partii i Nowogrodzka nie chciała, by media miały kolejny powód do mówienia o wojnie frakcji.

Mimo to z Morawieckim bawiło się kilkadziesiąt osób. Nie wszystkich obecnych tam posłów można zaliczyć do frakcji M&M-sów (czy harcerzy), część przyszła pewnie z ciekawości, ktoś może na przeszpiegi, ale sukces frekwencyjny i wnioski z niego były oczywiste: z frakcją Morawieckiego trzeba się liczyć. Jej trzon tworzą politycy, którzy przewinęli się przez jego rząd w roli ministrów czy (częściej) wiceministrów. Są – przeciętnie – młodsi niż średnia wieku w klubie PiS, a do partii dołączyli stosunkowo niedawno, zwykle już po 2010 r.

Janusz Cieszyński to były minister cyfryzacji, który z Morawieckim współpracuje ponad 10 lat, zaczynał od funkcji doradcy w Ministerstwie Rozwoju pod koniec 2015 r., Paweł Jabłoński – były wiceminister w MSZ – był od 2018 r. doradcą premiera Morawieckiego. Obaj są sejmowymi debiutantami, podobnie jak Olga Semeniuk-Patkowska, która do frakcji Morawieckiego trafiła poprzez współpracę z Dworczykiem. ▶

REKLAMA

KLINIKA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398·56·56
tel. (052) 398·56·57
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:
rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, wiązadeł i stawów, migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:
po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach

ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

eprasa.pl f51a944834

▶ Dłuższy staż w Sejmie (trzecia kadencja) mają Krzysztof Kubów, były szef gabinetu politycznego Morawieckiego w latach 2019–23, oraz były wiceminister klimatu Ireneusz Zyska (który zaczynał na Wiejskiej jako poseł Kukiz'15).

Blisko Morawieckiego są także Krzysztof Szczucki, dawny szef Rządowego Centrum Legislacyjnego, albo Marcin Horała, były wiceminister funduszy, czy Łukasz Schreiber, który za rządów PiS był szefem Komitetu Stałego Rady Ministrów. Kolejne nazwiska stronników Morawieckiego to m.in.: Szymon Pogoda, Szymon Szynkowski vel Sęk, Łukasz Kmita, Grzegorz Macko, Marcin Gwóźdź, Anita Czerwińska, Robert Gontarz czy Anna Gembicka. Tę listę można by pewnie jeszcze trochę wydłużyć; nasi rozmówcy szacują, że Morawiecki może liczyć w Sejmie na co najmniej 30 posłów. To „może liczyć" ma oczywiście różne odcienie znaczeniowe; co innego sympatyzować z byłym premierem i podzielać jego poglądy, a co innego pójść za nim w razie zwarcia z resztą PiS. Grono takich najwierniejszych morawiecczyków byłoby pewnie znacząco mniejsze.

Sojusznicy spoza frakcji

Były premier ma dobre relacje także z wieloma ważnymi postaciami w PiS i okolicach tej partii. Trudno ich zaliczyć do frakcji Morawieckiego, ale jest im do niej niewątpliwie bliżej niż do maślarzy, czyli frakcji konkurencyjnej. W tym gronie są posłowie Ryszard Terlecki i Piotr Gliński (który koordynuje pracę nad programem PiS). To także europosłowie Adam Bielan i Joachim Brudziński. Morawiecki potrafi też zawierać nieoczywiste taktyczne sojusze – jego wieloletni konflikt z Beatą Szydło stracił na ostrości, gdy zaczęła się ścierać z Jakim, konkurentem z tego samego okręgu w eurowyborach. Wspólny wróg wpłynął na poprawę relacji byłych szefów rządu.

Morawiecki ma przyjaciół politycznych także w Pałacu Prezydenckim – poza Andruszkiewiczem także dyrektora biura analiz i strategii Tomasza Matynię, który za rządów PiS pracował w kancelarii premiera.

Za przynajmniej częścią programowych propozycji Morawieckiego stoi natomiast Leszek Skiba, były wiceminister finansów i prezes Banku Pekao SA, a obecnie szef konserwatywnego think tanku Instytut Sobieskiego. Skiba był w poprzedniej kadencji związany politycznie z Sasinem, ale teraz zbliżył się do Morawieckiego. W Instytucie Sobieskiego odnajdziemy także dawną wicepremierkę Jadwigę Emilewicz.

W konflikcie z maślarzami (tę nazwę frakcja przeciwników Morawieckiego zawdzięcza europosłowi Bocheńskiemu, który oburzył się, gdy w samolocie Lot z Niemiec zaserwowano mu niemieckie masło) Morawiecki dostał zaś wsparcie od grupy ważnych postaci spoza bieżącej polityki. „Najbardziej krzywdzące i budzące największe oburzenie są ataki ze strony członków tego samego politycznego obozu. W tych atakach chodzi najwyraźniej o chęć wzmocnienia własnej pozycji w partii, bez baczenia na to, że dzieje się to kosztem osłabienia PiS. Szczególnie szkodliwe i budzące najwyższy niesmak są ataki osób, które nie po raz pierwszy podejmują takie działania: dzielące środowisko, niesłużące dobru wspólnemu, a jedynie własnym korzyściom" – pod takim listem w obronie Morawieckiego podpisali się m.in. Andrzej Gwiazda, Joanna Duda-Gwiazda, Zofia Romaszewska, prof. Andrzej Zybertowicz, prof. Andrzej Nowak i Bronisław Wildstein.

Za czasów rządów PiS Kaczyński widział w Morawieckim sprawnego szefa rządu i partnera do dyskusji; panowie potrafili godzinami rozmawiać o historii, ekonomii czy filozofii. Morawiecki nie był natomiast partnerem politycznym. Podporządkowywał się poleceniom prezesa, był świadom ograniczeń na siebie nałożonych. Z przyjemnością pozbyłby się z rządu Ziobry, a z TVP – Kurskiego, ale miał czerwone światło. Widział z bliska upadek Szydło w 2017 r., którego był beneficjentem, i chciał uniknąć jej losu, był więc, powiedzmy, giętki i skłonny do ustępstw.

Partia Morawieckiego?

Postępowanie Morawieckiego w tej kadencji świadczy o tym, że te czasy minęły. Nie chodzi tylko o demonstracyjne zorganizowanie spotkania świątecznego wbrew woli kierownictwa. Także o to, że zlekceważył nieco wcześniej Kaczyńskiego, który na konferencji prasowej polecił mu stawić się na posiedzeniu kierownictwa PiS; Morawiecki wybrał jednak udział w wiecu na Podkarpaciu, zresztą w nieoczywistym towarzystwie Szydło. Co więcej, już po deklaracji Kaczyńskiego, że partia wyszuka wkrótce kandydata na premiera spośród młodszych polityków, Morawiecki w Radiu Zet oświadczył, że jeśli okoliczności będą sprzyjające, to chciałby wrócić na fotel szefa rządu.

To nie są przypadki. Morawiecki – jeśli sam chce być kiedyś liderem – musi pokazać, że potrafi się postawić liderowi dotychczasowemu. Żeby budować autorytet własny, żeby jego ludzie zobaczyli w nim przywódcę, żeby skonsolidować swoją frakcję. To komunikat – do Kaczyńskiego, do maślarzy i do M&M-sów – jestem pewny siebie, robię to, bo czuję, że mogę to zrobić; jestem na to wystarczająco silny.

I to wcale nie musi być wstęp do rozłamu w PiS. Maślarze chcieliby go zapewne wypchnąć z partii, ale to byłoby ryzykowne. Na prawicy PiS ma już liczną i silną konkurencję. – *Byliby debilami, gdyby nas wyrzucili* – mówi jeden z morawiecczyków. Sam nigdzie się z PiS nie wybiera i przekonuje, że Morawiecki też nie ma takich planów. Były premier raczej zaczyna długi marsz. Gromadzi zasoby, formułuje postulaty programowe, szuka sojuszników (kłania się świetna relacja z ambasadorem USA), buduje kanały w internecie. Chce stać się za silny, by można go z PiS wyrzucić; już zresztą wydaje się potężniejszy niż którykolwiek z poprzednich pretendentów do tronu w PiS. Siłą Morawieckiego jest także to, że jest bezdyskusyjnym liderem swojej frakcji; grupa przeciwna składa się głównie z liderów.

Czy dojdzie do jakiegoś przesilenia? Np. do powtórki wydarzeń z grudnia 2000 r., gdy Tusk przegrał z Bronisławem Geremkiem wybory na przewodniczącego UW, po czym wyszedł z partii i założył PO?

Morawiecki twierdzi, że PiS musi iść szeroko i grać na różnych fortepianach; Kaczyński także nie wydaje się dziś skory do gwałtownych ruchów, bo ma wystarczająco wiele zmartwień na prawicy, żeby jeszcze wojować z nową partią Morawieckiego.

Coś jednak nieodwracalnie zmieniło się między nimi. Prezes osłabł, a Morawiecki się wzmocnił. Maślarze także nie zrezygnują z walki; jest całkiem prawdopodobne, że konflikty w partii staną się cykliczne, zwłaszcza jeśli poparcie nie wróci do 35 proc. z wyborów 2023 r. Teraz mamy fazę pozornego uspokojenia, ale – jak jesienią zeszłego roku – po jednym wywiadzie cała zabawa może się zacząć od początku.

WOJCIECH SZACKI

eprasa.pl f51a944834

Bitwa na kotlety

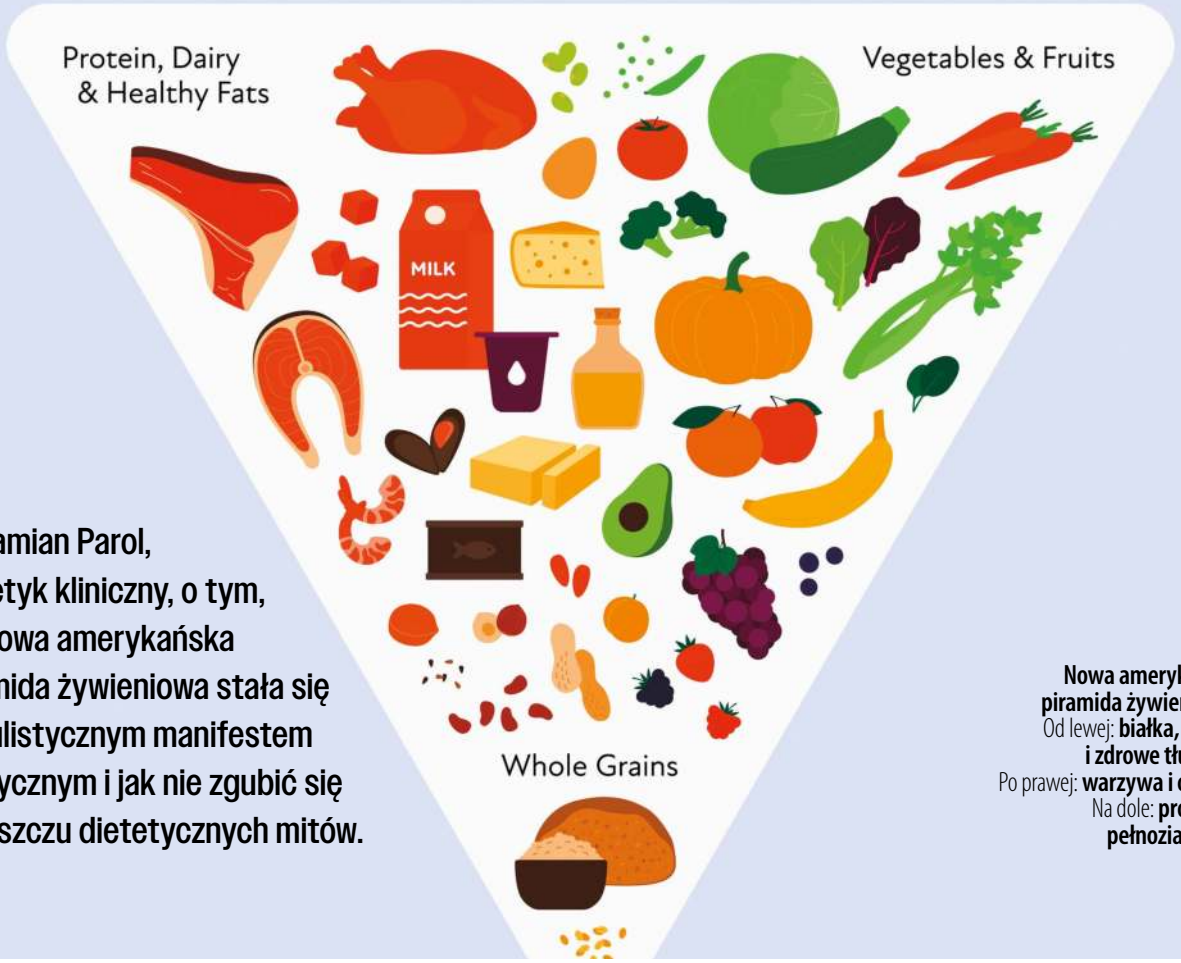

Dr Damian Parol, dietetyk kliniczny, o tym, jak nowa amerykańska piramida żywieniowa stała się populistycznym manifestem politycznym i jak nie zgubić się w gąszczu dietetycznych mitów.

Nowa amerykańska piramida żywieniowa. Od lewej: **białka, nabiał i zdrowe tłuszcze.** Po prawej: **warzywa i owoce.** Na dole: **produkty pełnoziarniste.**

© GETTY IMAGES

PAWEŁ WALEWSKI: **– Niech zgadnę: zjadł pan dzisiaj na obiad stek usmażony na łoju wołowym, do tego była sałatka polana pełnotłustą śmietaną, a na koniec szklanka surowego mleka. Smakowało?**

DAMIAN PAROL: – Surowe mleko zdarzyło mi się pić w dzieciństwie, bo rodzicie jeździli po takie na wieś. Obecnie uważam, że ryzyko przeważa nad wątpliwymi korzyściami. Stek na łoju wołowym to zdecydowanie nie moja bajka – tym bardziej że w Polsce używany jest raczej smalec.

Ale to wymarzony jadłospis amerykańskich ekspertów od żywienia: zamiast owsianki na śniadanie jajka na boczku i maśle, na obiad czerwone mięso, na kolację tłusty ser. Mamy do czynienia z rewolucją czy polityką, bo tak jadają prezydent Stanów Zjednoczonych i jego sekretarz zdrowia Robert F. Kennedy Jr?

Niedawno ogłoszone amerykańskie wytyczne żywieniowe to jak kombinacja szpagatu z krokiem w tył. Dziwne jest już to, że przygotowano je w postaci piramidy żywieniowej. Ten koncept graficzny porzucono kilkanaście lat temu, bo nie był czytelny. W nowych wskazówkach jest mnóstwo niekonsekwencji, zmiany korzystne wymieszane są z niezrozumiałymi. A zatem decydująca okazała się chyba polityka – by zadowolić różne frakcje wyborców i przemysłu.

Kogo ma pan na myśli?

Kennedy zarzeka się, że podczas jego rządów w departamencie zdrowia wszystko jest wolne od wpływów politycznych, ale przecież sam zadeklarował, że nowe zalecenia mają wspierać między innymi amerykańskich producentów mięsa wołowego. Mamy tu także wyraźny ukłon w stronę populizmu, idący w parze z niezwykle popularnym – zwłaszcza w internecie – trendem antynaukowym i pseudomedycznym, w którym zawiera się też tzw. dietetyka alternatywna.

A konkretnie?

Dotychczasowe, i na szczęście w Polsce obowiązujące, twarde zalecenia dotyczące redukcji spożycia nasyconych kwasów tłuszczowych – czyli rezygnacja z tłustych steków i tłustego nabiału – to nie jest kwestia mody, lecz kluczowa wskazówka medyczna mająca na celu realne zapobieganie chorobom sercowo-naczyniowym. Wiemy bowiem, że produkty te bezpośrednio podnoszą stężenie cholesterolu LDL, będącego głównym czynnikiem ryzyka ▶

eprasa.pl f51a944834

▶ miażdżycy. Jeśli więc wytyczne Amerykanów nagle zaczynają łagodzić podejście do tłustego mięsa i nabiału, wpisują się w tę samą niebezpieczną narrację, która na fali krytyki akademickiej medycyny kwestionuje stosowanie skutecznych w tej chorobie statyn. Atak na te ratujące życie leki jest typowym odpryskiem pseudomedycyny, która pod płaszczykiem powrotu do natury i walki z systemem de facto naraża pacjentów na zawały i udary, ignorując dekady rzetelnych badań naukowych.

Zatrzymajmy się przy czerwonym mięsie: dlaczego ma nie być naszym głównym posiłkiem? Jest przecież źródłem dobrze przyswajalnego białka, niezbędnym składnikiem do budowy masy mięśniowej, który w dodatku zwiększa uczucie sytości i ogranicza apetyt. Ja tu widzę mnóstwo zalet!

Dlatego toczy się dyskusja, na ile powinniśmy je ograniczać. Z jednej strony czerwone mięso może być po prostu bardzo tłuste i jest wtedy istotnym źródłem niezdrowych nasyconych kwasów tłuszczowych w diecie. Druga kwestia to zawarte w nim żelazo hemowe – składnik i dobry, i zły. Przy niedoborach tego pierwiastka jest świetne, bo dobrze się wchłania. Natomiast u mężczyzn i kobiet po menopauzie do niedoborów dochodzi relatywnie rzadko, wręcz częściej pojawia się nadmiar skutkujący problemami metabolicznymi. Niektóre badania pokazują, że spożywanie dużych ilości czerwonego mięsa wiąże się nie tylko z szybszym rozwojem miażdżycy, ale też z większym ryzykiem cukrzycy typu 2. Ostrzeżenia przed czerwonym mięsem w kontekście rozwoju raka, zwłaszcza jelita grubego, są też dobrze udokumentowane.

A czy te wszystkie wady nie biorą się po prostu z metody jego przetwarzania?

Rzeczywiście inną wartość zdrowotną będzie mieć mięso ugotowane lub podsmażone, a inną upieczone lub grillowane. Nawet rodzaj grilla i to, czy go wyczyściliśmy, ma tu znaczenie, bo jeśli ruszt będzie brudny i mięso przypieczemy na wiór, to powstanie więcej rakotwórczych związków.

Ale co z tym łatwo przyswajalnym białkiem i jego zaletami? Może za daleko poszliśmy w tej krytyce, skoro szybciej nas nasyci i zahamuje łaknienie?

Znów wszystko zależy od tego, o jakim konsumencie rozmawiamy. W typowej diecie amerykańskiej znacznie więcej jest produktów wysokoprzetworzonych niż w polskiej. Dlatego gdy pan Smith, wczytując się w nowe zalecenia, zamieni fastfoodowe hamburgery i frytki na steki przygotowane w domu, to będzie to dla jego dobra. Ale z perspektywy naszych talerzy, na których zawsze było więcej drobiu i ryb, a mniej produktów wysokoprzetworzonych, opieranie jadłospisów na wieprzowinie i wołowinie wydaje się niecelowe. Choć i tak uważam, że skupianie się na samym mięsie nie powinno być najważniejsze – o wiele więcej zła wyrządza właśnie żywność wysokoprzetworzona, słodycze i słodkie napoje.

A tłuszcz? Polacy odebrali sygnał ze Stanów, że łój wołowy jest korzystniejszy niż oleje roślinne. Mamy wyrzucić do kosza całą wiedzę z ostatnich 15 lat?

Łój czy smalec zachwycają część amerykańskich influencerów i dietetyków, ale trudno zrozumieć powód tej ekscytacji. Podejrzewam, że łatwiej jest snuć narrację o tym, iż są to produkty nisko-przetworzone, rzekomo spożywane od zawsze i „swojskie". Co jest częściowo prawdą, bo faktycznie oleje roślinne – z wyjątkiem oliwy – wymagają zaawansowanych procesów technologicznych do ich wytworzenia. A smalec można nawet w domu wytopić.

I dlatego miałby być zdrowszy?

Główny zarzut pod adresem olejów roślinnych, często powtarzany w internecie, brzmi: są przetworzone oraz zawierają dużo kwasów omega-6. Te kwasy – według niektórych – podsycają stan zapalny w organizmie i tym samym napędzają otyłość, choroby serca, cukrzycę. Brzmi groźnie, prawda? Biochemicznie da się narysować ładną, przekonującą strzałkami ścieżkę: omega-6 → kwas arachidonowy → prostaglandyny i leukotrieny → zapalenie. Grafika taka hula po sieci i wygląda naukowo, choć to olbrzymi skrót myślowy. W rzeczywistości organizm nie zamienia automatycznie każdej cząsteczki kwasu omega-6 w prozapalny koktajl. Badania na ludziach pokazują, że wyższe spożycie omega-6 nie zwiększa markerów zapalnych, a w wielu przypadkach je obniża albo zostawia bez zmian. To nie jest tak, że im więcej oleju rzepakowego czy słonecznikowego wlewasz do sałatki, tym bardziej stajesz się „zapalny".

To w czym tkwi problem?

Nie w samych olejach roślinnych, tylko w towarzystwie, w jakim się pojawiają. Nie chodzi o łyżkę oleju na surówkę czy dressing do sałaty. Chodzi o to, że smażą się na nich tony frytek, chipsów, nuggetsów, panierowanych paluszków, gotowych sosów i setek innych ultraprzetworzonych produktów. Tam stają się one nośnikiem setek pustych kalorii – bardzo łatwych do przejedzenia. I wtedy rzeczywiście łatwiej przytyć, a nadmiar tkanki tłuszczowej sam w sobie napędza stan zapalny. Ale zamiana tego oleju na łój wołowy czy smalec nic tu nie poprawi – wręcz pogarsza sprawę. Bo wtedy masz dokładnie to samo: skoncentrowane źródło kalorii plus duża dawka nasyconych kwasów tłuszczowych, które dodatkowo podnoszą cholesterol LDL.

W zaleceniach dietetycznych brakuje konsekwencji, a wygląda na to, że wszystko w diecie ma swoje plusy i minusy?

Amerykańska piramida żywieniowa to podręcznikowy przykład tej niekonsekwencji. Pokazują na niej sporo tłustego mięsa i nabiału, a jednocześnie piszą małym drukiem: nasycone kwasy tłuszczowe powinny dostarczać maksymalnie 10 proc. energii. To samo zalecają nasze rekomendacje i większość towarzystw kardiologicznych osobom bez zaburzeń lipidowych. Ale przy takiej wizualizacji piramidy nikt w USA tego nie osiągnie. W Polsce przeciętny Kowalski – nawet ten, który stara się jeść zdrowo – ląduje zazwyczaj w okolicach dolnych kilkunastu procent. Do zalecanego poziomu 10 proc. zejdą pewnie weganie i część populacji mocno skupiona na zdrowiej diecie.

Jak przeciętny konsument, patrząc na swój talerz, ma obliczyć, ile je nasyconych kwasów tłuszczowych?

Jest to możliwe, ale bardzo trudne. Potrzebna jest aplikacja do liczenia kalorii z rzetelnie wprowadzonymi danymi i sporo skrupulatności w zapisywaniu każdego posiłku.

Czy to w ogóle potrzebne?

Jeśli ktoś ma zaburzenia lipidowe – tak, nawet bardzo. A w Polsce dotyczy to ok. 60 proc. dorosłych. Warto wtedy pilnować, żeby nie przekraczać tych 10 proc., a nawet 7 proc. U reszty populacji nie musi to być obsesja, ale świadomość, że jemy średnio 15–20 proc. energii z nasyconych tłuszczów, powinna skłonić do pewnych korekt. Dlatego znacznie lepiej wybrać oliwę z oliwek, inne oleje roślinne, orzechy i pestki oraz tłuste ryby zamiast smalcu i masła jako źródła tłuszczu. Do tego zapewnić sobie białko – chude, zwierzęce, takie jak drób bez skóry i nabiał o niskiej lub umiarkowanej zawartości tłuszczu.

eprasa.pl f51a944834

© AN

Dr n. o zdrowiu **Damian Parol** jest dietetykiem klinicznym i psychodietetykiem, współzałożycielem Polskiego Towarzystwa Medycyny Stylu Życia. Zajmuje się poradnictwem dietetycznym, szkoleniami oraz prostuje w internecie mity na temat zdrowego żywienia. Współpracuje jako wykładowca z Warszawskim Uniwersytetem Medycznym, SWPS i AWF w Warszawie.

Roślinne źródła, takie jak strączki i produkty sojowe, powinny być preferowane. Nie bójmy się przy tym węglowodanów, które dostarczają ok. 50 proc. energii z diety. Ale chodzi o węglowodany wysokiej jakości: kasze, pełnoziarniste płatki i pieczywo, bataty, ziemniaki, owoce, a nie białą bułkę, jasny ryż i makaron pszenny.

A słodycze?

Słodycze to w większości bomba kaloryczna: tłuszcz i cukier, zwykle pół na pół. Czasem prawie sam cukier (żelki, landrynki), czasem więcej tłuszczu (czekolady). Bardzo często jemy ich za dużo. Ostatnio pojawiła się moda na wersje białkowe – batoniki proteinowe, czekolada dubajska „protein plus" – ale to wciąż ultraprzetworzone słodycze, choć z mylącą etykietą „fitness". Ja ich nie demonizuję, można skubnąć małą ilość, ale nie udawajmy, że batonik proteinowy to nowy szpinak.

Białko lokuje pan jednak po stronie korzyści?

Zdecydowanie! Ale priorytetem powinny być białka roślinne, ryby oraz chude mięso i nabiał. Nowe zalecenia amerykańskie mówią o 1,2–1,6 g na kilogram masy ciała, to wzrost z 0,8 g dziennie na kilogram, co rozumiem w kontekście walki z epidemią otyłości, gdyż zwiększona podaż białek sprzyja redukcji masy ciała, bo ludzie będą się czuć szybciej najedzeni.

Powiedział pan, że Amerykanie wydając nowe zalecenia w oparciu o piramidę, zrobili krok w tył. Dlaczego?

Bo jest nieczytelna. Nie mówi niczego konkretnego o tym, jak powinien wyglądać twój talerz w trakcie obiadu czy kolacji. Jak to przełożyć na codzienność, ile czego nałożyć: warzyw, mięsa, kaszy? Ludzie patrzą i... nie wiedzą. Dlatego w wielu krajach – w tym w Polsce – od lat promuje się model talerza: połowę powinny na nim zająć warzywa i owoce, jedną ćwiartkę pełnoziarniste produkty zbożowe (kasza, brązowy ryż, pełnoziarniste pieczywo), a drugą białko – ryby, chude mięso, strączki, jajka, tofu, orzechy. Nikt nie dzieli talerza sztywno linijką na cztery równe części – to wiadomo. Ale taki obraz daje jasny kierunek: więcej warzyw, mniej słodyczy i fast foodów, węglowodany z dobrego źródła, białko w rozsądnej ilości.

To dlaczego Amerykanie uparli się przy tej piramidzie?

Mam dwie teorie, które się nie wykluczają. Pierwsza polityczno-narracyjna: w kręgach MAHA (Make America Healthy Again) zalecana przez dietetyków „głównego nurtu" piramida żywieniowa od lat była symbolem wszystkiego, co poszło nie tak – „przez piramidę ludzie tyją", „piramida nas truje". Stąd jej odwrócenie było sprawnym chwytem retorycznym.

Druga teoria jest bardziej pragmatyczna, bo piramida jest wygodnie nieczytelna. Gdyby te same proporcje pokazać na talerzu – węglowodanów byłoby całkiem sporo, a to kłóci się z bardzo głośną narracją: „mało węglowodanów, sporo tłuszczu i białko". Piramida pozwala ukryć te niekonsekwencje. Łatwiej nią grać w politykę niż czytelnym talerzem, który mówiłby wprost: „najpierw warzywa, potem reszta".

Skoro życie się zmienia, mody przychodzą i odchodzą – czy talerz zdrowego żywienia też nie powinien ewoluować?

Moim zdaniem jest optymalny. W żywieniu nie dzieje się żadna rewolucja co kilka lat. Podstawowe zasady – dużo warzyw i owoców, pełnoziarniste węglowodany, dobre źródła białka, umiarkowane ilości zdrowych tłuszczów – są z nami od dekad i badania to potwierdzają. Największy problem nie leży w tym, co radzimy, tylko w tym, jak to zakomunikować, żeby ludzie chcieli i umieli wprowadzić. Obecnie wiemy np., że zawstydzanie w stylu „nie żryj, bo wyglądasz fatalnie" kompletnie się nie sprawdza. Badania pokazują, że kobiety otyłe wystawione na dyskryminację jedzą więcej. Więc zamiast motywować – napędzamy problem.

Nie wystarczy mówić, co jeść? Ważne również, jak to przygotowujemy?

Możesz mieć idealny skład talerza na papierze, a i tak go zepsuć. Rozgotowane warzywa tracą witaminy, bakłażan nasiąknięty olejem staje się kaloryczną bombą. Ale jest istotna różnica: gotowanie w domu prawie zawsze wygrywa z jedzeniem na mieście. Nawet elegancka restauracja czy stołówka firmowa często dodaje podobne ilości soli, tłuszczu i cukru jak fast food.

A sposób jedzenia? Pośpiech, telefon, film w tle – to też ma znaczenie?

Jedzenie w rozproszeniu zwiększa spożycie kalorii o 10–15 proc. Dlatego szybki lunch przy komputerze czy scrollowanie telefonu podczas kolacji to jeden z największych cichych sabotażystów zdrowego talerza.

Internet i media społecznościowe są pełne chaosu. Jednego dnia brokuły leczą raka, drugiego – trują. Jak pan na to patrzy?

Z frustracją. Duża część tego zamieszania to nie nowe odkrycia, tylko stare triki. Media i algorytmy kochają kontrowersje, więc „brokuły są super" nie kliknie tak mocno jak „brokuły mogą zniszczyć tarczycę". Część rewolucyjnych diet to po prostu odgrzewane kotlety – insulinowa teoria tycia wraca co kilka lat jak bumerang, mimo że została obalona na dziesiątki sposobów. A najgorsze, że w tym szumie biorą udział też lekarze i naukowcy, którzy w social mediach stają się influencerami.

Skąd więc przeciętny człowiek ma czerpać wiarygodną wiedzę?

Nie ma złotego rozwiązania. Najlepiej szukać ludzi, którzy tłumaczą badania, a nie sprzedają cudowne diety. Którzy przyznają „to nie jest takie proste", zamiast obiecywać „schudniesz 15 kg w 30 dni bez wysiłku". I przede wszystkim – sprawdzać, czy ktoś nie powołuje się na jedno badanie z dwunastoma szczurami. Eksperci wiedzą, jak zdrowo jeść. Nie wiedzą jeszcze, jak sprawić, żeby ludzie chcieli i potrafili to robić na co dzień.

ROZMAWIAŁ PAWEŁ WALEWSKI

eprasa.pl f51a944834

Obrona moczarowa

Czy przyroda pomoże ochronić wschodnią granicę? Tak, jeśli tylko jej na to pozwolimy.

RYSZARDA SOCHA

Białowieża, siedziba parku narodowego. Seminarium z udziałem przyrodników, ekspertów od wojskowości, samorządowców. Ppłk rezerwy Maciej Korowaj, analityk specjalizujący się w zagadnieniach bezpieczeństwa, na przykładzie Ukrainy tłumaczy, jak wygląda wojna nowego typu. Kiedyś kilometr frontu obsługiwał batalion, 300–700 żołnierzy, teraz 30–40 żołnierzy. – *Duże zgrupowania wojsk są automatycznie identyfikowane i rażone wszystkim, czym się da* – konstatuje. 60 proc. ogółu strat ponoszonych przez wojska ukraińskie Rosjanie zadają dronami. Udział dronów ukraińskich w stratach, jakie ponoszą Rosjanie, jest jeszcze większy – 75 proc. Na tym tle broń strzelecka wypada blado – to ok. 11 proc. strat ukraińskich i ok. 5 proc. rosyjskich.

Zazielenić beton tarczy

Jednak jeśli dronom przyjdzie działać w rejonach leśnych, ich skuteczność będzie dwukrotnie mniejsza. W warunkach miejskich i otwartej przestrzeni rośnie. – *Drony, które latają „na kablu", czyli na uwięzi światłowodowej, będące teraz na topie, w gęstym lesie są bardzo trudne do manewrowania. Drony, które w zawisie bombardują skupiska piechoty w lesie, stają się łupem dronów myśliwskich* – dodaje Korowaj.

List do uczestników seminarium wystosował wicepremier, minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz. Stwierdza, że koncepcja Zielonej Tarczy Wschód, opracowana przez środowiska naukowe, może godzić dwa zdawałoby się bardzo odległe cele – wspierać system obronny i chronić bioróżnorodność. Oto powstała „unikalna platforma dialogu".

Inicjatywa wyszła od przyrodników. Co ich do tego skłoniło? 18 maja 2024 r. premier Donald Tusk ogłosił projekt budowy wzdłuż wschodniej granicy Tarczy Wschód – systemu umocnień, które „spowodują, że ta granica będzie nie do przejścia dla potencjalnego wroga". Dr hab. Michał Żmihorski, profesor Instytutu Biologii Ssaków PAN, członek Państwowej Rady Ochrony Przyrody, pamięta zaprezentowaną wtedy wizualizację: różnego rodzaju zasieki, rowy przeciwczołgowe, wieże i palisady betonowe, pola minowe. Słowem: bardzo inżynierskie podejście. Wyobraził sobie kompletną dewastację Puszczy Białowieskiej – wycinkę drzew, zastąpienie ich betonem. ▶

eprasa.pl f51a944834

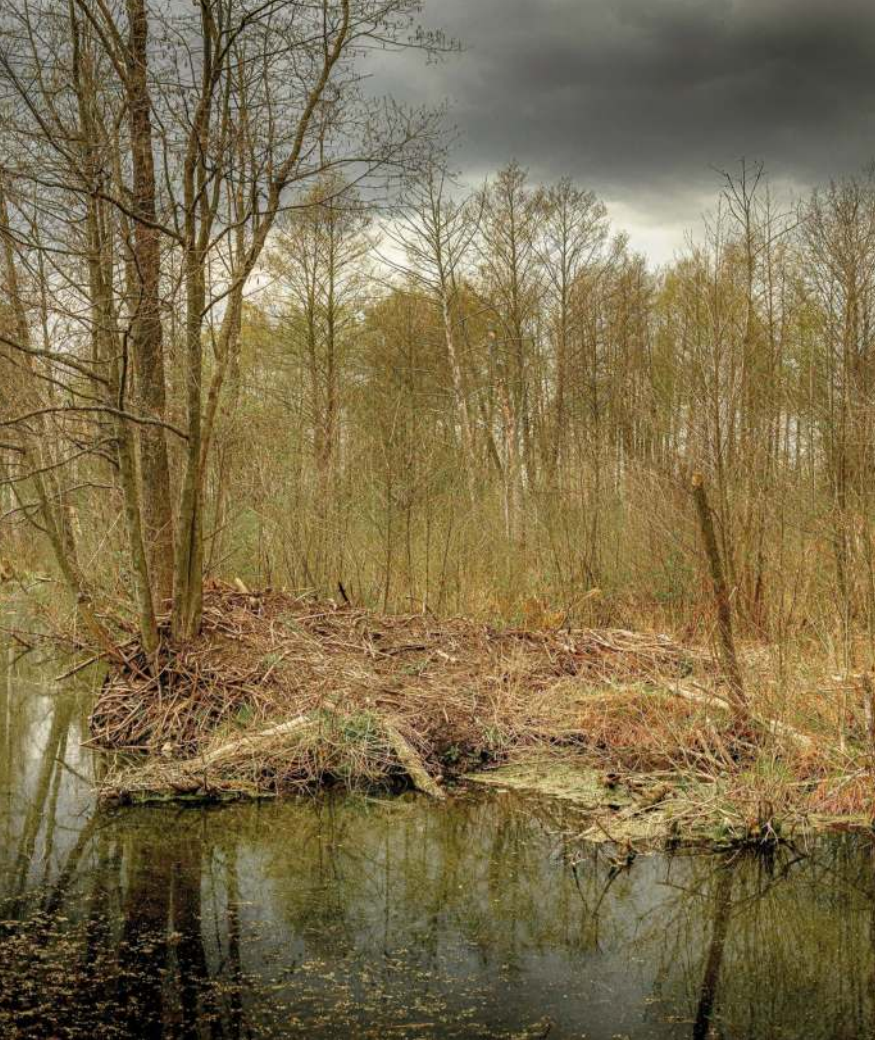

Idealna linia obronna powinna łączyć elementy naturalne: rzeki, bagna, rowy melioracyjne, z elementami inżynieryjnymi: zaporami, okopami czy schronami

© SHUTTERSTOCK, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, STANISŁAW BIELSKI/REPORTER

eprasa.pl f51a944834

▶ A wiadomo, że przyroda w zestawieniu z bezpieczeństwem nie ma szans.

Nie tylko na nim wizualizacje MON zrobiły wrażenie. – *W grupie naukowców* – relacjonuje profesor – *zaczęliśmy się zastanawiać, czy tego typu rozwiązania są rzeczywiście niezbędne w sytuacji, kiedy na dużej części granicy z Białorusią czy Rosją, czyli obwodem królewieckim, mamy bardzo dobrze zachowane ekosystemy roślin bagiennych. I potem bardziej wnikliwa eksploracja tematu potwierdziła nasze przypuszczenia, że tego typu środowisko, mimo dronów i rakiet, potrafi skutecznie hamować inwazję. Ukraina jest świetnym przykładem. Bagna, rzeki stają się liniami obrony trudnymi do pokonania. Tak było pod Kijowem – rzeka Irpień i jej rozlewiska uratowały miasto. Od północy Rosjanie byli już na przedmieściach, ale ugrzęźli w nadrzecznych bagnach, zostali „zdronowani" i się wycofali.*

Niemal natychmiast zareagował Komitet Biologii Środowiskowej i Ewolucyjnej PAN, wskazując, że dzika przyroda jest najlepszym sojusznikiem w sprawie zapewnienia bezpieczeństwa. Już w lipcu 2024 r. gotowa była ekspertyza „Środowisko przyrodnicze jako naturalne zabezpieczenie granicy Polski – rekomendowane rozwiązania".

Autorzy dokumentu powołują się na Normę Obronną MON z 2012 r., która uwzględnia, że mokradła i lasy nie sprzyjają przemieszczaniu się wojsk. A oni wiedzą, co zrobić, żeby na wielu odcinkach w pasie 20 km od granicy stworzyć naturalną zaporę, która w razie napaści byłaby trudna do pokonania, a jednocześnie nie niszczyłaby cennej przyrody. Zwłaszcza że mieszkańcy tych terenów nierzadko żyją z turystyki. Opracowanie zawiera cały katalog działań, które nie szkodząc środowisku, sprawią, że wzrośnie jego potencjał obronny. Poszczególne propozycje są bogato ilustrowane zdjęciami. Na tyle wymownymi, że nie trzeba wielkiej wyobraźni, by zrozumieć, jak prostymi środkami można często osiągnąć ów pożądany efekt.

Lasy obronne

Co zaproponowali? Przede wszystkim zmianę zarządzania nadgranicznymi lasami. Zaprzestanie usuwania zamierających i martwych, powalonych drzew, zmniejszenie skali pozyskiwania drewna z tych newralgicznych terenów. Bo gdy się wycina, trzeba ludziom, maszynom i transportowi zapewnić dostęp w postaci dróg leśnych. Otwierając na to las, otwiera się go także przed potencjalnym wrogiem. „Użyteczne pod tym względem – podpowiadają autorzy – mogłoby być strefowanie intensywności pozyskiwania drewna, ze strefą całkowicie z niego wyłączoną w pasie np. 2 km przylegającym do granicy". Proponują rezygnację z tzw. zrębów zupełnych, szczególnie w układzie prostopadłym do linii granicy, bo one też zwiększają dostępność terenu. Opowiadają się za pozostawianiem młodszych drzew, żeby nie było pustki, gdy wytnie się drzewa dojrzałe.

Cały pakiet wskazań dotyczy dróg leśnych – ograniczenia zagęszczenia i przepustowości. Dołączone zdjęcia mówią same za siebie. Są na nich drogi niczym leśne autostrady – proste i tak szerokie, że swobodnie mogą się mijać trzy samochody. A zdarzają się utwardzone czy wyasfaltowane. To coś jak zaproszenie dla ciężkich pojazdów wojskowych.

Wreszcie bagna. Trudne do przebycia dla ludzi, dla pojazdów nie do pokonania. Dowodów nie trzeba szukać daleko. Wystarczy przypomnieć zatonięcie w marcu 2025 r. podczas ćwiczeń na Litwie amerykańskiego wozu bojowego Hercules wraz z załogą, skomplikowaną akcję poszukiwawczą i wydobywczą. Tymczasem ponad 85 proc. terenów bagiennych w Polsce zostało osuszonych – w lasach, by drzewa lepiej rosły, na terenach rolniczych, by uzyskać łąki i pastwiska. Fotografie pokazują z jednej strony trudno dostępne śródleśne mokradła, z drugiej rowy melioracyjne, które tylko z pozoru są przeszkodą dla ludzi i sprzętu wojskowego. Naukowcy rekomendują odtworzenie wzdłuż granicy, tam gdzie to możliwe, pasa terenów podmokłych. Zaniechanie budowy nowych rowów, czyszczenia i pogłębiania tych istniejących, a niekiedy ich likwidację.

W lipcu 2024 r. opracowanie to zyskało rekomendację Państwowej Rady Ochrony Przyrody, ciała opiniodawczo-doradczego przy ministrze środowiska. – *To nie jest dokument o jakichś wybitnych walorach naukowych, nie odkrywamy Ameryki* – stwierdza prof. Żmihorski, jeden z jego autorów. „Uzbrojony" w ekspertyzę za pośrednictwem platformy X skontaktował się z Cezarym Tomczykiem, wiceministrem obrony narodowej. Ten uznał, że opracowanie jest ciekawe i skontaktuje jego autorów z generałami odpowiedzialnymi za budowę Tarczy Wschód.

Debaty o zdziczeniu

Do spotkania doszło w styczniu 2025 r. – *Po mojej prezentacji pokazującej naszą koncepcję mieliśmy długą i dobrą rozmowę* – relacjonuje prof. Żmihorski. – *Myśmy się spodziewali, że wojskowi będą nam tłumaczyć, że Polska jest ważniejsza niż jakaś Puszcza Białowieska. Tymczasem było duże zrozumienie naszego pomysłu, ocena roli środowiska spójna z naszą.* Tłumaczyli, że betonowe umocnienia to tylko wizualizacja. Że to będzie dostosowane do lokalnych warunków i jeśli np. jest las czy mokradło, to oni nie zamierzają tego zmieniać. – *Gen. Jacek Sankowski* (dyrektor Departamentu Infrastruktury MON – przyp. RS) *powiedział nam, że znalazł mapę pogranicza sprzed blisko stu lat i że te bagna, które wtedy istniały, chętnie by widział odtworzone* – przytacza profesor.

Później były kolejne spotkania, seminaria, rozmaite konwentykle z udziałem wojskowych, przyrodników, a nawet ekologicznych aktywistów. Rekordy biło słowo „zdziczenie" rozumiane jako proces przywracania naturalnych siedlisk i ekosystemów. – *Naszym celem było włączenie organizacji w dyskusję o łączeniu obronności z ochroną przyrody* – mówił portalowi smoglab.pl po jednym z takich spotkań płk Marek Pietrzak, wtedy rzecznik prasowy w Dowództwie Wojsk Obrony Terytorialnej, odpowiedzialny za komunikację programu Tarcza Wschód, obecnie rzecznik Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Deklarował, że wojsko widzi potencjał doradczy środowisk zaangażowanych w obronę przyrody. Podkreślał, że Tarcza Wschód nie ma charakteru linearnego, nie jest przeszkodą dla dzikich zwierząt.

To ważne, bo wcześniej przyrodników i proekologiczną część opinii publicznej zbulwersowały efekty budowy innych zabezpieczeń granicy – przed nielegalnymi migrantami. Zrealizowało je MSWiA. Zdewastowanych zostało blisko 200 km brzegu rzeki Bug. Na potrzeby monitoringu wycięto pas roślinności nadbrzeżnej, która wciąż odrasta. I wciąż trzeba czyścić teren, by monitoring mógł działać. Inwestycję rozpoczął rząd PiS, a obecny dokończył. To, co tam zrobiono, choć pomaga pogranicznikom, pozostaje w kolizji z potrzebami obronnymi. A wiadomo też, że przy odrobinie wyobraźni można było znaleźć rozwiązania godzące potrzeby obu resortów.

© SG WP (2)

eprasa.pl f51a944834

Wizualizacje Tarczy Wschód przygotowane przez Sztab Generalny Wojska Polskiego

Teraz, w przypadku Tarczy Wschód, w grę wchodzi całe 800 km granicy od województwa pomorskiego po podkarpackie. Oczywiście nie wszędzie przebiega ona przez bagna, torfowiska i leśne gęstwiny. Na terenach otwartych potrzebne są zabezpieczenia inżynieryjne. Płk Pietrzak w rozmowie z „Dzikim Życiem" szacował proporcje następująco: „Według nas 50–60 proc. granicy to będą umocnienia, pozostała część to będą elementy związane z przyrodą". Informował, że wojskowi mają taką mapę, która obrazuje, gdzie chcieliby więcej bagien i mokradeł, a gdzie, żeby był gęsty las.

Smoki zębne i bezzębne

Postawienie na obronny aspekt przyrody to z perspektywy państwa scenariusz atrakcyjny także finansowo. Można sięgnąć po fundusze europejskie przeznaczone na odtwarzanie mokradeł w ramach przeciwdziałania zmianom klimatu. Ale z drugiej strony „lobby betonowe" chciałoby zarobić. No i przy bunkrze można się pokazać, symbolicznie przeciąć wstęgę, a na zarośniętej leśnej drodze, przy odtworzonym bagnie nie za bardzo. Do tego dochodzi problem mentalności, subiektywnych wyobrażeń o bezpieczeństwie, zaufania do „twardych" inżynieryjnych konstrukcji. I – co chyba najtrudniejsze – ta zielona strona Tarczy Wschód wymaga współpracy wielu instytucji i środowisk. Nierzadko wbrew organizacyjnym nawykom oraz partykularnym interesom.

Inżynieryjny segment Tarczy Wschód rośnie. Media zajmujące się obronnością odczytują postępy ze zdjęć satelitarnych. Informują o przyspieszeniu budowy wzdłuż granicy z obwodem królewieckim, o rowach przeciwpancernych, betonowych „zębach smoka" blokujących przejazd, o okopach. A co z obronną odpornością środowiska?

– *Zostały ustalone obszary istotne ze względów operacyjnych w pasie północno-wschodniej granicy kraju, które mogą stanowić naturalną barierę dla wojsk przeciwnika (klasyfikowane jako obszary No Go lub Slow Go)* – informuje MON. – *Dokumenty z uwagi na ochronę informacji niejawnych nie podlegają dalszej dystrybucji.*

Zielony komponent tarczy uwzględniono w zarządzeniu premiera dotyczącym tzw. zespołu sterującego. Wśród członków zespołu znaleźli się przedstawiciele ministrów mających w swojej gestii gospodarkę wodną, klimat, ochronę środowiska, rolnictwo, a także generalnego dyrektora ochrony środowiska. Do tego dochodzi długa lista instytucji cywilnych, z którymi resort obrony nawiązał współpracę.

Wołanie na puszczy

Prof. Michał Żmihorski wrócił z objazdu Puszczy Białowieskiej. Z porcją zdjęć pokazujących świeżo oczyszczone leśne drogi, którym powinno się dać zarastać, bo to ważne dla obronności, a przy tym nie kosztuje. Niektóre z dróg przez kilkanaście lat nie były używane, rosły na nich spore drzewa. I teraz nagle kogoś natchnęło: oczyścić. Pytał wojsko i Straż Graniczną, czy to na ich wniosek. Nie. Leśnicy zrobili to dla siebie? Dziwne, bo w Puszczy, obiekcie UNESCO, nie ma już gospodarki leśnej i pozyskiwania drewna, które trzeba by wywozić tymi drogami. Owszem, jakieś być muszą, żeby był dojazd w razie pożaru. Ale nie tyle.

Wylicza: – *W Puszczy Białowieskiej mamy ok. 2000 km dróg i ok. 700 km rowów melioracyjnych, którymi ucieka woda. Mówię o lasach przy samej granicy polsko-białoruskiej, z którego to kierunku wychodziły ofensywy na Warszawę. A im bardziej suche są te lasy, tym łatwiejsze do pokonania. Tu akurat nie trzeba wielkich koncepcji i nakładów, wystarczyłoby zaniechać działań.*

Prof. Żmihorski niepokoi się, żeby nie doszło do jakichś nagłych zdarzeń. Nie ma na myśli ataku. Raczej incydenty podobne do tych, które już ćwiczyliśmy, jak śmierć żołnierza na granicy czy wtargnięcia dronów. Bo pod wpływem takich sytuacji władze mogą podejmować decyzje piarowe, by zademonstrować, że coś robią. Chwycić się pierwszego lepszego pomysłu – kopać rowy, lać beton tam, gdzie należało zaufać środowisku. I cała ta – jak ją nazwał Kosiniak-Kamysz – „unikalna platforma dialogu" posypie się jak ścięty las.

RYSZARDA SOCHA

eprasa.pl f51a944834

Kolory kłamstwa

Rozmowa z dr. Dawidem Myśliwcem, autorem książki „Wszyscy to robimy, czyli krótka opowieść o mijaniu się z prawdą", o metodach manipulacji, dezinformacji, wzmożeniu postaw antynaukowych. I jaką rolę odgrywają w tym algorytmy, a jaką ewolucja.

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

JOANNA PODGÓRSKA: **– Dr House mawiał: „Wszyscy kłamią", dr Myśliwiec, że „Świat bez kłamstwa nie może istnieć". Dlaczego?**

DAWID MYŚLIWIEC: – Idealistycznie pewnie wszyscy chcielibyśmy funkcjonować w świecie bez kłamstwa i wyobrażamy sobie, że byłby wspaniały. Ale przeprowadźmy taki eksperyment myślowy – żyjemy w społeczeństwie stuprocentowo prawdomównym i nagle rodzi się mutant, który wymyślił kłamstwo i jest zdolny do celowego mówienia nieprawdy. Możemy sobie wyobrazić, jak wielką korzyść mógłby czerpać z naiwności innych. Możliwe, że na pewnym etapie historii to się wydarzyło. Kłamać i odnosić z tego korzyść potrafią przecież także zwierzęta. Mamy do czynienia ze swego rodzaju ewolucyjnym wyścigiem zbrojeń. Musimy być w stanie przynajmniej wyobrażać sobie, jak to jest kłamać, żeby lepiej kłamstwo wykrywać, bo dzięki temu możemy sobie lepiej radzić z oszustami, którzy rywalizują z nami o ograniczone zasoby. Ale też sami, gdy uznamy, że przyniesie nam to jakąś gigantyczną korzyść, minąć się z prawdą i to moralnie usprawiedliwić. Kłamstwo ma tak dużo potencjalnych korzyści, że jego nieistnienie byłoby wręcz dziwne.

Opisał pan trzy kolory kłamstwa. Kłamstwo białe – miłe, z uprzejmości; kłamstwo czarne – egoistyczne; i chyba najciekawsze kłamstwo niebieskie – dla dobra grupy, bez której człowiek przez większą część swojej historii nie był w stanie funkcjonować. Ale ono otwiera niebezpieczne przestrzenie.

Skrajnie niebezpieczne. Rzeczywiście sukces ewolucyjny człowieka jest ściśle związany z tym, że jesteśmy zwierzętami społecznymi; że byliśmy w stanie zorganizować działanie grupy kilkudziesięciu osobników w czasie polowania, przemieszczania się czy opieki nad dziećmi. Kłamstwo białe to rodzaj kleju społecznego. Ktoś bliski pyta: jak moja nowa fryzura? Odpowiem, że OK, mimo że nie jestem o tym przekonany, ale nie chcę, żeby ta osoba poczuła się źle; nie chcę popsuć tej relacji. Kłamstwo niebieskie wykorzystywane jest dla dobra grupy. Problem w tym, że ono często jest wymierzone w inną społeczność; zrzucamy na nią całą winę. Zakłada też moralną wyższość – nam czasem wolno zrobić coś obiektywnie niemoralnego, bo inaczej oni będą robili coś znacznie gorszego. I to jest wykorzystywane np. w propagandzie politycznej, żeby

eprasa.pl f51a944834

budować poparcie na nienawiści lub lęku do jakiejś innej grupy społecznej, mniejszości. Takie plemienne kłamstwo: my kontra oni jest skutecznie wykorzystywane przez różnych demagogów i manipulatorów do osiągania korzyści finansowych, społecznych czy politycznych. W dobie portali społecznościowych i sztucznej inteligencji to się staje skrajnie niebezpieczne.

Bo angażuje emocje?

Tak. Wydaje się nam, że w obronie narodu, naszej grupy społecznej czy wyznaniowej mamy podstawy, by posunąć się do kłamstwa. Ale niebieskie kłamstwo łatwiej angażuje negatywne emocje. Mamy tendencje, by przykładać do nich większą wagę, łatwiej wpływają na nasz światopogląd, pamięć, na to, jak bardzo jesteśmy skłonni w coś uwierzyć. Nie bez podstawy najsilniej oddziałują na nas narracje, które wykorzystują uczucia lęku czy zagrożenia. Negatywne emocje, negatywne przekazy są dużo potężniejsze niż nawet tak samo umiejętnie skonstruowane przekazy pozytywne. Stąd już tylko krok do ekstremizmów i potwornej polaryzacji, bo ktoś, kto długo funkcjonuje w takiej narracji, nie będzie skłonny do otwartej dyskusji z tymi, przed którymi go tak ostrzegano.

Jakie inne mechanizmy poznawcze sprzyjają naszej podatności na manipulację i dezinformację?

Mówiąc najprościej, to, że nasze mózgi są, jakie są – niedoskonałe. Nie lubią się przemęczać, mają tendencję, by chodzić na skróty i upraszczać rzeczy. Te cechy przez większość czasu działają korzystnie. Fakt, że za każdym razem nie dzielimy włosa na czworo, tylko wkładamy sytuację w znany schemat, zazwyczaj przynosi dobre skutki.

To, że jesteśmy przewrażliwieni na negatywne bodźce, też ma uzasadnienie. Korzystniejsze było wypatrzyć podkradającego się do nas lwa, niż podziwiać piękno sawanny. Dlatego sztuczki używane przez manipulatorów, wykorzystujące te cechy naszych umysłów, działają tak skutecznie. Eksploatują wykształcone przez ewolucję mechanizmy, które są w nas dosłownie biologicznie zakorzenione. Jeżeli sami się nie zmusimy do dodatkowego wysiłku, to najprostsza sztuczka może na nas wpłynąć. Zawsze podkreślam, że warto sobie zadać pytanie, czy silne emocje, które czujemy po wysłuchaniu jakiegoś komunikatu, przyszły do nas w sposób naturalny, czy ktoś tak te informacje podał, żeby w nas emocje rozbudzić. I czy da się te informacje np. inaczej przekazać. Czy czuję się oburzony dlatego, że coś jest naprawdę oburzające, czy ktoś tak o tym opowiedział.

A na czym polega galop Gisha?

To „fantastyczna" technika mydlenia ludziom oczu. Nazwa pochodzi od nazwiska kreacjonisty Duane'a Gisha, który podczas dyskusji z ewolucjonistami strzelał do nich jak z karabinu dziesiątkami argumentów. Często wątpliwej jakości. A oni, próbując prostować oczywiste nieprawdy, zaczynali sprawiać wrażenie, że się mętnie tłumaczą. Niestety świetnie się to sprawdza w debatach publicznych. W krótkim czasie można podać naprawdę sporo nieprawdziwych informacji na poparcie swojej tezy, a rozmówca – w podobnym czasie – nie jest w stanie odnieść się merytorycznie choćby do kilku z nich. Niezorientowany odbiorca, który nie zada sobie trudu, żeby samemu to zweryfikować, pozostanie pod wrażeniem: ten facet ma rację, bo ma tak wiele faktów na poparcie swojej tezy. Rozmówca kogoś, kto tę technikę stosuje, żeby cokolwiek rzeczowo sprostować, musi sięgać do jakichś definicji, danych, statystyk. Wypada nudno i blado; jakby się tłumaczył.

Od ponad 10 lat prowadzi pan kanał popularyzujący naukę „Uwaga! Naukowy bełkot". Czy kiedy pan zaczynał, teorie naukowe też wywoływały tak skrajne emocje?

Zastanawiam się nad tym regularnie. Wydaje mi się, że te emocje były zawsze: że zawsze były osoby, które na brak zrozumienia pewnych kwestii reagowały oporem albo sprzeciwem. Wiedza wyniesiona ze szkoły czasami przedawnia się w ciągu 20–30 lat i mamy poczucie, że ktoś próbuje nam teraz odwrócić ten poukładany obraz świata. Internet to emocjonalne podejście nagłośnił. Ludzie, którzy są najbardziej okopani w swoim światopoglądzie, znaleźli medium, które pozwala im bardzo łatwo dawać temu wyraz. Są bardzo głośni, a paradoksalnie polemika z nimi może skutkować tym, że zamiast zwalczać fałszywe stwierdzenia, rozpowszechniamy je wśród coraz większej liczby odbiorców. Możliwe, że to wrażenie coraz większej powszechności takich postaw wynika z tego, że ludzie przestali się ich wstydzić. Kiedy coś jest reprezentowane publicznie (np. w społecznościówkach), łatwiej się do tego przyznać, łatwiej w to uwierzyć.

Jednak antyszczepionkowcy, płaskoziemcy czy wierzący w reptilian to było zupełne dziwactwo i margines. Nie wiem, czy dziś można tak powiedzieć. Media społecznościowe zadziałały jak pudło rezonansowe?

Tak, bo jeśli spotykamy się z czymś często, to to normalizujemy. Kiedyś rzadko można było usłyszeć o reptilianach. Dziś nietrudno o „informację", że rządzą światem i tylko jakiś charyzmatyczny polityk może ich obalić. Z kategorii „dziwne" przeszło to do kategorii „ciekawe". Na korzyść teorii spiskowych działa także fakt – co pokazują liczne badania – że ludzie czerpią przyjemność z uczucia posiadania wiedzy tajemnej, niedostępnej dla wszystkich.

Efekt potwierdzenia to znany mechanizm – wybieramy te informacje, które są zgodne z naszymi poglądami. Algorytmy jednak je potęgują.

Oj, tak. Często prezentują nam rzeczy, z którymi się zgadzamy albo z którymi skrajnie się nie zgadzamy. Upraszczając: w mediach społecznościowych spotykamy tych, którzy nienawidzą tego co my albo reprezentują to, czego nienawidzimy. Osoby prezentujące pośrednie stanowiska trafiają się rzadziej. To zaburza nasze poglądy i wyobrażenie o świecie oraz ma katastrofalne skutki, bo zamyka nas na dyskusję. Ktoś, powiedzmy o prawicowych poglądach, dostaje treści, które potwierdzają jego racje, oraz treści skrajnie lewicowe. I to zakrzywia, fałszuje jego wyobrażenie lewicowości; wszystko, co lewicowe, np. postulat równości płac czy związków partnerskich, uzna za niewartą dyskusji skrajność. A przecież większość ludzi nie ma skrajnych poglądów i w wielu kwestiach lokuje się gdzieś w centrum.

Opublikował pan film „Nie czuję się bezpiecznie na YouTubie", w którym mówi pan, że jako popularyzator nauki czuje się pan nękany. Wróćmy do emocji wokół nauki. Skąd aż taka nienawiść?

Gdybym kiedyś pracował w telewizji i przygotował tam podobny film, jego widz, niezgadzający się ze mną, mógłby co najwyżej złorzeczyć do telewizora albo napisać oburzony list do mojego pracodawcy. Dziś ekspozycja na komentarze jest ogromna, a media społecznościowe sprzyjają temu, by zapominać, że te komentarze są adresowane do żywego człowieka, który ma uczucia. Droga do przekazania negatywnych emocji drugiej osobie jest dużo krótsza. Platformy niewiele z tym robią, bo liczy się mityczny *watch time* i kwestia tego, ile czasu ludzie na nich spędzają, bo to się przekłada na oglądanie reklam, a więc na pieniądze. ▶

eprasa.pl f51a944834

▶ Wydaje się jednak, że 10 czy 15 lat temu szczepionki nie budziły takich emocji, żeby aż życzyć komuś śmierci albo żeby jego zaszczepione dziecko zachorowało na raka mózgu.

Szczepionki trzeba umieścić w kontekście pandemii. Gdyby nie Covid-19, ta kwestia chyba nie byłaby aż tak polaryzująca, a na pewno nie tak głośna. Nałożyły się na to stres i niezrozumienie, z czym mamy do czynienia. A trzeba przyznać, że komunikacja w przypadku pandemii była w wielu obszarach totalnie położona. Ludzie nie rozumieli, dlaczego pewne wytyczne się zmieniają, nie mieli świadomości, że my dopiero dowiadujemy się więcej o tym wirusie; że coś, co wiedzieliśmy w kwietniu 2020 r., może się okazać zupełnie przestarzałe już w grudniu. Odbierali więc zmianę wytycznych, np. w sprawie noszenia maseczek, jako działanie na ślepo albo co gorsza wynikające ze złej woli. Emocje, jakie wywołują moje filmy, w których poruszam kwestię szczepień, są tym spotęgowane. Nie chcę rozgrzeszać ludzi, którzy piszą te nienawistne komentarze. Czy ich rozumiem? Nie. Natomiast rozumiem mechanizm, który ich do tego popycha. To raczej nieliczna grupa moich widzów, ale bardzo aktywna. I to bez względu na to, czego dotyczy materiał. Opublikowałem film o krabach i za chwilę mogłem przeczytać, że mam krew na rękach z powodu szczepień. Dlatego mówiłem, że czuję się nękany, jakby wszędzie chodziła za mną grupa ludzi, którzy czekają, aż pęknę.

Widzi pan wpływ polityki na popularność antynaukowych teorii? To się przesącza do mainstreamu. Ekipa Trumpa to tylko pierwszy z brzegu przykład.

Oczywiście, bo politycy – wielu opcji – wygadują dziś jawne głupoty i nie ponoszą za to odpowiedzialności. Dla poparcia są w stanie chwycić się i bronić każdej tezy, choćby antynaukowej. A ci, którzy z nimi rozmawiają, często nie mają wystarczającego warsztatu naukowego, by ich dopytać, na jakiej podstawie opierają swoje twierdzenia, np. o szczepieniach. Najczęściej, jeśli polityk dostrzeże potencjał w jakiejś dziwnej teorii, oszacuje, że popiera ją milion czy dwa miliony ludzi w Polsce, to z tego skorzysta. Poprze ją choćby w mglisty, zawoalowany sposób, licząc, że część jego wyborców przymknie na to oko, a część uzna: tak, to jest nasz człowiek. Niestety ludzie mają bardzo słaby odruch przyznawania, że czegoś nie wiedzą, nie mają podstaw, żeby się na jakiś temat wypowiadać. A jeśli w polityce ktoś tak robi, jest to odbierane raczej jako przejaw słabości, a nie intelektualnej pokory. Politykowi bardziej opłaca się powiedzieć cokolwiek, nawet na temat, na którym się kompletnie nie zna. Donald Trump potrafi wypowiadać treści kuriozalne (jak choćby zapowiedź obniżki cen leków o 400 proc.), często sprzeczne ze sobą z dnia na dzień. Nikt nie nadąża, żeby to prostować. Gdy myślę o galopie Gisha, to właśnie on przychodzi mi do głowy. Niestety nie dotyczy to tylko Trumpa. W mniejszym lub większym stopniu robią to niemal wszyscy.

Dr **Dawid Myśliwiec**, chemik, popularyzator nauki, twórca kanału „Uwaga! Naukowy Bełkot" na You Tubie, którego filmy obejrzano ponad 150 mln razy. Autor książek „Przepis na człowieka" i „7 cząstek". Ostatnio ukazało się wydawnictwo „Wszyscy to robimy, czyli krótka opowieść mijaniu się z prawdą".

Pisze pan, że teorie spiskowe o wiele łatwiej niosą w sieci niż sprostowania. Jak to rozbrajać?

Jestem pesymistą. Wydaje mi się, że walka z teoriami spiskowymi, zwłaszcza w dobie sztucznej inteligencji, jest nie do wygrania. Przy dużym nakładzie pracy możemy liczyć najwyżej na remis. Popularyzacja nauki jest oczywiście potrzebna, ale naiwnością byłoby tu liczyć na jakieś olbrzymie zasięgi, porównywalne z treściami plotkarskimi czy internetowymi dramami. Zawalczyć trzeba o to, by coraz więcej osób było świadomymi konsumentami informacji; rozumiało techniki manipulacji i sposoby, w jakie wystawiani są na fake newsy. Według badań zwiększanie odporności informacyjnej daje lepsze skutki niż sprostowania. Nie tylko dlatego, że mają mniejsze zasięgi. Paradoksalnie one bardzo często mogą utwierdzać ludzi w tych błędnych przekonaniach; zwłaszcza przez negację. Podam przykład. Mówimy komuś: „Nie, Ziemia nie jest płaska". Mózg musi wykonać dwie operacje logiczne: przetworzyć zdanie „Ziemia jest płaska" i dodać negację. Jeśli ktoś miał już płaskoziemskie tendencje, to negacja może wylecieć z pamięci, a po raz kolejny został wyeksponowany na komunikat o płaskiej Ziemi. To, że kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą, choć brzmi jak truizm, niestety znajduje odzwierciedlenie w rzeczywistości. Więc jeśli prostować, to za pomocą twierdzeń afirmatywnych. Przede wszystkim jednak uświadamiać ludzi, jak działa dezinformacja; by podchodzili do usłyszanych twierdzeń sceptycznie i zadali sobie trud, by je weryfikować.

Zastanawiam się, czy pana słowa o remisie nie są zbyt optymistyczne.

Będzie trudno. Do pewnego momentu w pandemii wydawało mi się, że to, co obserwujemy, nawet dla sceptyków stanie się dowodem skuteczności współczesnej medycyny, szczepień. Oczywiście naturalne procesy w ewolucji wirusów zwykle sprawiają, że z czasem one stają się mniej śmiertelne. Jednak spadek liczby chorych, możliwość zniesienia lockdownów i obostrzeń stały się możliwe po wprowadzeniu m.in. szczepień ochronnych. Wydawało mi się, że ludzie będą się mogli naocznie przekonać, co one dają. Stało się przeciwnie. Nastąpił odwrót od szczepień na takie choroby jak odra czy polio.

Eksperci ostrzegali, że w takiej sytuacji te choroby wrócą. Te prognozy się wypełniły. A mimo to liczba osób sceptycznych wobec szczepień rośnie. W komentarzach pod jednym z filmów czytałem, że kiedyś straszono dziurą ozonową, związaną z emisją freonów, tak jak dziś straszy się zmianami klimatu – a jedno i drugie wymyślili naukowcy. Jawnie zmanipulowana narracja, bo nie wspomina o tym, że politycy ponadpaństwowo podjęli decyzję, by skończyć z emisją freonów obecnych wtedy m.in. w sprejach. To dlatego warstwa ozonowa ma się coraz lepiej, czyli pewien dosyć istotny element tej historii został tutaj pominięty. Gdy o tym napisałem, liczba sceptycznych komentarzy na temat dziury ozonowej nie spadła, tylko teraz mówią o tym, że firmie, która produkowała freon, kończył się patent, pojawiłaby się konkurencja, więc tej firmie opłacało się, by freony zbanować.

Walka z teoriami spiskowymi jest jak walka z hydrą – obetniesz jedną głowę, a w jej miejsce wyrosną trzy nowe. Internet bardzo ułatwia szukanie argumentów sceptycznych wobec nauki. Jak jeden zostaje obalony, to wystarczy krótkie googlowanie, żeby znaleźć sobie kolejny. A przecież historia dziury ozonowej to dowód na to, że wobec globalnego kryzysu można znaleźć rozwiązania, podjąć wspólne działania i nie trzeba wcale wracać w tym celu do jaskiń. Zdaje się, że ludzie nadal korzystają z dezodorantów czy lakierów w spreju.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

© MICHAŁ WOŹNIAK/DZIEŃ DOBRY TVN/EAST NEWS

eprasa.pl f51a944834

Meksykanie przed sądem w Białymstoku

Meta we wsi

Meksykanie sprowadzili się na podlaską wieś, żeby produkować metamfetaminę.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Sąd

Szybko wpadli. Stają przed sądem w Białymstoku. Nic nie rozumieją, bo mówią tylko po hiszpańsku. Jest na sali tłumaczka, jednak ma trudności z przekładaniem zwrotów chemicznych. A proces, za sprawą pytań prokuratora, właśnie skręcił w kierunku ścisłej chemii. Benzylometyloketon i redukcyjne aminowanie, w którym przekształceniu ulega grupa karbohydowa – takie sprawy.

Z chemii mocna jest biegła policjantka z laboratorium kryminalistycznego w Łodzi. To znaczy czterej oskarżeni też są obeznani w reakcjach, ale nie wiedzą, o czym mowa. Amalgamat glinowo-rtęciowy. Skład sędziowski i adwokaci czują się zdezorientowani fachową chemią. Wodorek sodu, reduktory, metyloanaliza. Jeden z obrońców podnosi, że w takich warunkach – będąc zaskakiwanym wąską wiedzą – nie da się skutecznie bronić interesów klienta. Ergo – nie da się procedować prawa. Sąd się przychyla. Staje na tym, że biegła w ciągu półtora miesiąca rozwinie, a jednocześnie uprości przekaz ekspertyzy, zwiększając stopień zrozumiałości. Jest połowa stycznia 2026 r.

Orla

Bardzo schludna wieś. Cisza, a nawet pustka. Powolne, jednoosobowe spacery przez śnieg do sklepów spożywczych. Zameldowanych ponad 800 osób, na stałe mieszka około 500. Czasy internetowe, więc zażyłość umiarkowana – nie to co kiedyś. Dawno zniknęły kumoterskie posiadówki uliczne, na których omawiano wieś i świat. Nikt już nie wie nic o nikim, mówi pani K., taka smutna prawda.

Sąsiadka pani K., starsza osoba, sprawdza mróz w telefonie, chociaż ma termometr zaokienny. Panu M. tuje zasłaniały widok, bo porosły wysokie. Pani Z., emerytka, która nie rusza się z mieszkania, w życiu nie widziała Meksykanina w Orli. A Meksykanie od metamfetaminy mieszkali 15 m od pani Z.

Sondy uliczne: Jacy Meksykanie? Tutaj u nas? Coś tam pieprzyli w telewizji, ale kto by tam wierzył? Wszędzie teraz kłamią, robią wyścigi w kłamstwie. A co, chce pan kupić narkotyki? Meksyk to tu jest, bo to Podlasie, ale żeby Meksykanie? Bo tutaj tyle obcych się kręci. Nasza Polska już niepolska. Letnicy, artyści, dziwacy.

W 2024 r. czterej Meksykanie wynajęli najokazalszą willę we wsi. Wielki biały dom na skraju Orli. Luksus byłej przychodni weterynaryjnej po odpicowaniu na wysoki połysk. Parter wielki i przeszklony. Telewizor ogromny. Kominek. Krzewy cięte w walce i kule. Własny strumyk w poprzek posesji. Właściciel kiedyś tu mieszkał. Zamożny człowiek, biznes oparł na wtryskarkach. Ale żonie się nie spodobało we wsi i się wynieśli.

Czterej Meksykanie z kartelu narkotykowego Sinaloa wynajęli dom przez internet. Nie było potrzeby widzieć się z właścicielem osobiście. Elektronika załatwiła całość.

Służby

W internecie jest film z pojmania Meksykanów w Orli we wrześniu 2024 r. Montowany thrillerowo – nagłe zbliżenia, obowiązkowy dron nad działką, dowody na stopklatkach (beczki z czymś białawym). Motoryczna muzyka z elementami symfonii. Podpisano: CBŚP. Podobnych realizowanych przez służby filmów jest w internecie więcej. Gdy zwijano kucharzy metamfetaminy z Orli, wpadło też laboratorium pod Bydgoszczą. Identyczny scenariusz działania – Meksykanie z Sinaloa w domu z internetu. Identyczne napięcie – kino akcji. Przekaz – chemicy z Meksyku atakują, polskie służby czuwają.

Po akcji zawsze następują nic niemówiące komunikaty służb. Media tylko powtarzają: „Intensywna praca operacyjna”, ▶

© PAP/ARTUR RESZKO

eprasa.pl f51a944834

▶ „realizacja zaplanowana". Policjant po realizacji w Orli wypowiada się do kamery: „jesteśmy w stanie ustalania pozostałych członków grupy". Tzw. internet obywatelski natychmiast to wyśmiewa: „powodzenia z ustalaniem i aresztowaniem w Meksyku". Dostaje się też Orlanom: „to bzdura, że nie widzieli, ale jak mówią, że nie widzieli, to trzeba im wierzyć, że nic nie widzieli". Oto nowa rzeczywistość sztucznointeligentna: internet rozmawia z internetem w internecie na temat małej wsi na Podlasiu, która nie zauważyła Meksykanów hurtowo gotujących metamfetaminę za miedzą, przy głównej drodze.

Realizację w Orli przeprowadzała Łódź. Lokalna policja tylko zabezpieczała. Kucharzy rzucali na ziemię i skuwali łódzcy cywile policyjni w kominiarkach. Wyższa szarża. Tak samo w sądzie – za Meksykanów wziął się Sąd Rejonowy z Bielska Podlaskiego, ale sprawę przejął Białystok. I obecnie w korytarzach białostockiego sądu puszcza się taką kontrolowaną plotkę-nieplotkę: służby namierzały Meksykanów od chwili ich wjazdu do Polski. Nad wsią Orla pracowały wysoko zawieszone drony – niewidoczne z ziemi. Wiedziały o nich wszystko. Czekały, aż zaczną produkcję. Chodziło o czystą „realizację na gorącym uczynku", która „finalnie miała wszelkie znamiona powodzenia".

Zarzut

Proces Meksykanów w Białymstoku miał już trzy terminy – listopad, grudzień, styczeń. Jest jawny. Ale sąd zabronił dziennikarzom podawania informacji o oskarżonych. O zakaz wnioskował obrońca jednego z nich. W ten sposób, motywował, nie narazi się rodzin podsądnych w Meksyku na zemstę ze strony kartelu Sinaloa. Co prawda ich dokładne dane osobowe można przeczytać na wokandzie przed salą rozpraw. Dzięki temu można wyszukać ich profile w socjalach. Da się też zasięgnąć języka w okolicach aresztu w Hajnówce, gdzie siedzieli. Ale można tylko napisać, że są bardzo spokojni, nie panikują, a nawet, że są pogodni. Mieli trudności z dodzwonieniem się z aresztu do rodzin w Meksyku, jakiś kłopot z telefoniczną kartą impulsową. Ale w końcu się udało – ich bliscy już wiedzą, co się wydarzyło w Orli. I że grozi im po 20 lat więzienia. Jeden z nich odsiedział sześć lat w Stanach za transport narkotyków.

Areszt w Hajnówce zbudowano według unijnych norm. Towarzystwo od kilku lat ma międzynarodowe – wielu obywateli Wschodu zamieszanych w przemyt ludzi do UE przez granicę białoruską. Teraz doszli zawodowi meksykańscy kucharze mety. Nowa Polska. Nie wypierali się winy, ale umniejszali swoją rolę w łańcuchu produkcji. Któryś mówił, że był zmuszany do pracy. Mają zarzuty: wytwarzanie na dużą skalę.

Sąd

W sądzie siedzą w specjalnym „akwarium" dla chronionych i niebezpiecznych. Każdego prowadzi dwóch policjantów. Chemicy zakuci w kajdany dolne i górne. Największa sala białostockiego sądu okręgowego – obliczona na setki osób publiki. W styczniu 2026 r. pusta – dziennikarzy dwóch, kamer zero. Przychodzi przełożony funkcjonariusz i na migi daje eskorcie znać, że mają założyć służbowe czapki z orzełkami. Rozkaz wykonują niezwłocznie. Oskarżeni kiwają sobie głowami na powitanie i zamieniają kilka zdań po hiszpańsku. W areszcie nie mają kontaktu.

Prokurator Grzegorz Giedrys rozpoczyna pytania chemiczne do biegłej. Czyli podczas produkcji zasady przekształcają się w sole? Tak, zasadowa substancja płynna pod działaniem kwasu solnego przekształca się w krystaliczną sól. Tłumaczka: *substancia finita, capacidad de producto final*. Sąd zauważa, że prokurator zadaje za szczegółowe pytania jak na ten moment procesu. Sąd nie powinien być zaskakiwany nowymi oczekiwaniami prokuratora. Prokurator chce rozszerzenia zarzutów i twierdzi, że nie zmieni to wyroku. A skąd prokurator to wie? – pyta sąd. Robi się nieco elektrycznie. Sąd mówi: wyrok to sprawa sądu, nie prokuratora.

Oskarżeni nawet nie drgną. Żadnej bandyterki w twarzach. Stateczni ojcowie wielkich rodzin. Czarnorynkowa wartość ich wytworów z Orli przekracza 7 mln zł.

Prokurator

Śledztwa narkotykowe Grzegorz Giedrys prowadził już w latach 90. Dzisiaj wytwórni odurzaczy likwiduje się w Polsce kilkaset rocznie. Pojedynczych spraw z narkotykami w tle są tysiące. Laboratoria kryminalistyczne przeładowane pracą, mówi prokurator, brakuje biegłych z chemii i fizyki. Sąd był troszeczkę zaskoczony szczegółowością, zakresem i terminologią chemiczną biegłej policjantki z Łodzi – przypuszcza Giedrys – jednak chaosu na sali sądowej nie było żadnego.

Prokurator dba o konkrety – nie tylko ile mety wyprodukowali Meksykanie w Orli, ale ile byli w stanie wyprodukować. Ile „substancji kontrolowanej" zostało w odpadach (dna beczek, szmatki, zlewki). Gdyby chodziło o pędzenie bimbru, mówi przed sądem Grzegorz Giedrys, sprawa byłaby może prostsza. A tu obcokrajowcy na podlaskiej wsi pędzą metamfetaminę. Różnica skali – międzynarodowy hurt.

Pędzili metę przed domem, w ogrodzie. Nigdy w domu. Chodziło o trujące opary czy o zacieranie śladów – nie wiadomo. Pytanie tylko, mówi prokurator, czy nie doszło w Orli także do zanieczyszczenia gleby? Jeśli rozszerzy się zarzuty o te nowe przesłanki, będzie można przedłużyć areszt chemikom z Sinaloa. To uniemożliwi im wyjazd do Meksyku przed wymierzeniem sprawiedliwości w Polsce.

Zaraz na początku tej podlaskiej sprawy meksykańskiej prokuratora Giedrysa uderzył taki fakt: czy ci Meksykanie nie rozumieli specyfiki podlaskiej wsi, gdzie każdy wie wszystko o każdym?

Adwokat

Rafał Gulko dużo występuje w sprawach karnych na terenie Białegostoku i okolic. Jak mówią o nim sądowe korytarze – gorące nazwisko podlaskiej palestry. Nagle jego zawodowa praktyka nabiera cech światowych. Dosłownie: dzwoni Meksyk. Rodzina oskarżonego chce, by Gulko bronił przed sądem ich ziomka, który wpadł w Orli. Za pieniądze, z wyboru, legalnie. Gulko nie wie, jak go znaleźli, ale bierze sprawę.

Mówi, że ma stały kontakt z rodziną klienta w Meksyku, telefony, adresy – wszystko. Klientowi w areszcie dostarcza podręczniki do nauki angielskiego. Mówi on wyłącznie po hiszpańsku, a chciałby się rozwinąć. Gulko też dba o konkrety – nie da się zarzucić sali sądowej sformułowaniami z fachowej chemii, których nikt nie rozumie, i oczekiwać sprawiedliwego wyroku. Potrzebne są uproszczenia przekazu.

Tu potrzeba więcej czasu. Sprawa trudna. Wymaga przejrzystości. Precedens. Orla. Podlasie. Meta. Meksykanie. Kartel. Współczesna Polska wita.

Orla

Pani K. z Orli mówi, że latem jeździli po Puszczy Białowieskiej inni Meksykanie. Szukali domu do wynajęcia. Koleżanka mówiła – bardzo mili, ale potem zapadli się pod ziemię. Gdzieś się przyczaili? Pan M.,

eprasa.pl f51a944834

który zainteresował się chemikami z Orli już po ich aresztowaniu, nie może się nadziwić: czy oni są mądrzy? Toż to 30 km od białoruskiej granicy w linii prostej. Gorący kartofel Polski. Kilka lat zakazu wstępu, zona graniczna, wszystkie służby w stanie gotowości, skoszarowane jednostki wojska z całego kraju, lotne patrole, kontrolowanie wszystkiego, co się rusza. Tu chcieli produkować narkotyki w tajemnicy? Mądrzy ci Meksykanie?

W Białymstoku startował proces kucharzy metamfetaminy z Sinaloa, a do Orli mówi, że to była produkcja metamfetaminy na Polskę – żadnego eksportu. Meksykańska meta podlega swojemu rynkowi – jest popyt, podaż się załatwi. Policjanci mówią, że Sinaloa tak samo działa w RPA.

I zaczyna się zwyczajna polska rozmowa polityczna na ulicach wsi i w internecie: te 600 tys. wiz rozdanych przez PiS zrobiło swoje, a prezes mówił o „małej aferce"; wpuszczają do Polski wszystkich jak leci; Meksykanie odbierają pracę Polakom; a pokaż papiery na te 600 tys. wiz!; kłamiesz, kłamiesz, kłamiesz.

Orla, podwórko-fabryka w Orli. Tu produkowano metę.

© CBŚP

zjechały telewizje. Ekipy łaziły pustymi ulicami, próbując złapać rozmówcę. Orlanie wypowiadali się do kamery dokładnie słowami, które już wcześniej padały w telewizji i internecie: nikt nic nie widział, nie słyszał, nie mówił, normalnie szok, nie miałem pojęcia, dopiero się dowiedziałem, w życiu nie widziałam Meksykanów.

Dopiero po fakcie ruszyła giełda opowieści. Ktoś jechał traktorem, siedział wysoko, ponad tujami widział u Meksykanów dwa samochody – na litewskich i polskich numerach. Potem się okazało, że oba wynajęte przez internet, jak dom. Ktoś ich widział na wsi. Jeden jedyny raz poszli grupą do spożywczego kupić coś do jedzenia. Zapałała do nich pewna miejscowa dziewczyna, która tak bardzo chciała się zaprzyjaźnić, że się zmieszali i uciekli do domu za tujami.

Ktoś widział furgonetkę kuriera, jak im coś przywiozła pod dom. Ktoś czytał w gazecie, że mieli przewodnika Polaka. Zeznawała przed sądem właścicielka magazynów do wynajęcia, że zjawili się wynająć komórkę. Tam przywozili paczki. Potem te paczki znikały. Prokuratura

Teraz każdy ma zdanie. A jak się działo, to nikt nic nie widział za tujami, które rosną jak mur przy białym domu.

Sołtys

Marek Chlebowski, sołtys, też o niczym nie wiedział.

Tłumaczy: to już nie ta wieś, co kiedyś. Konkretnie jest tak: Orlanin o Orlanach wie wszystko. Wszystkie silne i słabe cechy charakteru jak na dłoni. Ale Orlan autochtonów malutko. Można, mówi sołtys, do paru domów jeszcze wejść jak dawniej. Jak swój – obejść podwórko, wejść do środka. Ale coraz więcej takich, gdzie człowiek się brzuchem o zamknięty płot oprze. Płoty na wysokość człowieka. Oho, to nowy się sprowadził. Albo autochton wrócił po latach w mieście i dba o prywatność. I wszędzie te cholerne tuje; zatujowienie mózgowe.

Orla się otwiera – wystarczy spojrzeć na przyrost agroturystyk w okolicy. Z kilkunastu do kilkuset przez kilka lat. Moda na Podlasie. Domy do wynajęcia na długie miesiące przez internet. Turyści. Rowery. Kajaki. Region zadowolony z napływu ludzi i pieniędzy po latach zony i ograniczeń w ruchu. Chlebowski sam jest orlański wizjoner. Czuje media i kulturę, mówią we wsi, mistrz piaru. On ma jedną wizję: Teraz Orla. W zeszłym roku dostał nagrodę Muzeum Żydów Polskich Polin. Bo Orla to bardzo polska podlaska wieś: kościół, cerkiew i synagoga. Do synagogi sołtys ściąga artystów na Festiwal Kultury Żydowskiej „Szalom mimo wszystko". Co roku większe tłumy gości.

Nowa Polska, nowa Orla. Rodzina mieszana. Sąsiad muzułmanin. Obcy niebratający się. Sąsiadka wydana za mąż do Arabii. Kto by tam zauważył Meksykanów? Są, to są. Nie ma, to nie ma. Dom znów będzie do wynajęcia.

Kiedy CBŚP robiło najazd na Meksykanów, Chlebowskiego doproszono jako „czynnik społeczny". Policja nie mogła się dodzwonić do właściciela. A musieli już wchodzić, żeby był ten gorący uczynek. Dron latał nisko nad kucharzami. Sołtys był za świadka. Na podwórku niebieskie beczki z czymś białawym. Oprócz tego odczynniki. Na beczce z sodą kaustyczną dumny symbol: Teraz Polska.

Chlebowski potem żartował na wsi, że popieranie polskiej produkcji sąd powinien chemikom uwzględnić jako okoliczność łagodzącą.

Sąd

Po 45 minutach sprawa przed białostockim sądem odroczona. Kolejny termin – luty. Do tego czasu wątpliwości prokuratora Giedrysa w kwestii fenyloacetonów, kwasów, zasad, odczynów, reduktorów, chlorowodorków i metyloanalizy mają zostać rozwiane przez biegłą. Zatem wszystko jasne, do widzenia. Sędzia jeszcze tylko chce wiedzieć, czy oskarżeni rozumieją, co się dzieje na sali sądowej.

Tłumaczka tłumaczy: *entienden los acusados lo que esta sucediendo*.

Wstaje najniższy z Meksykanów, ten całkowicie pozbawiony mimiki twarzy. Mówi, że dla niego nie jest to jasne. Sąd zapytuje, co dokładnie nie jest dla oskarżonego jasne. On nie rozumie, o co chodzi z tymi ilościami. Tłumaczy mu się, że prokurator chce uszczegółowić, ile metamfetaminy w Orli wyprodukowali, a ile mogli.

Si, mówi oskarżony chemik z Sinaloa i siada pomiędzy swymi dwoma policjantami.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

eprasa.pl f51a944834

Trening codzienności

Uczą się sprzątać i robić zakupy. Trenują pod okiem specjalistów. Dla osób z niepełnosprawnością intelektualną lub psychiczną mieszkanie treningowe to często jedyna szansa, żeby nie trafić do domu opieki.

FILIP ZAGOŃCZYK

Do sklepu spożywczego w centrum Warszawy wchodzą dwie kobiety. Rozmawiają: – Zobacz, tu jest masło, tu chleb, tu trochę wędliny. – Jak myślisz, co jeszcze będzie potrzebne? Może pomidorki? Jedna z kobiet to trenerka usamodzielnienia. Jej podopieczną jest dziewczyna z niepełnosprawnością intelektualną. Przez lata wyręczana przez opiekunów musi nagle rozpocząć samodzielne życie. Rodziców już zabrakło, a ona nie jest przyzwyczajona do sprzątania, gotowania czy robienia zakupów. Nie wie, co ile kosztuje i jak zapłacić w sklepie. Jeśli uda jej się opanować wszystkie te czynności, będzie mogła zamieszkać w mieszkaniu wspomaganym i nie trafi do domu opieki społecznej.

Anna Ziółkowska mieszka na warszawskiej Woli z przyjaciółką Ewą Beniowską. Kobiety wspólnie chodzą do kina, słuchają starych polskich przebojów, Seweryna Krajewskiego czy Maryli Rodowicz. Możliwość samodzielnego zamieszkania to wielki życiowy sukces, na który zapracowały. Anna jest osobą z niepełnosprawnością intelektualną. Przez wiele lat mieszkała z rodzicami i nie zajmowała się rutynowymi domowymi obowiązkami. Z podobnymi problemami borykała się Ewa. Kilka lat temu zmarł ojciec Anny, a mama stała się osobą potrzebującą pomocy z uwagi na problemy zdrowotne. Anna musiała się usamodzielnić. Z pomocą przyszło Stowarzyszenie Otwarte Drzwi prowadzące mieszkania treningowe i wspomagane w Warszawie. Początkowo Ziółkowska uczyła się, jak utrzymać porządek w domu, przygotować posiłki, a także załatwiać sprawy urzędowe czy poruszać się autobusem na mieście. Wszystko to pod okiem trenera usamodzielnienia. Szybko przekonała się, że samodzielne życie, choć trudne, jest możliwe i po kilku miesiącach przeniosła się do mieszkania rodzinnego na Woli.

Anna Ziółkowska z Ewą Beniowską. Możliwość samodzielnego zamieszkania to dla nich wielki życiowy sukces.

Ewę Beniowską, z którą obecnie mieszka, poznała podczas zajęć w warszawskim Ośrodku Wsparcia Partnerzy. Ewa jest osobą z niepełnosprawnością ruchową i całościowymi zaburzeniami rozwoju i podobnie jak Anna potrzebowała treningu, żeby prowadzić bardziej samodzielne życie. Dziś przyjaciółki radzą sobie doskonale, wspierane przez asystentki osoby z niepełnosprawnością. Wybrały się ostatnio do kina na film o Chopinie, który bardzo im się spodobał. Anna pytana, co dziś w samodzielnym życiu jest dla niej najtrudniejsze, z uśmiechem mówi, że robienie zakupów, bo często trzeba przytachać ze sklepu ciężkie siatki. Wspomina, że nienajlepiej jeszcze wychodzi jej gotowanie, ale robi regularne postępy. Z Ewą mieszka im się razem wspaniale. Podkreślają, że życie we dwójkę jest prostsze niż funkcjonowanie

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl f51a944834

w mieszkaniu treningowym. – *Tam jest zazwyczaj pięć czy sześć osób. Każda z innymi problemami. Trzeba się stale dogadywać* – tłumaczy Anna.

Na co dzień kobiety uczęszczają na zajęcia do wspomnianego ośrodka Partnerzy. Mają tam wsparcie psychologa. Spotykają znajomych. Poważnym i jak dotąd nierozwiązanym problemem jest sytuacja zawodowa. Anna w przeszłości pracowała kilka miesięcy w biurze, ale dziś utrzymuje się wyłącznie z renty. Nie wie, co będzie w przyszłości. Na razie koncentruje się na tym, co już udało jej się osiągnąć, i cieszy się każdą chwilą z przyjaciółką. Kobiety bardzo doceniają też rolę asystentki, bez pomocy której funkcjonowanie w mieszkaniu byłoby dla nich trudne.

Trenerem usamodzielnienia jest zazwyczaj pracownik stowarzyszenia prowadzącego mieszkanie treningowe. Organizacje starają się, żeby była to osoba z wykształceniem pedagogicznym lub psychologicznym, która ma wiedzę na temat funkcjonowania osób z niepełnosprawnością intelektualną lub psychiczną.

W Warszawie funkcjonuje ok. 20 mieszkań treningowych. Na stronie urzędu miasta można znaleźć wykaz wszystkich organizacji prowadzących takie placówki. Zazwyczaj w jednym takim mieszkaniu samodzielnego życia uczy się pięć, sześć osób, przy czym obowiązuje zasada niełączenia osób z niepełnosprawnością intelektualną z osobami z niepełnosprawnością psychiczną. Pobyt w mieszkaniu trwa sześć miesięcy z możliwością przedłużenia, a decyzję administracyjną w tej sprawie wydaje ośrodek pomocy społecznej.

Czy jest kraj, którego rozwiązania moglibyśmy uznać za wzorcowe? System wsparcia bardzo dobrze funkcjonuje w Szwecji. Zgodnie z przepisami prawa wszyscy mieszkańcy mają mieć wyrównane warunki mieszkaniowe. Odpowiedzialność za to ponosi gmina, na którą ten obowiązek nakłada ustawa z 1994 r. Wszystkie mieszkania mają być dostosowane do potrzeb osób z niepełnosprawnościami czy ludzi starszych. Dzięki tej ustawie osoby z niepełnosprawnościami funkcjonują w dobrze sobie znanym środowisku, mają też możliwość skorzystania z pomocy asystenta personalnego.

To potrzebujący sam decyduje, w jakim czasie i z jakiej formy wsparcia skorzysta, a asystentura nie ogranicza się wyłącznie do prac domowych czy pielęgnacji, ale obejmuje wszystko, co umożliwia aktywne życie, np. pomoc w studiowaniu czy pracy. Osoba z niepełnosprawnością jest pracodawcą asystenta.

Mieszkania treningowe i wspomagane to pomysł na nowoczesną formę pomocy. Zamiast kierować osobę z niepełnosprawnością intelektualną lub psychiczną do domu pomocy społecznej, daje się jej szansę na samodzielne funkcjonowanie w dobrze znanym środowisku. W Warszawie prowadzeniem takich mieszkań zajmuje się kilka organizacji, wśród nich Stowarzyszenie Otwarte Drzwi i powołana przez nie Fundacja W Stronę Jutra.

Michał Piotrowski jest w Stowarzyszeniu koordynatorem mieszkania treningowego. Prezesuje też fundacji. Mieszkania, w których podopieczni uczą się samodzielności, pochodzą z zasobu mieszkaniowego miasta Warszawy. Kandydaci, którzy chcą skorzystać z tej formy wsparcia, muszą być pełnoletni, posiadać orzeczenie o niepełnosprawności lub zaświadczenie od lekarza o chorobie psychicznej i mieszkać w Warszawie. Przed przyjęciem do mieszkania treningowego odbywa się rozmowa z kandydatem i jego opiekunem. Piotrowski podkreśla, że mieszkanie treningowe to czas intensywnej nauki samodzielnego życia. Po zakończonym pobycie można z nowymi umiejętnościami wrócić do domu rodzinnego lub przejść do mieszkania wspomaganego. Tam ci, którzy ukończyli trening, starają się funkcjonować maksymalnie samodzielnie, przy wsparciu dopasowanym do ich potrzeb.

Piotrowski zwraca uwagę, że sytuacja osób korzystających z mieszkań wspomaganych nie jest stabilna. Organizacje działają od projektu do projektu, często do kolejnej edycji kwalifikując te same osoby, bo potrzebują one stałego wsparcia, którego najczęściej nie mają już w środowisku rodzinnym. Przepisy prawa na razie jednak nie pozwalają na to, żeby mieszkanie wspomagane było docelowym miejscem zamieszkania osoby z niepełnosprawnością intelektualną czy psychiczną. Zmiana w ustawie o pomocy społecznej, która ma dać możliwość np. podpisania z osobą wspieraną umowy najmu, jest dopiero przygotowywana. Nie wszystkie lokale przekazywane przez miasto się nadają. Niektóre z nich są dwupoziomowe lub mieszczą się na piętrze w budynku bez windy. Wyklucza to z pomocy osoby poruszające się na wózkach.

– *Na szczęście ta sytuacja zaczyna się zmieniać i nowe mieszkania przeznaczane na cele społeczne spełniają wymogi dostępności. Ostatnio w Warszawie wybudowano nowoczesny budynek TBS, w którym mieszczą się kompleksy mieszkań wspomaganych. Jest tam nawet system przyzywania asystenta. Osoba z niepełnosprawnością ma w swoim pokoju przycisk, za pomocą którego w razie wypadku może wezwać asystenta* – tłumaczy Piotrowski. Podkreśla, że celem mieszkań treningowych i wspomaganych jest maksymalne usamodzielnienie się osoby z niepełnosprawnością, na miarę jej psychofizycznych możliwości. – *To szansa na niezależne życie, a dla państwa możliwość zmniejszenia obciążeń finansowych związanych z funkcjonowaniem domów pomocy społecznej. Mieszkania są popularne w takich krajach, jak Niemcy, Szwecja czy Anglia, stamtąd czerpiemy wzorce* – dodaje Piotrowski.

Stowarzyszenie Otwarte Drzwi działa od ponad 30 lat i obejmuje wsparciem ok. 500 osób każdego roku. Za największy sukces prezes Piotrowski uważa to, że wielu podopiecznym udało się ustabilizować swoją sytuację mieszkaniową i że dziś mogą już funkcjonować samodzielnie, oczywiście przy odpowiednim wsparciu.

Rozwój programu mieszkalnictwa wspieranego podobnie jak ustawa o asystencji osobistej ma zwiększyć szansę na niezależne życie osób dotychczas wykluczonych. Ustawa o asystencji, procedowana obecnie w Sejmie, ma wejść w życie od stycznia 2027 r. W pierwszym etapie obejmie ponad 100 tys. osób z niepełnosprawnościami od 13. do 65. roku życia. Państwo liczy, że dzięki niej uda się również odciążyć ponad pół miliona opiekunów, którzy nie pracują, bo opiekują się członkiem rodziny z niepełnosprawnością. Potrzeby wsparcia asystenckiego są jednak znacznie większe. Pomocy potrzebuje w Polsce ponad milion osób.

Rozwiązania takie jak ustawa o asystencji czy mieszkania treningowe to ogromna szansa dla ludzi wykluczonych na realizację marzeń o tym, żeby wziąć życie we własne ręce. A pomoc ze strony państwa może się tu okazać bezcenna. ■

eprasa.pl f51a944834

Komisja Europejska zrezygnowała z żądania, by po 2035 r. produkowano wyłącznie auta elektryczne. Jedni widzą w tym dowód realizmu, inni sygnał odwrotu od Zielonego Ładu. Co tu się naprawdę dzieje?

Elektryki bez prądu

ADAM GRZESZAK

„Istnieje ryzyko, że przyszła mapa światowego przemysłu samochodowego zostanie nakreślona bez uwzględnienia Europy" – ostrzegł Stéphane Séjourné, wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej ds. dobrobytu i strategii przemysłowej. Słabnąca sprzedaż, wysokie ceny energii, rosnąca globalna konkurencja oraz niepewne otoczenie regulacyjne i handlowe wpędziły sektor samochodowy w kryzys. Europę zalewa fala samochodów z Chin, bo są tańsze za sprawą chińskich rządowych subsydiów. Unijne cła wyrównawcze na chińskie e-auta (od 7,8 do 35 proc.) niewiele pomogły. W tym samym czasie europejski przemysł traci udziały w rynku chińskim, od którego się uzależnił, i musi zmagać się z nierealistycznymi wymaganiami w Unii Europejskiej.

Najtrudniejsze jest ekspresowe tempo ograniczania emisji CO_2. Żądanie, by za 10 lat wszystkie nowe samochody osobowe i dostawcze sprzedawane w UE nie emitowały dwutlenku węgla, stało się wyrokiem na silniki spalinowe. Wynaleziono je w Europie i Europa jako pierwsza chce się ich pozbyć, zastępując silnikiem elektrycznym zasilanym z akumulatorów (BEV). To wymusza rewolucyjną zmianę produkcyjną: nowe technologie, nowi kooperanci i poddostawcy, nowe części i podzespoły, nowe surowce, nowe kompetencje pracowników.

Czasu do ostatecznej transformacji zostało dramatycznie mało. Możemy nie przetrwać, Europa straci suwerenność w kluczowych sektorach i technologiach, przekonują koncerny. Europejska motoryzacja się kurczy. Tylko w 2025 r. pracę straciło 50 tys. pracowników w przemyśle części samochodowych. Już choćby dlatego, że silnik spalinowy składa się z ponad 2 tys. części, a elektryczny tylko z 200, które zresztą najtaniej produkowane są w Azji.

Przemysł krwawi

Europejski przemysł motoryzacyjny zapewnia dziś 7 proc. unijnego PKB, generuje ok. 170 mld euro eksportu i zatrudnia 13,8 mln osób. W przypadku Polski motoryzacja odpowiada za 1,4 proc. PKB i 8,5 proc. eksportu. Jesteśmy wielkim producentem części samochodowych, ale 25–37 proc. wartości eksportu jest powiązane z produkcją pojazdów spalinowych. W Polsce działa 12 fabryk, które łącznie zatrudniają 23 tys. osób. Jeśli UE chce się reindustrializować, musi ratować swój sztandarowy przemysł. – *Europejski przemysł motoryzacyjny*

eprasa.pl f51a944834

krwawi – alarmuje Tomasz Bęben, prezes Stowarzyszenia Dystrybutorów i Producentów Części Motoryzacyjnych.

Pod koniec sierpnia 2025 r. Europejskie Stowarzyszenie Producentów Samochodów (ACEA) i Europejskie Stowarzyszenie Producentów Części Samochodowych (CLEPA) wystosowały list do przewodniczącej KE Ursuli von der Leyen, ostrzegając, że spełnienie celów ograniczania emisji CO_2 w przypadku samochodów osobowych i dostawczych jest „po prostu niewykonalne". W 2030 r. emisja musi zostać zredukowana o 55 proc. w stosunku do poziomu z 2021 r., a w 2035 r. o 100 proc. Przemysł przekonuje, że stara się, jak może, ale sam nie dokona elektromobilnej transformacji. „Potrzebujemy zdecydowanych środków wspomagających, w tym solidnej infrastruktury ładowania, istotnych zachęt dla konsumentów i znaczącej modernizacji naszych sieci energetycznych. Ponadto wysokie koszty energii elektrycznej muszą zostać znacząco obniżone, ponieważ mają one bezpośredni wpływ na atrakcyjność i dostępność mobilności elektrycznej dla przeciętnego konsumenta" – wylicza Ola Källenius, dyrektor generalny Mercedes-Benz i prezes ACEA.

Dialog, czyli monolog

Sprawa samochodowych emisji CO_2 podzieliła Parlament Europejski. Prawa strona, czyli Europejska Partia Ludowa, Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy oraz Patrioci na rzecz Europy, krytyczni wobec Zielonego Ładu, stanęli w obronie przemysłu samochodowego i chcą złagodzenia reguł. Socjaliści i Demokraci, Zieloni – Wolny Sojusz Europejski oraz Lewica okazali się głusi na apele branży. Argumentują, że transport odpowiada za 25 proc. całkowitej emisji gazów cieplarnianych w UE i konieczne są zdecydowane działania, a nie demontaż dopiero co ustalonych reguł. Trzeba myśleć, jak szybko rozbudować przemysł akumulatorowy i ochronić rynek UE przed zalewem chińskich aut.

Komisja Europejska przeprowadza z przedstawicielami przemysłu okresowe spotkania zwane Strategicznym Dialogiem Motoryzacyjnym, choć złośliwi mówią, że to raczej monolog brukselskich urzędników. Po trzeciej, grudniowej edycji dialogu KE zaproponowała lekką korektę kursu zwaną „środkami elastyczności". Za kluczową uznano zgodę na dalsze wykorzystywanie silników spalinowych. Producenci samochodów po 2035 r. będą musieli wykazać się ograniczeniem emisji spalin, ale nie o 100 proc., jak zakładano, tylko o 90 proc. Pozostałe 10 proc. nie zostało im jednak darowane. Muszą je odpracować, wykorzystując tzw. niskoemisyjną stal wyprodukowaną w UE lub e-paliwa i biopaliwa. – *Gdybym powiedział, że to przełomowa decyzja i oddycham z ulgą, to bym skłamał. To dopiero mały krok, ale szczęśliwie w dobrym kierunku* – komentuje Jakub Faryś, prezes Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego.

Elektryki jadą wolno

Dzięki tej decyzji za 10 lat będą mogły być nadal produkowane wszystkie formy hybryd elektryczno-spalinowych: plug-in (z możliwością doładowania akumulatorów z gniazdka), hybryd klasycznych (napęd zapewniają silnik spalinowy i elektryczny), hybryd miękkich (silnik elektryczny wspiera spalinowy w ograniczonym zakresie), aut z range extenderem (wydłużacz zasięgu – auto elektryczne, ale ze spalinowym generatorem prądu doładowującym akumulatory), a także pojazdy wyłącznie z silnikami spalinowymi. Oczywiście nie będzie ich wiele, bo przytłaczającą większość będą stanowiły auta na baterie. Wynika to z unijnego mechanizmu redukcji emisji CO_2, który wymaga liczenia w każdym roku średniej emisji dla całej wyprodukowanej przez producenta floty aut. Jeśli jest wyższa od wymaganej, wówczas za każdy gram nadwyżkowego CO_2 od każdego auta płaci się karę (dziś 95 euro/g).

Spalinowe zapewne ocaleją w segmentach luksusowych i sportowych, bo tu klientów będzie stać, by zapłacić za kaprys posiadania dieslowskiego lub benzynowego silnika. Wymagana w 2035 r. redukcja o 90 proc. oznacza średnią emisję CO_2 tylko 11,5 g CO_2/km (dziś 93,6 g), więc większość sprzedaży muszą stanowić auta zeroemisyjne, czyli wyłącznie bateryjne.

Przemysł dostał jednak koło ratunkowe w formie kredytów emisyjnych: producent, któremu zabraknie do wymaganej ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f51a944834

▶ 90-procentowej redukcji, będzie mógł brakujące procenty dokupić od tego, który cel przekroczył. System kredytów emisyjnych faworyzuje małe elektryki, bo w Brukseli panuje przekonanie, że Europa przegrywa z Chinami elektromobilny wyścig m.in. dlatego, że oni postawili na małe, tanie, popularne modele, a europejskie koncerny zaczęły elektryfikację od górnej półki.

Technologia BEV szybko się rozwija, przybywa nowych modeli, wydłuża się zasięg na jednym ładowaniu (są e-auta zbliżające się do 1000 km), skraca się czas ładowania, a to są cechy, które dotychczas budziły zastrzeżenia i zniechęcały do zakupu. Nawet niskie temperatury, jak te, których właśnie doświadczamy, uchodzące za nokautujące dla aut na baterie, takie już nie są. Wprawdzie na ostrym mrozie rośnie pobór energii, bo trzeba korzystać z ogrzewania, i maleje wydajność baterii, ale coraz częściej stosowany jest energetycznie oszczędny system z pompą ciepła, więc zima nie jest już taka straszna.

Europejczycy w swej masie są dość konserwatywni: w konkurencji z elektrykiem wciąż wygrywa wielki, ciężki i paliwożerny SUV. Samochody elektryczne w 2024 r. stanowiły 2,3 proc. całkowitej floty samochodowej UE, a hybrydy typu plug-in 1,4 proc. Tylko sześć krajów UE mogło się pochwalić udziałem e-aut wyższym niż 4 proc., z Danią (12,1 proc.) na czele. Sprzedaż aut na baterie jest napędzana subwencjami z publicznej kasy, więc skacze tam, gdzie są one największe, ale producenci narzekają, że przy tym tempie sprzedaży nie są w stanie spełniać unijnych norm. Zwłaszcza że rynek został zalany przez auta z Chin.

Pod koniec 2025 r. co czwarte auto produkowane w Europie było pojazdem elektrycznym lub hybrydą typu plug-in. To dużo, choć wciąż poniżej wymagań UE. W Polsce w grudniu 2025 r. było 121 606 elektrycznych aut osobowych i użytkowych, choć kiedyś obiecywano, że dojdziemy do miliona. To w większości auta firmowe, bo unijne regulacje wymuszają na większych firmach elektryfikację samochodowych flot. Sprzedaż jedzie na finansowym wspomaganiu z programu „NaszEauto". Budżet przeznaczony na dopłaty (1,6 mld zł) już się kończy, więc sprzedaż znowu zwolni.

Katastrofa czy dobry początek?

Lista postulatów przemysłu, który siadł do rozmów w Brukseli, była długa. Komisja Europejska zaakceptowała tylko nieliczne, w tym ocalenie silnika spalinowego. Dlatego wypracowany pakiet motoryzacyjny wywołał w branży mieszane reakcje. Koncern Renault przyjął go z zadowoleniem. Z kolei Hildegarda Müller, prezeska niemieckiego lobby motoryzacyjnego VDA, nazwała go katastrofalnym. Antonio Filosa, dyrektor generalny Stellantis (m.in. Peugeot, Citroën, Opel, Fiat, Jeep, Alfa Romeo, Maserati, Dodge, Chrysler, Ram, Lancia, DS Automobiles), ocenił: „Ten pakiet nie spełnia oczekiwań. Nie ma żadnych pilnych środków potrzebnych do przywrócenia wzrostu europejskiego sektora motoryzacyjnego".

Lęk budzą kolejne wymagania, których spełnienie nie jest zależne od przemysłu samochodowego. Dotyczy to „zielonej stali" produkowanej w UE. Chodzi tu o stal, do produkcji której wykorzystuje się złom, energię elektryczną (najlepiej ze źródeł odnawialnych) i wodór (także zielony) zamiast koksu. Produkcja tony stali tradycyjnymi metodami powoduje ok. 2 ton emisji CO_2, a zielonej tylko 0,25. – *Problem jest tylko taki, że produkcja zielonej stali w UE jest niewielka i jest ona niezwykle droga* – wyjaśnia prezes Faryś. A kto jest dziś największym producentem zielonej stali? Oczywiście Chiny.

Podobnie sprawa wygląda z zielonymi paliwami płynnymi, które mają być stosowane w silnikach spalinowych. O ile z biopaliwami jesteśmy już oswojeni, o tyle elektropaliwa są w powijakach. Chodzi tu o paliwo syntetyczne uzyskiwane za sprawą energii elektrycznej z wodoru i dwutlenku węgla wychwytywanego z atmosfery. I znów: niewielka produkcja, na razie eksperymentalna, niezwykle wysoka energochłonność procesu i wysoka cena.

Zielony bunt

Obrońcy klimatu i organizacje promujące czysty transport uważają, że Komisja Europejska dała się zmanipulować. „Kiedy Chiny zwiększają swoją przewagę, Unia odciąga inwestycje od elektryków poprzez przedłużenie sprzedaży aut spalinowych" – przekonuje wpływowa Europejska Federacja Transportu i Środowiska T&E. Holenderska organizacja pozarządowa, badająca korporacje międzynarodowe, SOMO uważa, że europejski przemysł motoryzacyjny, „zamiast przewodzić transformacji, wykorzystuje swoje wpływy, aby ją spowolnić i nadal czerpać zyski z silnika spalinowego".

Powrót silników spalinowych odczytywany jest jako wpływ ruchu *greenlash*, czyli „zielonego sprzeciwu" (od angielskich słów *green* – zielony i *backlash* – gwałtowny sprzeciw). UE ostatnio osłabiła różne elementy swojej polityki klimatycznej, wprowadzając pakiety zmian (Omnibus I i II oraz Clean Industrial Deal), nazywane Zielonym Ładem 2.0. Wycofano różne dość uciążliwe wymogi, by równoważyć klimatyczne ambicje ze zdolnością europejskiej gospodarki do rywalizacji na globalnym rynku. Rosnące koszty materiałów, energii i pracy, a także surowsze przepisy i ograniczenia emisji CO_2 bowiem sprawiają, że koszty w Europie są obecnie 35 proc. wyższe w porównaniu z innymi regionami. „Bezczynność grozi głębszą utratą miejsc pracy i dalszą erozją potencjału przemysłowego" – ostrzega Europejskie Stowarzyszenie Producentów Części Samochodowych.

Sprzeciw wobec Europejskiego Zielonego Ładu i działań na rzecz klimatu staje się widoczny w całej Europie, a Donald Trump, negacjonista klimatyczny, nadał mu skalę globalną. Greenlash zaczyna dominować w debacie publicznej i stał się paliwem dla partii populistycznych w wielu krajach UE. Przeciw Zielonemu Ładowi protestują rolnicy, pracownicy przemysłu, przybywa protestów przeciw energetyce odnawialnej. Dochodzi do ataków na farmy wiatrowe i słoneczne. We Francji, która zasłynęła ruchem żółtych kamizelek przeciwko podatkowi węglowemu doliczanemu do ceny benzyny, sprzeciw opinii publicznej ostatnio skłonił Zgromadzenie Narodowe do głosowania nad zniesieniem stref niskiej emisji w miastach.

Mimo rosnącej fali greenlash, Unia jednak nie rezygnuje z głównego celu Zielonego Ładu uchwalonego w 2019 r., czyli osiągnięcia neutralności emisyjnej do 2050 r. i stworzenia pierwszej na świecie gospodarki zdekarbonizowanej o obiegu zamkniętym. Bo jak śpiewał Wojciech Młynarski: nic, że droga wyboista, ważne, że kierunek słuszny!

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl f51a944834

Zapach Zachodu

Pół wieku temu, 6 lutego 1976 r., ekipa Edwarda Gierka wydała rozporządzenie umożliwiające powstawanie firm polonijnych. Partyjny beton uważał je za wrzód na zdrowym ciele socjalizmu. To tam wyrosły największe kariery polskiego biznesu.

JOANNA SOLSKA

Przedsiębiorstwo Polonijno-Zagraniczne Amepol produkowało wózki dziecięce, Dębe Wielkie, 1983 r.

© GRZEGORZ ROGIŃSKI/PAP

W połowie „złotej dekady" Gierka władza już wiedziała, że wielkie inwestycje, na które zaciągnięto ogromne pożyczki, nie spełnią pokładanych w nich nadziei. Po pierwszych latach względnej obfitości sklepowe półki zaczynały świecić pustkami. Sztandarowa Huta Katowice nie była w stanie produkować cienkiej blachy potrzebnej do wyrobu pralek i samochodów. Wielkim nowoczesnym fabrykom odzieży Jarlan w Jarosławcu i Cotex w Płocku, wyposażonym w maszyny sprowadzone za pożyczone pieniądze, brakowało bawełny, surowiec też był za dewizy, czyli waluty wymienialne. Na spłatę długów czy nawet odsetek już ich brakowało. Zrodził się pomysł, że socjalizm uratują Polonusi.

Chodziło bowiem o prawdziwe pieniądze, czyli o twardą walutę. Nie o te kilka miliardów dolarów, które – jak szacowano – trzymali Polacy w materacach, te miały być wydawane w sklepach Pewexu, czyli przedsiębiorstwa eksportu wewnętrznego, z którym firmy polonijne nie powinny konkurować. A obroty Pewexu rosły wraz z rozszerzaniem asortymentu, oprócz towarów konsumpcyjnych za dewizy można już było kupować nawet auta i mieszkania, bez czekania w wieloletniej kolejce w spółdzielni.

Firmy polonijne miały ściągnąć dewizy od zasobnych Polaków mieszkających na Zachodzie, zwłaszcza w USA. Nadzieje, że pomysł wypali, budziła zbiórka na odbudowę Zamku Królewskiego, na którą Polonia sypnęła pieniędzmi. Firmy polonijne wymyślono więc dla Polonusów, to oni mogli być ich właścicielami, jeśli zainwestują. Socjalistyczna władza pogodziła się nawet z faktem, że zechcą na tym zarobić. Na początku obowiązkowy wkład inwestycyjny wynosił 10 tys. dol., po kilku latach sumę podniesiono do 100 tys.

Pieniądze musiały pochodzić z Zachodu, należało je przesłać do kraju za pośrednictwem banku. To wtedy przedsiębiorczy Polacy przemycali dolary i marki z Polski na Zachód, a podstawione słupy (często mieszkająca na Zachodzie rodzina) przelewały je z powrotem do Polski już oficjalnie. Polonus nie musiał prowadzić interesu w Polsce, zarządzać firmą mógł za pośrednictwem miejscowego pełnomocnika. Zainwestowane pieniądze częściej naprawdę należały do pełnomocnika. Jednym z pierwszych polonijnych biznesów była firma Interkulpol, własność Henryka Kulczyka, obywatela niemieckiego. Prowadził ją jego syn Jan Kulczyk.

Nadzieje, jakie doradcy Gierka wiązali z wpuszczeniem odrobiny rynku do gospodarki niedoboru, były ogromne, porównywane z tymi, które wiązano z zachodnimi kredytami. Za trzyletnie wakacje podatkowe i możliwość ustalania cen na produkowane przez siebie towary firmy polonijne miały ich część eksportować na Zachód, a jedną trzecią osiąganych zysków inwestować w Polsce. Władzy marzyło się, że Polonusi sprowadzą z Zachodu maszyny i potrzebne surowce, a jeszcze sprzedadzą części dewiz państwu po kursie oficjalnym, czyli trzy razy taniej niż na czarnym rynku. Te nadzieje nigdy się nie spełniły.

Za Gierka Polonusi do interesów z Polską się nie rzucili. Mimo że biurokratyczne szlaki miał im przecierać powołany przez władzę InterPolcom, Polsko-Polonijna Izba Przemysłowo-Handlowa, do której przynależność była obowiązkowa. ▶

eprasa.pl f51a944834

▶ Jej działacze dbali też o przychylność władzy, nie wszyscy politycy byli obecnością Zagranicznych Podmiotów Drobnej Wytwórczości – bo taka była oficjalna nazwa – zachwyceni, mariaż kapitalizmu z socjalizmem im się nie podobał. Zrzeszeni w InterPolcomie, którego wkrótce społecznym prezesem został Jan Kulczyk, potrafili jednak zdobyć sympatię nawet twardogłowych towarzyszy. Wszyscy posiadali przecież samochody kupione na talony, ale np. akumulatorów na talony nie było. Sprowadził je InterPolcom.

Żeby ułatwić zachodnim biznesmenom start w starym kraju, sporządzono listę deficytowych towarów, których produkcja będzie się im najbardziej opłacać; na jej czele figurowały leki i artykuły dla dzieci. Wskazaniami listy nie przejął się Jerzy Starak, posiadacz włoskiego paszportu (dziś właściciel koncernu Polpharma, z majątkiem wycenianym na 5 mld dol.). Na pustych sklepowych półkach pojawił się ketchup, produkowany przez jego Comindex. Potem furorę zrobiły perfumy Currara. Polonusi starannie unikali wchodzenia w produkcję towarów strategicznych, wybierali artykuły w pewnym sensie luksusowe, bez których daje się żyć. Były drogie, ale Polacy nawet takiego luksusu okazali się spragnieni.

Jak woda szły zapachy do ciast, produkowane przez Inter Fragrances. Zastępowały pomarańcze i migdały niedostępne na rynku. Właścicielem firmy był Ignacy Soszyński, prawdziwy emigrant, który zdecydował się wrócić. Kiedy w Polsce zaczęło brakować mąki, Inter Fragrances rzucił na rynek zapach, którym rodacy zaprawiali bimber, żeby udawał whisky. To tu produkowano też przebojowe mydło zielone jabłuszko. Interkulpol eksportował do Austrii i Niemiec drewniane domki góralskie. Niskie ceny na drewno ustalało państwo, firma polonijna zarabiała dobrze.

Prawdziwy wysyp firm polonijnych zaczął się w stanie wojennym. Zachód nałożył na Polskę sankcje, rynek opustoszał, bo dolarowy wsad był potrzebny do wszystkiego. Wielu przedsiębiorczych Polaków, niekoniecznie Polonusów, uznało, że w Polsce można łatwo zarobić. Do starych nadziei władzy, że produkcja firm polonijnych zapełni sklepowe półki, doszły kolejne, polityczne: Polonusi mieli przełamać bojkot Zachodu.

Licząc na to, władze stanu wojennego obdarowały szefów firm polonijnych przywilejami, które kłuły Polaków w oczy już z daleka. Firmy polonijne miały na samochodach zielone tablice rejestracyjne. Nie o tablice jednak chodziło, ale o to, że podczas gdy zwykli Polacy mogli kupować niewielki miesięczny przydział benzyny na kartki, to auta firm polonijnych mogły tankować bez ograniczeń. Same auta też się różniły od maluchów i dużych Fiatów, były zachodnie. W socjalistycznej gospodarce nagle pojawiły się bogate kapitalistyczne enklawy. Szefowie firm polonijnych ostentacyjnie prezentowali swoje bogactwo, o ich zarobkach krążyły legendy. Nie były nieprawdziwe. Dwa, trzy razy więcej niż „na państwowym" zarabiali też zwykli pracownicy.

Największym przywilejem, jakim socjalistyczna władza obdarzyła kapitalistów w stanie wojennym, była… wolność. Polacy nie mieli wtedy szans na otrzymanie paszportu na wyjazd na Zachód, a szefowie firm polonijnych trzymali paszporty w szufladzie. Nie musieli o nie prosić ani ich oddawać, mogli wyjeżdżać, kiedy chcieli. Przeciwna firmom była więc także opozycja. Już wtedy zbratanie kapitalizmu z socjalistyczną władzą wydawało się podejrzane. Nie lubili ich rzemieślnicy, którym nie wolno było zatrudniać więcej niż 10 osób, a o zarabianiu dewiz nie mogli nawet marzyć.

Szerokim echem odbił się artykuł wydrukowany w POLITYCE w 1983 r., którego autorem był Jean Zarzecki, ówczesny wiceprezes InterPolcomu. Bronił firm polonijnych atakowanych nie tylko przez partyjny beton, ale jednocześnie przyznawał: „Produkcja tych przedsiębiorstw w większości przypadków zwróciła się w stronę łatwizny, niewymagającej większych nakładów inwestycyjnych i technologii. Wygłodzony rynek wewnętrzny w Polsce, który chłonie wszystko, daje ludziom rzutkim i z inicjatywą niebywałe pole do działania, otwiera łatwe możliwości dużych zarobków, w sytuacji, w której ceny wyrobów mają znaczenie względne wobec ogromnej presji popytu. Dzięki temu więc, albo raczej wskutek tego, wiele przedsiębiorstw czerpało nadmierne zyski z tego rynkowego Eldorado, były one w rażącej czasami dysproporcji w stosunku do zainwestowanych kapitałów. (...) Na Zachodzie w warunkach gospodarki liberalnej przedsiębiorca, który zarabia 25 do 30 proc. rocznie w stosunku do zainwestowanego kapitału, ma wszelkie powody do zadowolenia. Jeśli zdarzy mu się zarobić 50 proc., to uważa, że ma kopalnię złota. Jeśli trafi mu się 100 proc. zarobku, to Bogu dziękuje za ten cud. Ale takie cuda zdarzają się tylko raz. A w Polsce? W Polsce takie cuda są na porządku dziennym, mówię o wielu firmach polonijnych".

Wiceprezes Izby uważał, że firmy polonijne nadmiernymi zyskami rekompensują sobie ryzyko prawne, przepisy były niejednoznaczne, ich interpretacja zależała od urzędnika. Zezwolenie na prowadzenie firmy polonijnej wydawały lokalne władze, co stwarzało pole do korupcji. Niektórzy wojewodowie zabraniali zatrudniać w firmach polonijnych osoby przed 45. rokiem życia. Uważano, że uciekają tam najzdolniejsi, że te firmy dokonują „drenażu mózgów".

Gotowość do przerzucania kładki na Zachód wyraził Edward Piszek, góral spod Wadowic, uznawany u nas za najbogatszego Polonusa w USA. Po tej kładce udała się do Nowego Jorku delegacja InterPolcomu, przyjęta nawet przez burmistrza miasta. Piszek przedstawił listę artykułów, na których produkcji najwięcej można w Polsce zarobić, na głównej pozycji ciągle znajdowały się leki, nowością była pasza dla kurczaków. Z powodu amerykańskiego bojkotu nie mogliśmy kupować tamtejszej kukurydzy. Jedynym efektem kontaktów amerykańskiego biznesmena z Polską okazało się jednak jego małżeństwo z Violettą Villas – nieudane.

Czasem władza organizowała pokazówki. Bojkot Reagana przełamał Kazimierz Pazgan z Nowego Sącza, właściciel Konspolu, który wyprodukował w kraju paszę dla kurczaków. Zamiast orderu doczekał się aresztowania. Jego błąd polegał na tym, że swoją paszę przekazywał państwowym fermom drobiu, a potem odbierał od nich brojlery i przerabiał je na wędliny. Firmy polonijne nie miały jednak prawa kupować surowców od przedsiębiorstw państwowych. Cierpliwość socjalistycznej władzy skończyła się, gdy Pazgan w państwowej krakowskiej hucie kupił puszki i na rynek rzucał konserwy mięsne z drobiu. Sprawa Pazgana trzy razy stawała jako problem „na biurze politycznym" KC PZPR – żalił się po latach POLITYCE. Kosztowała go dwa zawały.

Jan Załuska, Polonus z Austrii, produkował prawdziwą czekoladę Carpatię. Polacy już zapomnieli jej smak, z braku dewiz na kakao w sklepach, i to rzadko,

eprasa.pl f51a944834

Członkowie Polskiej Rady Biznesu, od lewej: **Jan Kulczyk, Jan Wejchert, Witold Zaraska i Jerzy Starak z prezydentem Lechem Wałęsą w Belwederze, 1993 r.** Obok: **Kazimierz Pazgan z Nowego Sącza, właściciel Konspolu.** Poniżej: **Mariusz Walter, wspólnik Jana Wejcherta, lata 90.**

pojawiały się tylko tzw. wyroby czekoladopodobne. Załuska sprowadzał kakao, ale cukier w czekoladzie był polski, bo udało mu się wcisnąć do rozdzielnika. Za ten cukier też wylądował w więzieniu, a firma nie przetrwała. Z kolei Ignacy Soszyński zanadto zbliżył się do państwowej fabryki perfum Miraculum. Też miała przestoje z braku surowców. Polonus namówił ją na kooperację, z powierzonych materiałów produkowała dla Inter Fragrances perfumy. Skończyło się aresztem.

Mariusz Walter, wspólnik Jana Wejcherta, twórca legendarnego Studia 2, wyrzucony z TVP w stanie wojennym, prowadził Konsuprod. Obaj wymyślili, że skoro Polska jest ziemniaczaną potęgą i ten towar nie jest reglamentowany, zaczną robić chipsy. Kiedy okazało się, że potrzebny jest specjalny gatunek ziemniaków, którego rolnicy nie uprawiają, Walter ruszył do nich z propozycją kontraktacji. Minął rok, zanim udało mu się niektórych przekonać, bo „panie, kartofel to kartofel" – wspominał Mariusz Walter w książce „Miłość i telewizja", przygotowanej do druku przez Zofię Turowską. Chipsy okazały się przebojem, po kilku latach ich produkcję wykupiła od Konsuprodu firma niemiecka. Przedsiębiorstwo Wejcherta i Waltera, zanim na serio zaangażowało się w budowę ITI, późniejszego właściciela telewizji TVN, zajmowało się wszystkim, nawet produkcją sztucznych futer. Po futra – raczej średniej jakości – ustawiały się kolejki.

Firmy polonijne nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Ich właściciele nie sprowadzili do Polski nowych technologii, na które tak liczyła władza. Zachowywali się raczej tak jak Sobiesław Zasada, wtedy znany rajdowiec, który przeczytał w niemieckiej gazecie, że splajtowała fabryka zamków błyskawicznych. Założył firmę polonijną Alfa, kupił od syndyka stare maszyny, zainstalował w Bielsku-Białej i w ten sposób nareszcie rozwiązał w kraju problem braku zamków błyskawicznych.

Dzięki Polonusom pojawiły się wprawdzie w sklepach kolorowe produkty, ale skala tej produkcji nie sięgnęła nawet 1 proc. Pod koniec lat 80. firmy polonijne zatrudniały zaledwie 120 tys. osób. Ale pierwszą reklamą telewizyjną, jaką Polacy obejrzeli w TVP, była „La cucaracha". Po ekranie w rytm popularnej melodii biegały prusaki, z powodu zsypów obecne wtedy w każdym polskim bloku, a film zachwalał likwidujący je środek Prusakolep. Reklamę wykupił Anatoly Dunayev, amerykański właściciel firmy polonijnej Grand-Pol. Dunayev w rozmowie z POLITYKĄ nie mógł się nadziwić, że w najdroższym czasie reklamowym, przed ówczesnym „Dziennikiem Telewizyjnym", zamiast reklam pojawia się zegar, który odlicza czas do rozpoczęcia programu.

W publikacji „Wyłom w systemie? Firmy polonijne w PRL" (pod redakcją Jerzego Kochanowskiego i Larsa Fredrika Stockera) autorzy twierdzą, że „biznes polonijny stanowił lukratywną furtkę dla partyjnej nomenklatury, najwyższych szczebli administracji państwowej, oficerów wojska, a nawet funkcjonariuszy wywiadu". Podczas gdy jedna partyjna frakcja krytykowała te firmy jako wrzód na zdrowym ciele socjalizmu, wielu innych wysokich funkcjonariuszy partii i państwa stawało się ich cichymi wspólnikami. Gromadzili kapitał na przyszłość. Problem firm polonijnych rozwiązał się wraz z wprowadzeniem w życie planu Balcerowicza, który skasował ich przywileje i wprowadził wymienialność złotego. Ale to w tej enklawie rodził się polski kapitalizm i pierwsi kapitaliści.

JOANNA SOLSKA

© JANUSZ MAZUR/PAP, MARIUSZ MAKOWSKI/FORUM, SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl f51a944834

Kuba przechodzi najgorszy kryzys od czasu rewolucji sprzed 67 lat. Czy tak jak Wenezuela stanie się wkrótce amerykańskim protektoratem?

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Huragan nad Hawaną

Przerwy w dostawach prądu Kubańczycy znają od dobrych kilku lat – a okresowo zdarzały się już dawniej. Niedobory paliwa w obecnej skali to nowość, choć i one mają już kilka lat. Po przejęciu przez Biały Dom kontroli nad Wenezuelą – sojuszniczką, która dostarczała Kubie ropę m.in. w zamian za usługi kubańskich lekarzy – kawał życia społecznego i gospodarczego wyspy został sparaliżowany. Trump rozkazał: żadnej ropy dla Kuby, od zaraz! Brakuje żywności i lekarstw.

Najnowsze nieszczęście to epidemia arbowirusów – tych przenoszonych przez komary, meszki, kleszcze. Zaczyna się od wysokiej gorączki, potem są wymioty, biegunka, bóle głowy. Zakażeni budzą się pewnego ranka ze spuchniętymi dłońmi i kolanami. Dokuczają im bóle stawów, niektórzy ledwo chodzą. Wirusy dengi, chikungunya, oropouche, grypy, Covid-19 i innych atakujących układ oddechowy zjednoczyły się i uderzyły jednocześnie. Mówimy prawdopodobnie o setkach tysięcy chorujących. Według oficjalnych komunikatów zmarło kilkadziesiąt osób, a przypuszcza się, że dużo więcej.

Władze początkowo głosiły, że to choroby typowe w tropikach, które Kubańczycy znają. Przyczyny tej konkretnie epidemii – którą rząd w końcu uznał – są specyficzne dla momentu w najnowszej historii Kuby. Wylęgarnią moskitów są wysypiska śmieci, niepoddawane dezynsekcji z powodu braku niezbędnego do jej przeprowadzania paliwa. Ale nie tylko paliwa – skoro brakuje niemal wszystkiego, to jakim cudem miałoby nie brakować środków owadobójczych? Sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Pozycje na listach niedoborów uderzają najbardziej w chorych. Brakuje odczynników, brakuje lekarzy – a to profesja, którą porewolucyjna Kuba szczyciła się od dziesięcioleci. Lekarzy „eksportowano" do krajów globalnego Południa i bywało, że zajmowali pierwsze miejsce w rankingu źródeł dewiz, jakie otrzymywała wyspa. W ostatnich latach wypowiedzenia złożyło tysiące pracowników służby zdrowia, duża część z nich – dzięki poluzowaniu reżimu podróżowania – wyjechała z kraju.

Jak stanąć na nogi po chorobie, skoro rekonwalescencja wymaga szczególnej diety, a na rynku żywności są potężne niedobory? Reporterzy z Hiszpanii, która utrzymuje na wyspie korespondentów, dotarli do raportu instytutu chorób zakaźnych: wynika z niego, że np. chikungunya wyczerpuje zapasy żelaza i osłabia układ odpornościowy. Żeby odbudować organizm, do codziennej diety należy włączyć m.in. jogurty, łososia lub tuńczyka, orzechy,

eprasa.pl f51a944834

© DESMOND BOYLAN/REUTERS/FORUM

warzywa. Skąd je wziąć? Kubańczycy jedzą głównie mielone mięso, kurczaki importowane z Kanady, ryż, rzadko coś innego.

Epidemia skupia jak w soczewce społeczną i gospodarczą katastrofę. W ostatnich paru latach gospodarka kurczyła się o 1–2 proc. rocznie. Z powodu niedoborów turyści mniej chętnie przyjeżdżają, by zażywać słońca, kąpieli i widoków, a branża turystyczna to motor kubańskiej gospodarki. Ta z kolei zależy od importu, a skoro brakuje dewiz, nie ma za co importować. Rodzima produkcja idąca na eksport – cukier trzcinowy, cygara, rum, owoce morza – jest więcej niż skromna jak na dewizowe potrzeby. Z samego niklu, którego złoża Kuba ma znaczne (w pierwszej dziesiątce na świecie), i paru innych metali kraj nie wyżyje (nikiel kupują Chiny, Kanada, Japonia, Holandia...). W ostatnich latach z powodu zapaści na wyspie i braku perspektyw wyjechało między 1,5 a 1,8 mln Kubańczyków.

Odcięcie przez Biały Dom dostaw wenezuelskiej ropy pociągnęło Kubę jeszcze bardziej w dół, choć wydawało się, że niżej już się nie da. Brak paliwa zakłócił dostawy wody – pompy wodne wymagają energii elektrycznej. „New York Times" opisuje historię emerytowanego nauczyciela, który obecnie pracuje jako ochroniarz i musiał zapisać się na listę klientów stacji benzynowej. Spodziewa się, że zatankuje za dwa miesiące. Nie może tyle czekać, bo jego żona choruje na raka i musi w potrzebie zawieźć ją do szpitala. Powiedział dziennikarzowi, że być może sprzeda telewizor i telefon komórkowy, by kupić benzynę w droższej stacji, gdzie kolejki są krótsze.

W takim kryzysie działania ratunkowe podjął rząd Meksyku – i zaczął dostarczać Kubie ropę. Tyle że pod presją Waszyngtonu dostawy ograniczono. Jest oczywiste, że sankcje nie uderzają w dyktaturę, lecz zwykłych ludzi. (Rząd się wyżywi – jak mówił przed laty rzecznik innego zamordyzmu w odległej części świata). Amerykańska blokada wyspy, trwająca od 1959 r., nie doprowadziła do upadku rządu w Hawanie – nawet gdy upadł ZSRR wspierający gospodarkę Kuby przez trzy dekady. Czy jest całkiem nieprawdopodobne, by i od obecnego dna reżim – w sprzyjających jej okolicznościach – mógł się odbić?

Już po wzięciu pod but Wenezueli Trump mówił, że panujący na wyspie „system nie jest dobry dla Kuby" i że „to jest upadłe państwo". Próbował postraszyć rząd w Hawanie: „Sugeruję, byście doszli do porozumienia, zanim będzie za późno". Porozumienia z kim? Z opozycją? Z kubańską diasporą w USA? Kogo Trump miał na myśli? Może siebie – to najbardziej prawdopodobne. Tyle że przywódca Kuby Miguel Díaz-Canel twierdzi, że jego rząd nie prowadzi żadnych rozmów z Waszyngtonem, „z wyjątkiem kontaktów technicznych dotyczących migracji".

Amerykańska prasa przypomina, że ze wszystkich amerykańskich prezydentów Trump deportował najwięcej Kubańczyków i zagroził statusowi imigracyjnemu tej – uprzywilejowanej z historycznych powodów – mniejszości. To tym bardziej dziwne, że o poparcie kubańskiej diaspory zabiegali wszyscy kandydaci do Białego Domu, łącznie z Trumpem. On jednak, w pierwszym roku obecnej kadencji, zlikwidował programy wizowe i uchodźcze, które umożliwiały łączenie kubańskich rodzin. Kubańczyków na wyspie przydusił ograniczeniem przekazów pieniężnych od rodzin mieszkających w USA. Wreszcie pierwszego dnia drugiej prezydentury cofnął decyzje poprzednika Joe Bidena i ponownie wpisał Kubę na listę państw sponsorujących terroryzm. Wrócił klimat zimnej wojny we wzajemnych relacjach, a i starszych niż zimna wojna prób podporządkowania wyspy supermocarstwu.

W czasie walk Kubańczyków o niepodległość (od Hiszpanii) w 1898 r. Amerykanie wmieszali się, uzasadniając akces do wojny losem podbitych sąsiadów. Chodziło o dominację na zachodniej półkuli i wypchnięcie z niej ojczyzny konkwistadorów. Gdy Waszyngton zawierał z Madrytem pokój, do stołu negocjacyjnego nie zaproszono Kubańczyków. Potem było tylko gorzej – dla mieszkańców wyspy, rzecz jasna.

W 1959 r., w którym Fidel Castro i jego partyzanci obalili dyktaturę Fulgencia Batisty, Amerykanie dominowali w każdym lukratywnym sektorze gospodarki Kuby. Ich firmy zarabiały na dostarczaniu prądu, połączeń telefonicznych i na hotelarstwie. „Za każdym dzwonkiem telefonu, za każdym błyskiem neonu jakaś cząstka dolara opuszcza wyspę" – pisał w głośnej książce „Huragan nad cukrem" Jean-Paul Sartre. W ludowym buncie przeciw amerykańskiej hegemonii i posłusznemu Stanom dyktatorowi istotny był element urażonej dumy. Odzieranie Kubańczyków z zysków i traktowanie wyspy jako domu publicznego nie jest jedynie grepsem z hollywoodzkich filmów o mafii.

Wywłaszczenia amerykańskich firm po rewolucji doprowadziły do wstrzymania przez Stany importu cukru, z którego żyła wyspa. To był swoisty *casus belli*. Propaganda w Stanach uzasadniała ten ruch m.in. „komunistycznym zagrożeniem". Tyle że wtedy rewolucja kubańska i sam Fidel Castro zachowywali wobec komunizmu i ZSRR daleko idący dystans, o czym donosili przełożonym... agenci CIA. Fidel był „burżuazyjnym politykiem", komuniści nie darzyli go zaufaniem. To Biały Dom, a potem zbrojna – i nieudana – inwazja kubańskich emigrantów w Zatoce Świń w 1961 r. pchnęły Kubę w ramiona ZSRR i realnego socjalizmu. (Tak uważali nie tylko przyjaciele rewolucji – pisze o tym we wspomnieniach były ambasador USA w Hawanie Philip Bonsal). Brodacze z Hawany, jak ich nazywano, doszli do przekonania, że bez potężnego protektora nie przetrwają u władzy w kraju położonym 90 mil od Florydy.

Relacje kubańsko-amerykańskie przez dekady otaczała pełna politycznych znaczeń symbolika. Kuba, obok wielu wyzwalających się krajów Afryki i Wietnamu, ▶

eprasa.pl f51a944834

▶ symbolizowała zrywanie (neo)kolonialnych kajdan. Romantyczna aura otaczająca Fidela Castro i Che Guevarę, może też atrakcyjność latynoskiej kultury (zaczynał się boom literatury z regionu) sprawiły, że to Kuba – nieproporcjonalnie do swych rozmiarów i gospodarczego znaczenia – skradła uwagę świata. Stała się symbolicznym centrum ruchów wyzwoleńczych epoki.

Tej wagi przydał wyspie kryzys rakietowy z 1962 r. Gdy Moskwa próbowała zainstalować na Kubie wyrzutnie zdolne do przenoszenia pocisków nuklearnych, omal nie doszło do trzeciej wojny światowej. Castro był wściekły, że Nikita Chruszczow, ówczesny przywódca ZSRR, uległ prezydentowi Kennedy'emu. Później, gdy Moskwa dogadała się z Waszyngtonem, że będzie „pokojowe współistnienie", Fidel sabotował te układy. Wbrew ZSRR wzywał do rozłamów w partiach komunistycznych regionu, zachęcał do tworzenia oddziałów partyzanckich – takich, jakie kiedyś tworzył na Kubie.

Istnienie rewolucyjnego rządu tuż pod nosem, „na własnym podwórku", było dla Stanów prestiżową porażką. Hasło „Nie pozwolimy na drugą Kubę!" stało się uzasadnieniem dla uwikłań Waszyngtonu w zwalczanie wszelkich postępowych ruchów w Ameryce Łacińskiej. Były zabójstwa niewygodnych działaczy, krwawe zamachy stanu, terror dyktatur. CIA próbowała wielokrotnie zgładzić Castro, ale stary brodacz przetrwał 11 amerykańskich prezydentów (zmarł tuż po pierwszym wyborze Trumpa w 2016 r.). Amerykańska blokada gospodarcza wyspy przez ponad sześć dekad nie przyniosła zakładanego celu – upadku kubańskiej „komuny".

Wielu znawców uważa, że reżim braci Castro (po Fidelu rząd objął Raul), a także ich obecnego następcy – Miguela Diaza-Canela – nie przetrwałby tak długo, gdyby Stany zdecydowały się na normalne relacje handlowe z wyspą. (Dlaczego tego nie zrobiły, to głównie sprawa kubańskiej diaspory). Jedynym, który postawił na odwilż w relacjach z Hawaną, był Barack Obama. Na Szczycie Ameryk w 2015 r. uścisnął dłoń Raula Castro, a potem odwiedził Kubę.

Na wyspę wróciła nadzieja – Kubańczycy liczyli na trwałą poprawę warunków życia i polityczne poluzowanie. Nadzieję jednak szybko pogrzebał Trump. Do zimnowojennych standardów wróciła też władza w Hawanie, jakby USA i Kuba były naczyniami połączonymi. Gdy w 2021 r. sfrustrowani obywatele wyszli na ulice, ich protesty zostały stłumione, a setki protestujących otrzymały drakońskie wyroki. Według madryckiej organizacji Prisoners Defenders politycznych więźniów jest dziś na wyspie ok. 1,2 tys.

Z epopeją amerykańsko-kubańską spleciona jest inna: kubańskiej diaspory w USA. Tuż po rewolucji tworzyli ją zazwyczaj ludzie, którzy potracili majątki, stanowiska, przywileje. Nierzadko zamożni, co najmniej średniacy, najczęściej biali i wykształceni, różnili się od Latynosów z innych krajów – Meksyku, Kolumbii, Salwadoru, którzy przyjeżdżali do USA sprzątać, smażyć *tacos* lub *arepas*, opiekować się dziećmi i ogrodami amerykańskiej *middle class*. Gdy inwazja w Zatoce Świń zakończyła się klęską, przysyłali na Kubę zamachowców, którzy podkładali bomby w miejscach publicznych. Część z nich zasiliła antycastrowską partyzantkę w górach Escambray, która prowadziła działania zbrojne do 1965 r. Akty terroru na wyspie zdarzały się do późnych lat 90., kiedy antycastrowscy „wyklęci" dokonali w 1997 r. zamachów bombowych w popularnych hotelach w Hawanie. Przez lata zabijali kubańskich dyplomatów i pracowników ambasad; podkładali bomby w różnych kubańskich placówkach. Najgłośniejszą akcją „wyklętych" z diaspory było wysadzenie w 1976 r. samolotu kubańskich linii lecącego z Barbadosu na Jamajkę – zginęły 73 osoby.

Kubańczycy napływali do Stanów falami. Dwie największe fale przyszły w 1980 r. i dekadę później, po upadku ZSRR. Ponad 30 tys. ludzi wyruszyło wtedy w morską podróż na tratwach, niekiedy oponach. Szacuje się, że co czwartego pochłonęło morze.

Porewolucyjni imigranci szybko wypracowywali sobie pozycję ekonomiczną, głównie na Florydzie. Polityczną – na dobre w latach 80., wpisując się w antykomunistyczną krucjatę Ronalda Reagana. W diasporze od zawsze dominowały „jastrzębie", a ich liderem był przez lata biznesmen Jorge Mas Canosa. Politycy, którzy chcieliby wtedy stawiać na „odwilż" w relacjach z Hawaną, np. zniesienie embarga, byliby w diasporze skończeni. Ta miała pieniądze, koneksje, siłę symboliczną. Liczyła się w rywalizacji o mandaty w Kongresie; mogła dodać lub ująć głosów aspirantom do prezydentury. Z ducha diaspory wywodzi się obecny sekretarz stanu Marco Rubio. To główny rozgrywający spraw Ameryki Łacińskiej u boku Trumpa; współautor i polityczny wykonawca obecnej interwencji USA w Wenezueli.

Marzeniem Rubio, wychowanego w antykomunistycznej diasporze, jest – według pogłoski, która funkcjonuje jako pewnik – doprowadzenie do upadku reżimu w Hawanie (dla Trumpa to jeszcze jeden *deal* i sposób na pozbycie się części imigrantów z Kuby). „Gdybym był w [obecnym] rządzie w Hawanie, byłbym niespokojny", mówił Rubio po akcji sił specjalnych USA w Wenezueli. Związki między Wenezuelą a Kubą, których dzisiejszym symbolem jest 32 Kubańczyków z ochrony Maduro, zabitych w amerykańskim ataku z 3 stycznia, mogą sugerować, że historia się powtórzy. To niebezpieczna pokusa.

Podobieństwa między Kubą i Wenezuelą są pozorne. W Wenezueli mimo autorytarnych rządów istnieje opozycja; do 2024 r. odbywały się wybory, których nie fałszowano – chaviści wygrywali naprawdę. Kuba to jednopartyjna dyktatura konsolidująca się od ponad sześciu dekad. To oczywiste, że Amerykanie byliby w stanie zmiażdżyć militarnie reżim na Kubie, ale za jaką cenę? Jak wiele będą chcieli zaryzykować Trump i Rubio?

Z przecieków, jakie docierają do amerykańskich dziennikarzy, wynika, że Biały Dom wciąż nie ma planu na Hawanę. Podobno Trump chciałby doprowadzić do upadku reżimu do końca 2026 r. Amerykańska administracja – też podobno – szuka insiderów wewnątrz reżimu, którzy pomogliby „wykonać zadanie". Ricardo Zuniga, który za Obamy zajmował się Kubą, twierdzi, że trudno będzie znaleźć takich ludzi. „Ci goście to dużo twardszy orzech do zgryzienia [niż Maduro i jego ekipa]". Gdyby było inaczej, czy przetrwaliby tyle lat u władzy, mając wrogie supermocarstwo za plecami?

Gdyby jednak obecna administracja doprowadziła do upadku reżimu w Hawanie, Marco Rubio zyskałby trampolinę do prezydentury (był już kandydatem na kandydata Partii Republikańskiej). Kubański Amerykanin w Białym Domu? Miłosno-nienawistny splot obu krajów wciąż wydaje się nierozerwalny.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

eprasa.pl f51a944834

Wizualizacja Nowej Gazy według Trumpa

Riwiera Gaza

Donald Trump wraca do swojej idei budowy na gruzach Gazy Riwiery Bliskiego Wschodu. Dla Palestyńczyków mogłoby zabraknąć tu miejsca.

AGNIESZKA ZAGNER Z JEROZOLIMY

Kiedy Donald Trump zapowiadał w Davos, że Strefa Gazy będzie „pięknie odbudowana", a Jared Kushner prezentował kolorowe slajdy, jak ta futurystyczna Nowa Gaza ma wyglądać – z nowymi miastami, portem, lotniskiem, kompleksami technologicznymi, zielonymi parkami, polami uprawnymi i 180 drapaczami chmur, Amjad Shawa, dyrektor palestyńskiej sieci organizacji pozarządowych, wyglądał przez okno swojego częściowo zniszczonego domu w mieście Gaza: – *Widzę głównie ruiny i tysiące namiotów, ok. 90 proc. zabudowy miasta jest zniszczone.*

To wprost przekłada się na ogromny kryzys mieszkaniowy – aż 1,5 mln z ponad 2 mln mieszkańców Gazy w czasie wojny całkowicie straciło swoje domy, aż 900 tys. z nich mieszka obecnie w namiotach lub konstrukcjach namiotopodobnych, co przy niskich zimowych temperaturach, przeraźliwie zimnym wietrze i obfitych deszczach oznacza dodatkowe dramaty. Z powodu zimna miało umrzeć już dziewięć osób, w tym pięcioro dzieci, dodatkowo kilkadziesiąt pod gruzami zawalonych budynków, podmywanych wodą i smaganych silnym wiatrem.

Mimo trwającej od ponad stu dni pierwszej fazy zawieszenia broni zginęło co najmniej 477 osób, ponad tysiąc zostało rannych, a tylko w zeszłym tygodniu jednego dnia z rąk izraelskich żołnierzy zginęło 11 osób, w tym dwoje dzieci. Sporo, jak na względny spokój.

Ale perspektywa izraelska jest inna, choć odnosi się dokładnie do tego samego tygodnia: – *Były próby odpalenia rakiet w naszym kierunku, a jednego dnia z tunelu w okolicy Rafah po naszej stronie Żółtej Linii wyszło sześciu terrorystów, którzy zaatakowali naszych żołnierzy i zostali wyeliminowani* – wyjaśnia jedna z rzeczniczek Izraelskich Sił Obronnych (IDF). Od wejścia w życie zawieszenia broni w Gazie zginęło trzech izraelskich żołnierzy, a w ciągu całej wojny 900 (przy ponad 71 tys. zabitych Palestyńczyków).

Dwie Gazy

Te dwie perspektywy, izraelską i palestyńską, fizycznie rozdziela wspomniana Żółta Linia, wyznaczona październikowym planem Donalda Trumpa. To wielkie, wysokie na 3,5 m betonowe żółte bloki, zwieńczone metalowymi zakończeniami, rozstawione w odległości 80 m od siebie. Na zachód od Żółtej Linii, wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego, ścieśniona została niemalże cała tutejsza ludność na ok. 47 proc. przedwojennego terytorium Gazy. Pozostałą, wschodnią stronę kontroluje izraelskie wojsko, w tym obrócone w ruiny miasto Rafah. Po izraelskiej stronie zostało kilka tysięcy rodzin, ale większość zdecydowała się przejść na tereny kontrolowane wciąż przez Hamas.

Od ponad trzech miesięcy utarło się mówić o dwóch Gazach – starej i nowej. Kilka tygodni temu gen. Eyal Zamir, szef sztabu izraelskiej armii, stwierdził wręcz, że Żółta Linia jest „nową granicą Izraela". Na razie nic nie wskazuje, by granica ta miała się przesunąć, chociaż tak naprawdę przejście do drugiej fazy porozumienia oznaczać powinno wycofanie się IDF na linie bliższe przedwojennej granicy z Gazą. Ale do tego daleka droga.

Co więcej, pojawiają się dowody na to, że Izrael w wielu miejscach przesunął Żółtą Linię na zachód, czasem nawet o ok. 300 m w głąb palestyńskiego terytorium – wyniki śledztwa udokumentowanego zdjęciami satelitarnymi opublikował niedawno serwis BBC Verify. IDF temu zaprzecza, twierdząc jedynie, że czasem wytyczenie linii według wyrysowanej mapy było niemożliwe.

W Nowej Gazie izraelscy żołnierze zajmują się głównie niszczeniem infrastruktury Hamasu, a dokładnie znajdujących się tu tuneli, co oznacza wysadzanie w powietrze wszystkiego, co znajduje się ▶

© PLATFORMA X

eprasa.pl f51a944834

▶ nad nimi – w ten sposób nie zostanie tu wkrótce kamień na kamieniu. Trzy miesiące temu minister obrony Israel Katz przyznał, że ponad 60 proc. tuneli w całej Gazie wciąż nie zostało zniszczonych – jeśli Izrael chciałby zrealizować swój plan, mogłoby to oznaczać kompletną destrukcję całej Gazy, pod którą Hamas przez lata wybudował tzw. metro – setki kilometrów tuneli o różnej szerokości i przeznaczeniu. Może taki jest zresztą docelowy plan samego Trumpa? Nie wiadomo też, co miałoby się stać z Palestyńczykami – nawet jeśli w marzeniach Trumpa mieliby zostać wysiedleni z Gazy, wciąż nierozwiązana jest kwestia tego dokąd.

Na razie mieszkańcy Starej Gazy mówią, że ich życie stało się piekłem – ogromna większość z nich musiała opuścić swoje domy, często kilkakrotnie. Od ponad dwóch lat dzieci nie chodziły do szkoły: – *Próbowaliśmy organizować jakieś prowizoryczne nauczanie w namiotach, ale Izrael zablokował dostawy sprzętu biurowego, kredek, ołówków, drukarek* – dodaje Amjad Shawa. – *Izrael blokuje też dostawy potrzebnych zwłaszcza zimą namiotów i innego sprzętu mogącego służyć jako schronienie.*

Oddzielnym problemem jest system sanitarny znajdujący się w katastrofalnym stanie, do jego naprawy potrzeba głównie rur, a te znajdują się na wskazanych przez Izrael listach towarów objętych ograniczeniami wwozu do Gazy (mogą posłużyć do produkcji prymitywnych, ale niebezpiecznych rakiet). Na szczęście udało się wyeliminować problem głodu – izraelska armia szacuje, że dostarczana żywność zapewnia każdemu mieszkańcowi ok. 3 tys. kalorii dziennie.

Największym problemem jest jednak kryzys mieszkaniowy i perspektywy na przyszłość. – *Ludzie chcą w końcu zacząć normalnie żyć, a nie tylko wegetować. Pokładamy wielkie nadzieje w przejściu do drugiej fazy porozumienia, bo to oznacza odbudowę Gazy i być może ratunek dla 18 tys. pacjentów czekających na pilną ewakuację medyczną, z których zmarło już ponad 1,1 tys. osób* – dodaje Shawa. To zaledwie wierzchołek góry lodowej problemów zdrowotnych Palestyńczyków w Gazie – działa tu niespełna 40 proc. przychodni i szpitali, wiele, jeśli nie większość, w ograniczonym stopniu, leczenie dla pacjentów cierpiących na choroby przewlekłe, jak nowotwory, czy potrzebujących zwykłych dializ jest praktycznie niedostępne.

W dalekosiężnych planach administracja Trumpa o przyszłości ludności cywilnej nie wspomina, a Palestyńczyków nawet nie zaproszono do tworzonej właśnie Rady Pokoju. Wprawdzie są plany zbudowania Nowego Rafah na gruzach starego, gdzie docelowo miałoby powstać 100 tys. mieszkań, 200 szkół i 75 placówek medycznych, a w ciągu dwóch–trzech lat konstrukcja kilku miast o podobnej wielkości, ale nie wiadomo, ile te ambitne plany miałyby kosztować, a także kto miałby za to zapłacić. I gdzie mieliby się podziać Palestyńczycy na czas wielkiej budowy. Eksperci szacują, że samo usunięcie 61 mln ton gruzów zajmie nawet siedem lat, a odbudowa mogłaby kosztować co najmniej 70 mld dol. Niewykluczone, że to po prostu kolejny (pato)deweloperski pomysł Trumpa – nie bez powodu wysokościowce z widokiem na morze miałyby powstać wzdłuż niemal całego wybrzeża.

W mieście Gaza ok. 90 proc. zabudowy jest zniszczone.

Dwie fazy

Yohanan Tzoreff, były tłumacz premiera Icchaka Rabina podczas jego spotkań z Jaserem Arafatem, a obecnie ekspert ds. palestyńskich w izraelskim Instytucie Studiów nad Bezpieczeństwem Narodowym (INSS), przyznaje, że dziś największą obawą Palestyńczyków jest to, że komercyjny projekt Trumpa kompletnie przysłoni to, co w zasadzie im obiecał, czyli „ścieżkę do palestyńskiego państwa". – *To uzasadnione obawy, że Trump skupi się na eksploatacji złoża gazowego u wybrzeży Gazy i wznoszeniu nowych miast, czyniąc z Gazy drugą Wenezuelę, a aspiracje Palestyńczyków zostaną odsunięte na dalszy plan* – mówi Tzoreff. – *Dla Trumpa jednak liczy się ogólne wrażenie odniesionego sukcesu, zakończenia kolejnej wojny, bez wnikania w zawiłe szczegóły, do których nie ma głowy.*

A to właśnie o te „szczegóły" mogą się rozbić wszystkie ambitne plany zamiany ruin Gazy w kwitnące miasta przyszłości. Do zawarcia październikowego porozumienia o zawieszeniu broni z Hamasem premier Beniamin Netanjahu został przez Trumpa zmuszony. Pierwsza faza zakładała przede wszystkim zaprzestanie walk (obie strony wciąż oskarżają się o naruszenie rozejmu) oraz uwolnienie przez Hamas wszystkich pozostałych żywych zakładników, jak i wydanie ciał zabitych. Ten warunek również nie został spełniony mimo ogłoszenia przez Trumpa przejścia do drugiej fazy porozumienia. W Gazie wciąż pozostają szczątki Rana Gvilego, młodego policjanta zabitego 7 października. Amerykański prezydent zagroził Hamasowi, że zmiecie go z powierzchni ziemi, jeśli się nie rozbroi. Do tej pory w tej kwestii Hamas mocno się targował – zgodził się na złożenie ciężkiej broni ofensywnej, ale nie lekkiej: pistoletów czy karabinów.

To jest kompletnie nie do przyjęcia również dla Izraela, gdzie wręcz mówi się, że jeśli nie stanie się to do marca, jest gotów rozpocząć kolejną operację lądową w Gazie. Trump nie chce wznowienia otwartego konfliktu, ale logika wojny i tak może zwyciężyć. Nawet wbrew samym Izraelczykom, zmęczonym dwuletnim wojowaniem na kilku frontach. – *Zbliżają się wybory w Izraelu, a pozory sukcesu w Gazie są dla Netanjahu kluczowe, by utrzymać się u władzy. Do tego dochodzi presja wewnętrzna ze strony koalicjantów, którzy prą do wznowienia działań zbrojnych* – uważa Ofer Shelah, dyrektor programu Polityki Narodowego Bezpieczeństwa Izraela w INSS.

Pod koniec zeszłego tygodnia pojawiły się sygnały, że Hamas rzeczywiście złoży broń oraz udostępni plany

eprasa.pl f51a944834

Aż 1,5 mln z ponad 2 mln mieszkańców Strefy straciło swoje domy.

© ANAS ZEYAD FTEHA/ANADOLU/GETTY IMAGES

tuneli – w zamian za możliwość działania w Gazie jego politycznego skrzydła oraz umożliwienie wyjazdu swoim przywódcom. W ten sposób mógłby uratować się przed popadnięciem w polityczny niebyt.

Ta sytuacja jest jednak potencjalnie groźna nie tylko dla Izraela, ale także władz palestyńskich i nowego rządu technokratów, który ma przejąć władzę w enklawie z rąk Hamasu. Groziłoby to w pewnym momencie powrotem do wewnętrznych walk w Gazie, 19 lat temu zakończonych zrzucaniem z dachów politycznych przeciwników z Fatahu, pokonanego w wyborach parlamentarnych rok wcześniej. Dlaczego teraz miałoby być inaczej? Zwłaszcza że w oczach wielu Palestyńczyków atakiem 7 października Hamas pokazał sprawczość, nie tylko zadając cios Izraelowi, ale też doprowadzając do uwolnienia kilku tysięcy palestyńskich więźniów i przywracając kwestię palestyńską na arenę międzynarodową.

Rząd technokratów, czyli 15-osobowy Narodowy Komitet Administracji Gazy na czele z Alim Shatahem, byłym wiceministrem w ramach Autonomii Palestyńskiej, jest solą w oku Izraela. Formalnie komitet nie jest powiązany z żadną z frakcji – ani Hamasem, ani Autonomią Palestyńską, ale obie zatwierdziły jego skład. Problem w tym, że na razie rząd w Jerozolimie sprzeciwia się nawet wjazdowi Shataha i jego ekipy do Gazy, na co nalegać mają Amerykanie. – *Netanjahu w pewnym momencie prawdopodobnie będzie musiał się ugiąć przed Trumpem, bo nie może w tej chwili pozwolić sobie na zniechęcanie go do siebie. Na horyzoncie ma nie tylko wybory, ale także kwestię Iranu, Hezbollahu i Syrii. Musi mu po prostu przytakiwać* – dodaje Shelah.

Dlatego ostatecznie Izrael przyjął zaproszenie do Rady Pokoju i być może będzie musiał przełknąć także Shataha, chociaż od dawna zapowiada, że nie zgodzi się na przejęcie władzy w Gazie przez ludzi Autonomii Palestyńskiej, zanim ta nie przejdzie gruntownych reform, w tym nie odstąpi od wypłacania stypendiów rodzinom zamachowców. – *Zdecydowanie potrzebujemy innej władzy w Gazie. Nie możemy dalej żyć obok potwora. Palestyńczycy muszą rządzić Palestyńczykami. My nie chcemy rządzić Gazą* – podkreśla Or Heller, izraelski korespondent telewizyjnego Kanału 13.

Sam Shatah ma opinię kompetentnego biurokraty, w dodatku urodził się w Khan Junis w Gazie, co może go uwiarygodnić w oczach tutejszych Palestyńczyków. – *Znam go osobiście, to prawdziwy profesjonalista, mniej polityk, podobnie jak pozostali członkowie komitetu* – uważa Alon Liel, były izraelski dyplomata i doradca premiera Ehuda Baraka. Shatah zapowiada, że w pierwszej kolejności zajmie się tym, na czym zna się najlepiej – wodą, jej uzdatnianiem i odbudową studni, zgłosił też pomysł zrzucenia gruzów wprost do morza, ale jego zasadniczym celem jest odbudowa cywilnych instytucji i „przywrócenie uśmiechu na twarze ludzi". Natomiast kwestie bezpieczeństwa czy koordynacji z grupami zbrojnymi nie będą leżeć w jego kompetencjach. A więc w czyich? W założeniach miały się tym zająć Międzynarodowe Siły Stabilizacyjne (ISF), ale te nawet jeszcze nie powstały i nie wiadomo, czy powstaną i na jakich warunkach – tu głównym hamulcowym jest przede wszystkim Izrael, który nie zgadza się, by udział w nich miały Katar czy Turcja, w jego oczach zbyt powiązane z Hamasem.

Dwa rozwiązania

Ale sprawa ta ma drugie dno. I dwa potencjalne rozwiązania. Po pierwsze, Hamas nie jest na zupełnie przegranej pozycji – Steve Witkoff, który negocjował porozumienie Trumpa, oficjalnie spotkał się z przedstawicielami Hamasu, czym bardzo ich wzmocnił. – *Hamas zaczyna więc wierzyć, że może się stać częścią społeczności międzynarodowej* – uważa Tzoreff.

Jest też drugi scenariusz: jeśli Trumpowi zabraknie cierpliwości do szczegółów, a społeczności międzynarodowej determinacji, by nadal wywierać presję na obie strony konfliktu, Izrael stanie się de facto władzą w całej Strefie Gazy. – *Wtedy Izrael będzie za nich faktycznie odpowiedzialny – politycznie, gospodarczo, militarnie, ze wszystkimi konsekwencjami dla swojej pozycji międzynarodowej. I to może się wydarzyć nawet nie w wyniku świadomej decyzji, ale dlatego, że nie będzie żadnej realnej alternatywy* – dodaje Shelah.

Dziś w Izraelu trudno znaleźć kogokolwiek, kto by wierzył w doprowadzenie do prawdziwego pokoju na Bliskim Wschodzie. – *Jesteśmy w ciągłym stanie wojny i niewojny. Pokój u nas jest po prostu czymś niewyobrażalnym* – mówi Tomer z Tel Awiwu, przeciwnik obecnego rządu.

AGNIESZKA ZAGNER

Rozmowa z reżyserką Kaouther Ben Hanią, autorką filmu „Głos Hind Rajab" o śmierci dziewczynki ze Strefy Gazy, na s. 85.

eprasa.pl f51a944834

Każde ciało dostaje biały foliowy worek i własny numer. Ten numer jest tymczasowym nazwiskiem, dopóki nie przywróci mu się prawdziwego.

Pociąg martwych chłopców

Na kolejowej bocznicy w Odessie stoi pociąg. W wagonach-chłodniach leżą martwi ukraińscy żołnierze. Niektórzy z nich na zawsze zostaną ciągiem 17 cyfr.

PAWEŁ RESZKA Z ODESSY

Na bocznicę zajeżdża ciężarówka z martwymi. – *100 ciał do nas, reszta do innego punktu* – dyryguje Tetiana Papiż, szefowa odeskiego Obwodowego Biura Medycyny Sądowej. Makijaż, buty na wysokim obcasie nie pasują do tego miejsca. I do ekspertów ubranych w medyczne kombinezony. Ale to mylące. Papiż jest doświadczoną lekarką patomorfologiem, ona stworzyła to miejsce. Na pustym placu przy kolejowych magazynach stanęły dwa podłużne namioty. W nich stoły sekcyjne, narzędzia, nosze.

Platforma ciężarówki powoli się opuszcza. Martwi upakowani ciasno jedni na drugich. Ciała wyładowują dwaj śledczy. Otwierają szare foliowe worki, rozwijają zbutwiałe szmaty. Do nich należy pierwszy ogląd. Muszą sprawdzić, czy przy martwym wojaku nie została jakaś broń, amunicja albo materiały wybuchowe.

Numer

Jedne ciała zmumifikowane kruszą się przy dotyku. Ale mają dystynkcje, nieśmiertelniki, a nawet dokumenty, które ktoś po tamtej stronie włożył w foliową torebkę – żeby nie przegniły. Inne nie mają niczego. Są zmrożone. Trudno odróżnić kończyny, tułów czy głowę. Są zbitą masą nieprzypominającą człowieka.

Przy zwłokach karteczki, na których wypisana jest nazwa miejsca, gdzie zostały odnalezione. Śledczy wykrzykują po kolei: – Kamienka, Czasiw Jar, Awdijewka, Kliszcziiwka, Bachmut, Krasnoje, Czertyna, Sewero Donieck... To nazwy bitew, które od 2022 r. toczyli Ukraińcy. Pewnie większość żołnierzy oddała życie za miasteczko, które przed wojną było dla nich tylko kropką na mapie, a teraz jest już tylko kupą gruzów. Ale chyba na tym polega wojna.

Miejscowość zostanie wpisana do dokumentacji ciała. Ciało dostanie nowy, biały foliowy worek i własny numer. Asystentka medyczna wypisze czarnym markerem na folii 17 cyferek. Ten numer będzie tymczasowym nazwiskiem. Pozostanie z ciałem do czasu, gdy przywróci się mu to prawdziwe. Chyba że ciała nie uda się zidentyfikować. Wtedy numer pozostanie z nim już na zawsze.

eprasa.pl f51a944834

Rejestr

Ukraińskie MSW prowadzi Rejestr Osób Zaginionych w Szczególnych Okolicznościach. Figuruje tu ponad 80 tys. osób. Najstarsze zapisy pochodzą jeszcze z 2014 r. – *W rejestrze są zarówno żołnierze, jak i cywile. Obywatele Ukrainy, obywatele innych państw oraz osoby bezpaństwowe, które przebywały legalnie na terytorium Ukrainy* – mówił w grudniu 2025 r. Artur Dobroserdow, pełnomocnik rządu ds. osób zaginionych bez wieści. Oficjalnie nie wiadomo, jaka część poszukiwanych to wojskowi – takich danych nie podaje się ze względów bezpieczeństwa.

W przypadku żołnierzy „zniknięcie" może oznaczać wiele rzeczy. Na przykład dezercję. Albo to, że człowiek właśnie wykonuje zadanie i stracono z nim łączność. W czasach, gdy front to szeroka na kilkanaście kilometrów szara strefa, żołnierze mogą pozostawać odcięci od głównych sił tygodniami. Wyjście z ukrycia oznacza śmierć – trzeba czekać na mgłę, zmianę sytuacji na polu walki. Możliwe, że żołnierz przepadł, bo dostał się do rosyjskiej niewoli. No i to, co jest najgorsze – zginął, ale ciała nie udało się znaleźć albo wyciągnąć z rejonu walk.

Kiedy żołnierz przestaje się odzywać, odbierać telefon, dzwonić, odpisywać na esemesy, korzystać z internetu, rodzina wpada w panikę. Bliscy nie wiedzą, co robić, dokąd dzwonić. Dlaczego? Wielu wojskowych, „by oszczędzić bliskim zmartwień", nie podaje numeru jednostki ani kontaktów do dowódców czy towarzyszy z oddziału. Niektórzy nawet nie informują, że poszli wojować. Jeden z żołnierzy Legionu Międzynarodowego przez cały czas służby udawał przed bliskimi, że przebywa na saksach w Polsce.

Oficjalnie o „zniknięciu bez wieści" rodzinę powiadamia TCK (odpowiednik naszej Wojskowej Komendy Uzupełnień). Portal Ukraińska Prawda, opierając się na danych z urzędu pełnomocnika ds. zaginionych, opublikował poradnik, jak postępować w takiej sytuacji: „Po otrzymaniu powiadomienia należy zgłosić sprawę na policji – napisać podanie, dodać fotografię i wszystkie informacje dotyczące osoby, która zniknęła bez wieści. Należy także oddać próbki do testu DNA. Próbki powinny pochodzić od najbliższych krewnych – rodziców, dzieci, braci lub sióstr".

Policja otwiera sprawę karną i dopiero wtedy obywatela w świetle prawa uznaje się za zaginionego. Miesiąc po otrzymaniu powiadomienia od TCK można się zwrócić do jednostki wojskowej, w której służył zaginiony, z prośbą o wyciąg z akt postępowania służbowego. A także do Narodowego Biura Informacyjnego (NIB), które zbiera informacje o zaginionych i tych, którzy trafili do niewoli, no i do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

W dwóch namiotach rozstawiono pięć stołów sekcyjnych

Procedura podobna jest do tortur. Tym bardziej że często z jednostki dochodzą sprzeczne informacje. Bywa tak, że koledzy, który poszli na akcję z zaginionym, nie mają pewności, co się z nim stało. Był. Upadł. Ciała nie wydostano. Nie ma pewności. Rodzina zostaje na długie miesiące w informacyjnej pustce. Nie wiadomo, czy opłakiwać bliskiego, czy mieć nadzieję. Załatwiać sprawy, uczyć się żyć od nowa. Czekać?

Stół nr 5

Dlatego Tetiana Papiż określa misję swojego zespołu jednym zdaniem: – *Chodzi o to, by rodziny czekały jak najkrócej.* Wyładowane przez śledczych zwłoki układane są na wózkach. Sanitariusze pchają je w kierunku namiotów, gdzie rozstawiono pięć stołów sekcyjnych. To dystans kilkudziesięciu metrów – kółka tłuką się o nierówny beton, wózek się telepie, ciało w białym worku podskakuje na nierównościach. Ale sanitariusze nie zwalniają, kolejka jest długa.

Lekarzom patomorfologom każde ciało opowiada historię. – *Tu śmierć nastąpiła około roku temu* – mówi Papiż. – *A pan co widzi?* – pyta Rusłana Fedoniuka, lekarza pracującego przy stole sekcyjnym nr 5. – *Złamanie kości czaszki. Głowa oddzielona od korpusu. Być może na skutek procesów gnilnych* – recytuje beznamiętnym głosem stary doktor. – *Tak, ciało długo leżało na powierzchni* – komentuje Papiż. – *Reszta kości cała, z wyjątkiem kości lewego przedramienia, której nie ma* – dyktuje dalej Fedoniuk.

Irina Anatoliewna, która siedzi na rozkładanym krzesełku tuż przy stole, wpisuje wszystko do protokołu. Każde słowo może mieć znaczenie. Pozwoli wyjaśnić okoliczności śmierci. Może pomóc przy ustalaniu tożsamości, być może ▶

eprasa.pl f51a944834

▶ do rozpoczęcia sprawy karnej o zbrodnię wojenną. Bywa, że na stół trafia ciało ze związanymi z tyłu rękami, nogami albo dziurą w tyle czaszki, co może świadczyć o dokonanej egzekucji. Może, ale nie musi.

Ludzie z prokuratury zwracają uwagę na takie detale. Kiedy na stół nr 5 wjeżdżają zwłoki ze związanymi kablem nogami, śledczy przygląda się mu przez dłuższą chwilę. – *Wydaje się, że martwy żołnierz leżał jakiś czas w trudno dostępnym miejscu. Obwiązali mu nogi, żeby łatwiej było go wyciągnąć* – podsumowuje. Alona, która też jest z prokuratury i dyżuruje przy stole nr 5, robi kilka zdjęć.

Oprócz lekarza patomorfologa Fedoniuka, Alony, która robi dokumentację fotograficzną, Iriny Anatoliewny, asystentki medycznej odpowiedzialnej za protokół, w ekipie tego stołu jest jeszcze sanitariusz Wasyl. Wysoki, dobrze zbudowany chłopak, który w chwilach przerwy ukrywa twarz w dłoniach. Starsi rangą śledczy i lekarze odpowiedzialni za pobieranie materiału genetycznego kursują między stanowiskami sekcyjnymi.

Patomorfolog Rusłan Fedoniuk ma 59 lat i 32 lata praktyki. Jego syn służy pod Pokrowskiem.

Wymiana

Wszystkie ciała, które trafiają na bocznicę kolejową w Odessie, przyjechały z tamtej strony frontu. Te ze śladami tortur czy egzekucji trafiają tu więc trochę przez niedopatrzenie Rosjan, którzy tym sposobem dostarczają dowodów przeciw sobie. Być może chodzi o typowy frontowy bałagan. Jeden oddział rozstrzelał i porzucił. Inni żołnierze – często po długim czasie, kiedy front się przesunął – dostali zadanie oczyszczenia terenu, zabrania zwłok przeciwników. Ładowali na ciężarówki, wieźli do chłodni, nie wnikając w szczegóły.

Dalej zadziałało prawo wielkich liczb, kiedy trudno zadbać o wszystkie detale. W połowie zeszłego roku na odeską bocznicę trafiło 1,6 tys. poległych żołnierzy. Był to efekt porozumienia zawartego w Stambule. Turecka agencja prasowa Anadolu nadała pilną depeszę: „02.06.2025. Ukraina i Rosja osiągnęły w Stambule ważne porozumienie w sprawie przeprowadzenia największej od początku wojny wymiany jeńców oraz ciał poległych".

Był to jeden z rzadkich przypadków, gdy Ukraińcy i Rosjanie rozmawiali ze sobą. Do wymian ciał dochodziło już wcześniej. Tym razem zgodzono się jednak na formułę „wszyscy za wszystkich", co miało objąć po 6 tys. poległych z każdej strony. Ich ciała dostarczano etapami – głównie do Odessy. – *Do nas nadchodziły kolejne partie ciał. W sierpniu 100, we wrześniu 161... Wtedy zdecydowaliśmy, że tu, na bocznicy, ustawimy namioty ze stołami sekcyjnymi, gdzie będą mogli pracować eksperci. Wspólnie patomorfolodzy, genetycy, śledczy* – opowiada Papiż. Przez kilka następnych miesięcy liczba zwiększyła się do 2,1 tys., dziś o kolejne 100.

Najbardziej palącym problemem była identyfikacja. Tym bardziej że wśród zwracanych przez Rosjan ciał zdarzały się zwłoki należące do rosyjskich wojskowych albo zagranicznych kondotierów walczących po stronie Moskwy. W kieszeniach bluz mundurowych znajdowano rosyjskie albo zagraniczne dokumenty.

Zapach

Nawet jeśli poległy ma przy sobie dobrze zachowane dokumenty, np. książeczkę wojskową, nie jest to uznawane za potwierdzenie tożsamości, a jedynie wskazówkę. Zawsze jest możliwość, że do ciała podłożono papiery innej osoby.

W Odessie, mimo że jest zima, wyszło słońce, a temperatura podniosła się znacznie powyżej zera. Z jednej strony to dobrze, bo w cieple łatwiej pracować. Z drugiej – źle, bo całą bocznicę, namioty, stoły sekcyjne otulił zapach gnijących ciał.

Kolejne wjeżdża na stół nr 5. Najpierw trzeba obrać je z rzeczy. Letni mundur, plastikowy zegarek, krzyżyk – wszystko trafia na rozciągniętą przy stole płachtę. Znowu zdjęcia. Może ktoś z rodziny rozpozna jakiś przedmiot? Potem dokładne opisanie zwłok. – *Sądząc po mundurze i procesach gnilnych, śmierć nastąpiła w lecie. Stan uzębienia wskazuje, że mamy do czynienia z osobą młodą. Brak ubytków, zęby zdrowe, nieleczone* – mówi Fedoniuk. Żuchwa zostanie oddana do badań DNA.

Przy sąsiednim stole ciało opisuje inny lekarz Wiktor Magrinczuk: – *Obuwie nr 42, ciało zmumifikowane, wzrost ok. 185–190 cm, obwód głowy 58. Zrobione! Wiecie, że często pytają mnie, czy śni mi się moja praca?* – zagaja. – I co pan odpowiada? – *Mnie się nic nie śni.*

Tetiana Papiż mówi, że ona i jej zespół od lat zajmują się zwłokami. – *Pełnoskalowa wojna oznacza dla nas, że zwłok jest znacznie więcej niż wcześniej* – stwierdza lekarka. Najczęstsza przyczyna śmierci to rany od odłamków – głowa, tułów, oderwane kończyny. Większość ciał należy do ludzi w wieku 30–50 lat. – *To przykre,*

eprasa.pl f51a944834

że giną ludzie w kwiecie wieku – rzuca lekarka.

Dla ustalenia tożsamości najważniejsze jest pobranie próbek DNA. Nie jest to proste, genetycy chodzą między stołami w poszukiwaniu materiału biologicznego do badań. Najlepsze są kręgi, niektóre części nadgarstka, kości dłoni albo stopy, zęby trzonowe... Genetycy mają przy sobie piły i młotki. Czasem, by ciało odzyskało tożsamość, trzeba wyłamać szczękę albo wyrwać ząb i oddać do dalszych badań.

Stół jest wolny, Fedoniuk czeka już na następnego martwego. Wasyl tradycyjnie ukrywa twarz w dłoniach. On wykonuje najcięższą fizycznie pracę. Kiedy trzeba przekręcić zwłoki, coś odpiłować, rozerwać, Wasyl mówi: – *Pan doktor poczeka, ja to zrobię.*

Zbadane ciało wraca do białego worka z numerem. Wiozą je rozklekotanym wózkiem w kierunku pociągu. Tam, przy uchylonych drzwiach wagonu-chłodni, czekają na nie sanitariusze. Podniosą worek i ułożą go na stercie innych. W każdym wagonie temperatura wynosi -10 st. C. Tam zwłoki czekają na wynik prac indentyfikacyjnych.

Po drodze może je jeszcze czekać jeden przystanek. Za namiotami stoi stanowisko fachowców od daktyloskopii. Próbują pobrać odciski palców. Nakładają na zmumifikowane dłonie specjalne substancje. Rozgrzewają opalarkami zamarznięte na lód palce. Ciała na przystanku u „daktyloskopów" leżą z kończynami zwróconymi ku niebu. Ale ciała, które jedzie ze stołu nr 5, to nie dotyczy – ono nie ma rąk.

Powrót

Eksperci pracują kolejną godzinę, ale czas jakby się zatrzymał. Trupi zapach przenika ubrania i kombinezony. Wózki jadą, kółka obijają beton. Monotonnie, ciało za ciałem trafia na stół, a stos trupów w wagonach rośnie. Sanitariusze czasem nie dają rady. Przysiadają na rampie, palą papierosy. Tetiana Papiż chce przyspieszyć proces i sama kieruje ciała na kolejne stoły.

Ciało nr 99 przyjechało z Awdijewki. W kieszeni zgniłej wojskowej bluzy są dokumenty. Ktoś „z tamtej strony" włożył je do foliowej torebki. Z książeczki wojskowej wiemy, że żołnierz urodził się 16 stycznia 1982 r. Nazywał się Tkacz Siergiej, syn Iwana (dane zmienione). Na fotografii widać, jak wyglądał za życia.

To przedostatnie ciało na dziś. Trafi na stół do Fedoniuka. Po nim będzie koniec pracy. Pobrane fragmenty ciał: zęby, piszczele, kręgi, kości czaszki, trafią do odeskiego laboratorium ekspertyz sądowych, gdzie fachowcy określą profil DNA. Tam zajmie się nimi lekarka Irina Lancman: – *Pobrane kości są oczyszczane, ich fragmenty się rozdrabnia, proszek kostny zostaje wykorzystany do określenia profilu DNA.*

Sanitariusz Wasyl pracuje w ekipie stołu sekcyjnego nr 5

Ale to już nie dotyczy pracujących na bocznicy. Wszyscy, jak na komendę, zrzucają kombinezony, rękawiczki, maski. W samochodach przebierają się w cywilne ciuchy. Irina Anatoliewna paraduje w różowym sweterku. Doktor Fedoniuk w sportowej bluzie; pochodzi z Bachmutu – miasta, którego już nie ma. Był tam jednym z najważniejszych lekarzy patologów. Tutaj po prostu robi sekcje. Ma 59 lat, 32 lata praktyki. – *Pan tu na długo?* – pyta mnie. – Nie, jutro jadę na Donbas. – *Donbas. Syn służy na wschodzie* – mówi. – Gdzie? – *Pod Pokrowskiem.*

Pokrowsk to jedno z najkrwawszych miejsc na tej wojnie. Kiedy bitwa o to miasto się skończy, do Odessy znów zaczną napływać ciała.

Profil

Tetiana Papiż mówi, że najtrudniejsze jest, kiedy w rzeczach osobistych znajdzie fotografię żony albo rysunek od dziecka. – *Uświadamiasz sobie, że tam ktoś czeka na tego chłopaka.* – Można się do tego przyzwyczaić? – *Nie sądzę, ale można dobrze wykonywać swoje zadania* – odpowiada.

Profil DNA porównuje się z tymi pobranymi od bliskich żołnierzy, które są w bazie danych. Kiedy ciało dostaje śledczy, powiadamia krewnych. Na wydanie czeka obecnie w oddzielnej chłodni 70 poległych. Ciało można odebrać razem z rzeczami osobistymi. Na życzenie rodziny może zostać dostarczone przez wolontariuszy do domu. Ciała, które nie zostaną zidentyfikowane, będą pochowane na miejscowym cmentarzu.

TEKST I FOTOGRAFIE PAWEŁ RESZKA

eprasa.pl f51a944834

Koniec społeczeństwa

Młodzi ludzie nie wierzą już w miłość jako fundament więzi. Państwo nie nadąża za cyfrową indywidualizacją. Czy społeczeństwo jeszcze istnieje? Czy jesteśmy tylko zbiorem dywiduów?

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

eprasa.pl f51a944834

EDWIN BENDYK

Jednym ze skutków pandemii Covid-19 okazał się gwałtowny wzrost popytu na psychoterapię. Potrzebie tej towarzyszy powszechne przekonanie, że usługę taką powinno finansować państwo. Dziesiątki artykułów i analiz ujawniły, jak dramatycznie wygląda w Polsce opieka psychiatryczna, zwłaszcza osób młodych. Dyskusja o dostępie do psychoterapii w dużej mierze z kolei została zdominowana przez walkę o kontrolę lukratywnego rynku poprzez sposób licencjonowania osób uprawnionych do świadczenia usług.

„Dostęp do terapii zdecydowanie zdystansował takie zadania państwa, jak tworzenie warunków sprzyjających rodzeniu się dzieci, zapewnienie możliwości mieszkania tym, których na to nie stać, zapewnienie minimum warunków życia bezrobotnym czy zapewnienie każdemu pracy" – można przeczytać w raporcie z badań społecznych Sławomira Sierakowskiego i Przemysława Sadury.

Oczywiście państwo takich oczekiwań spełnić nie da rady. Z popytem próbuje więc sobie poradzić rosnący rynek usług terapeutycznych. Jeśli popatrzeć na polskie społeczeństwo z perspektywy statystyk prób samobójczych i samobójstw, odsłoni się zdumiewający, ponury obraz. W 2017 r. liczba prób samobójczych wśród osób do 18. roku życia sięgnęła 730, w 2021 – już 1496, w 2023 – 2139. W całej populacji nastąpił wzrost z 8575 zgłoszonych przypadków prób samobójczych w 2013 r. do 15 133 w 2023. Sprawa nie dotyczy jednak jedynie kondycji psychicznej mieszkańców Polski. Podobne doniesienia płyną z innych krajów. Co podpowiada socjologom, że problem nie jest indywidualny, lecz chore jest całe społeczeństwo: cierpi na anomię i osłabienie więzi, na których opierały się relacje solidarności i struktury zbiorowego wsparcia w trudnych sytuacjach. To szczególnie odbija się na ludziach młodych.

Samotność i anomia

Dobry wgląd dają tu wyniki badania „Stan młodych" ogłoszonego na początku roku przez Fundację Ważne Sprawy i Fundację More in Common Polska. Ujawniają, że aż 81 proc. osób w wieku 18–30 lat doświadcza samotności, a tylko 13 proc. nie miało z tym problemu. Na pytanie, jak radzą sobie w sytuacjach kryzysowych, 68 proc. mówi o przekonaniu, że muszą liczyć na siebie i najbliższych. Na pomoc instytucji państwa liczy 32 proc. Najbliższa im instytucja publiczna, szkoła, zdaniem blisko połowy nie zapewnia wsparcia w trudnych sytuacjach życiowych, tylko 34 proc. jest odmiennego zdania.

Podczas dyskusji nad tymi badaniami w Fundacji im. Stefana Batorego mocno przebijał się temat trudności nawiązywania relacji romantycznych w młodym pokoleniu, a więc najważniejszych, bo decydujących o powstawaniu trwałych związków i rodzin. Schemat „dorośleję, zakochuję się, biorę ślub i zakładam rodzinę, której żywotność wyrażają kolejne rodzące się dzieci", przestał obowiązywać. Jeszcze w 2014 r. zawarto w Polsce ok. 190 tys. małżeństw i urodziło się 375 tys. dzieci. Rok 2024 to 135 tys. małżeństw i 252 tys. urodzonych dzieci. Choć oczywiście związek między relacją małżeństwa a posiadaniem potomstwa jest też coraz słabszy i coraz więcej dzieci rodzi się w związkach nieformalnych (w 2024 r. było to ok. 30 proc.). O coraz większych trudnościach w tworzeniu relacji romantycznych i związków opartych na miłości opowiadał socjolog Tomasz Szlendak w rozmowie z Joanną Podgórską (POLITYKA 1–2).

Konsekwencje indywidualizacji

Dominującym procesem charakteryzującym całą epokę nowoczesną jest indywidualizacja, czyli uniezależnianie się jednostek spod dominacji struktur społecznych. Człowiek w epoce feudalnej poprzez rodzinę przynależał do konkretnego stanu, co z kolei określało jego miejsce na Ziemi (najczęściej dosłownie, z przypisaniem do ziemi i pana). O jego indywidualnej kondycji decydowała kondycja społeczna – z takim aspektami jak możliwość miłości włącznie. Nowoczesność zrujnowała ten uporządkowany schemat. Procesy modernizacji gospodarczej umożliwiły emancypację jednostki, która zyskała narzędzia do realizacji własnej autonomii i ubiegania się o podmiotowość.

Skutkiem długiego procesu nowoczesności i związanej z nią indywidualizacji były kolejne rewolucje polityczne i społeczne, stawiające jednostkę w centrum jako indywidualnego posiadacza praw ludzkich i obywatelskich. Upadek komunizmu w 1989 r. podpowiadał optymistom, że modernizacyjny proces dopełnił się – jednostka wygrała, uwalniając się z ostatnich złogów opresyjnego systemu, jakim był realny radziecki socjalizm. Nastał kres historii, czyli epoka demokracji liberalnej jako uznanego przez wszystkich optymalnego systemu politycznego i związany z nią wolnorynkowy kapitalizm jako najlepszy ustrój społeczno-gospodarczy.

Koniec końca historii

Zwolennicy koncepcji końca historii nie dostrzegli, że raz uruchomione procesy emancypacyjne i indywidualizacyjne nie mają zamiaru się zatrzymać. Jednostka uzbrajana w kolejne narzędzia wolności, tym razem głównie pochodzące ze świata technologii cyfrowych, zaczęła wyzwalać się nie tylko spod kontroli struktur społecznych, ale i instytucji odpowiedzialnych za organizację życia społecznego. Państwo wraz ze swym aparatem pełniące funkcję „żelaznej klatki racjonalności", czegoś w rodzaju komputera odpowiedzialnego za rozwiązywanie problemów i zarządzanie społeczne w oparciu o procedury i instytucje, zyskało konkurenta.

Kanadyjski badacz cyfrowego społeczeństwa sieciowego Barry Wellman nazwał tego konkurenta społecznym systemem operacyjnym. Mieszkaniec współczesności coraz więcej spraw załatwia za pośrednictwem cyfrowych sieci i serwisów. Staje się indywidualistą, ale usieciowionym. Z jednej strony może dzięki technologicznemu wzmocnieniu lepiej realizować swoje plany, pozyskując i koordynując niezbędne zasoby. Jednocześnie stopniowo wyzwala się spod kontroli nowoczesnego państwa, które ciągle tkwi w zardzewiałej już klatce proceduralnej racjonalności. I usieciowiony indywidualista odkrywa, jeśli jest spostrzegawczy, że osaczają go algorytmy – racjonalność podporządkowana logice maksymalizacji zysku i akumulacji kapitału przez korporacje, takie jak Meta/Facebook, Google, X i wiele innych.

Niby wszystko inne działa, jak działało, instytucje publiczne ciągle posługują się pieczątkami przystawianymi do dokumentów opisujących status mieszkańca w danym momencie. Jednak opisane już wcześniej trendy pokazują, że coraz częściej odkrywamy iluzoryczność dotychczasowych „twardych" reguł. Małżeństwo potwierdzone wizytą w urzędzie stanu cywilnego? ▶

eprasa.pl f51a944834

▶ Kiedyś rzeczywiście był to akt niezbędny, fundujący powstanie nowej komórki społecznej. Dziś raczej zachętą do formalizacji jest nacisk rodziców, sentyment, ale nie strukturalna potrzeba wynikająca z powszechnej społecznej presji.

Wirtualizacja

Innym polem przemian jest kultura. Badanie przeprowadzone w grudniu 2024 r. z inicjatywy ministry kultury Hanny Wróblewskiej pokazało, że ponad 70 proc. osób na co dzień korzysta z kultury wyłącznie za pośrednictwem urządzeń elektronicznych. W gronie osób w wieku 18–24 lat ten odsetek wzrasta do 93 proc. Co nie oznacza, że maleje zainteresowanie formami kultury „ucieleśnionej", wymagającej obecności – przeciwnie, intensywność praktyk cyfrowych sprzyja intensywności praktyk realnych. Tylko że jedne i drugie kontrolowane są w coraz mniejszym stopniu przez instytucje, a w coraz większym przez społeczny system operacyjny cyfrowych sieci.

Z przemianą tą mierzyło się i mierzy wielu badaczy. Wielokrotnie relacjonowaliśmy ich prace na łamach POLITYKI. Należy przywołać Alaina Touraine'a, nieżyjącego już wielkiego socjologa francuskiego. W 2013 r. doszedł do wniosku, że musi zamknąć wcześniejszy, 60-letni okres pracy i uznać, że kilkadziesiąt powstałych wówczas dzieł nadaje się co najwyżej do archiwum. A to dlatego, że przedmiot, którym się zajmował – społeczeństwo – już nie istnieje („La société n'existe plus"). Stwierdzenie to rozwinął do książki „La fin des sociétes" (Koniec społeczeństw).

Wirtualizacja rzeczywistości oznacza też rozpad jednostek – indywiduów – na dywidua, obiekty o wielu tożsamościach.

Touraine nie przeczy, że przetrwały formy życia społecznego – ciągle jesteśmy razem, potrafimy podejmować działania zbiorowe. Tyle tylko, że motywy do tych działań nie mają swojego źródła w poczuciu przynależności do większych struktur społecznych będących źródłem przynajmniej części indywidualnej tożsamości. Są więc dziś pracownicy i robotnicy, ale nie tworzą już klasy robotniczej zdolnej do łączenia w zbiorowy podmiot polityczny.

Ja – nowy podmiot

Touraine upatrywał źródeł tego rozpadu struktur społecznych w presji współczesnego kapitału finansowego, który wyemancypował się spod wszelkiej kontroli. Podporządkował sobie rzeczywistość, uzyskał możliwość zarządzania zindywidualizowanym i coraz bardziej zatomizowanym, nieistniejącym społeczeństwem. Francuski myśliciel próbował być optymistą, licząc, że nowy podmiot – jednostka/osoba – będzie gotowy do tworzenia nowych relacji i form życia zbiorowego opartych na solidarności. Nie dostrzegł tego, co od lat twierdziła izraelska socjolożka Eva Illouz. Nastąpił rozpad nowoczesnych form koordynacji społecznej opartych na idei solidarności, czyli zdolności do współdzielenia trudu i odpowiedzialności za całość z ludźmi, których nigdy się nie pozna, ale uznaje za należących do tej całości.

Do życia zbiorowego wkroczyły emocje, solidarność oddała pole empatii. Proces ten w zaskakujący z pozoru sposób uchwycił Przemysław Czapliński, literaturoznawca z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. W książce „Rozbieżne emancypacje. Przewodnik po prozie 1976–2020" omawia około tysiąca polskich dzieł literackich. Jak zwykle nie ogranicza się do analizy literaturoznawczej, lecz na podstawie lektury wyciąga głębokie wnioski socjologiczne. A te pokrywają się z rozpoznaniem Touraine'a i Illouz. Emancypacja ustępuje w Polsce przed terapią. Polki i Polaków łączy poczucie różnych traum, które lepiej poddać terapii, niż czynić z niej temat narodowych opowieści.

Koniec wszystkiego

Nie jesteśmy w Polsce wyjątkowi, ale przeżywamy koniec społeczeństwa na swój polski sposób. Inni też mają podobne problemy. Carlo Bordoni, współpracownik Zygmunta Baumana, już po śmierci swojego mistrza napisał w 2022 r. książkę „Post-Society". Bogatszy o doświadczenie pandemii domknął w niej tezy Touraine'a. Wymuszona izolacja i dystans społeczny, jeszcze większa wirtualizacja relacji i poczucie niepewności, jakie niosło pandemiczne zagrożenie, kończą proces społecznej rekonstrukcji. Jego zwieńczeniem ma być społeczeństwo dywiduów – „Society of Dividuals". To tytuł najnowszej, jeszcze nieopublikowanej książki Bordoniego.

Z innych publikacji autora zrozumieć można główną tezę – wirtualizacja i oddanie się w zarząd społecznemu systemowi operacyjnemu oznacza nie tylko rozpad społeczeństwa jako autonomicznej całości. Kolejny etap to także rozpad jednostek – indywiduów – na dywidua, obiekty o wielu tożsamościach kreowanych w przestrzeni tworzonej dziś przez połączenie rzeczywistości materialnej i cyfrowej.

W wymiarze cyfrowym jednostka traci swoją integralność, wyraża się w zależności od kontekstu jako różny zbiór danych: kim innym jest jako użytkownik Facebooka, kim innym jako pracownik korporacji, wykorzystujący do kreowania swojego ja serwis LinkedIn, jeszcze inaczej jawi się specjalistom od marketingu, próbującym na podstawie dostępnych danych zrekonstruować użyteczny profil takiej osoby, który można będzie zaoferować jako potencjalnego konsumenta, partnera do związku intymnego lub wyborcę.

Trudno się dziwić, że nie tylko konserwatyści są zaniepokojeni takim kierunkiem przemian społecznych. Iluzją jest, co pokazuje wspomniany Tomasz Szlendak, przeciwstawianie się im przez obronę „tradycyjnych" wartości metodami przymusu prawnego i politycznego. Można tkwić przy tradycyjnej definicji rodziny, nie zatrzyma to jednak procesu indywidualizacji i dywiduacji, bo te wynikają z przemian makrostrukturalnych. Ich pierwotnym źródłem jest współczesny kapitalizm, a nie lewactwo czy – jak twierdzą konserwatyści – marksizm kulturowy.

EDWIN BENDYK

eprasa.pl f51a944834

Nieoznaczoność sumienia

Od naukowego objawienia, do którego doszło 100 lat temu na skalistej wyspie, po moralny impas wojny; życie Wernera Heisenberga to opowieść o granicach wiedzy i odpowiedzialności.

TOMASZ TARGAŃSKI

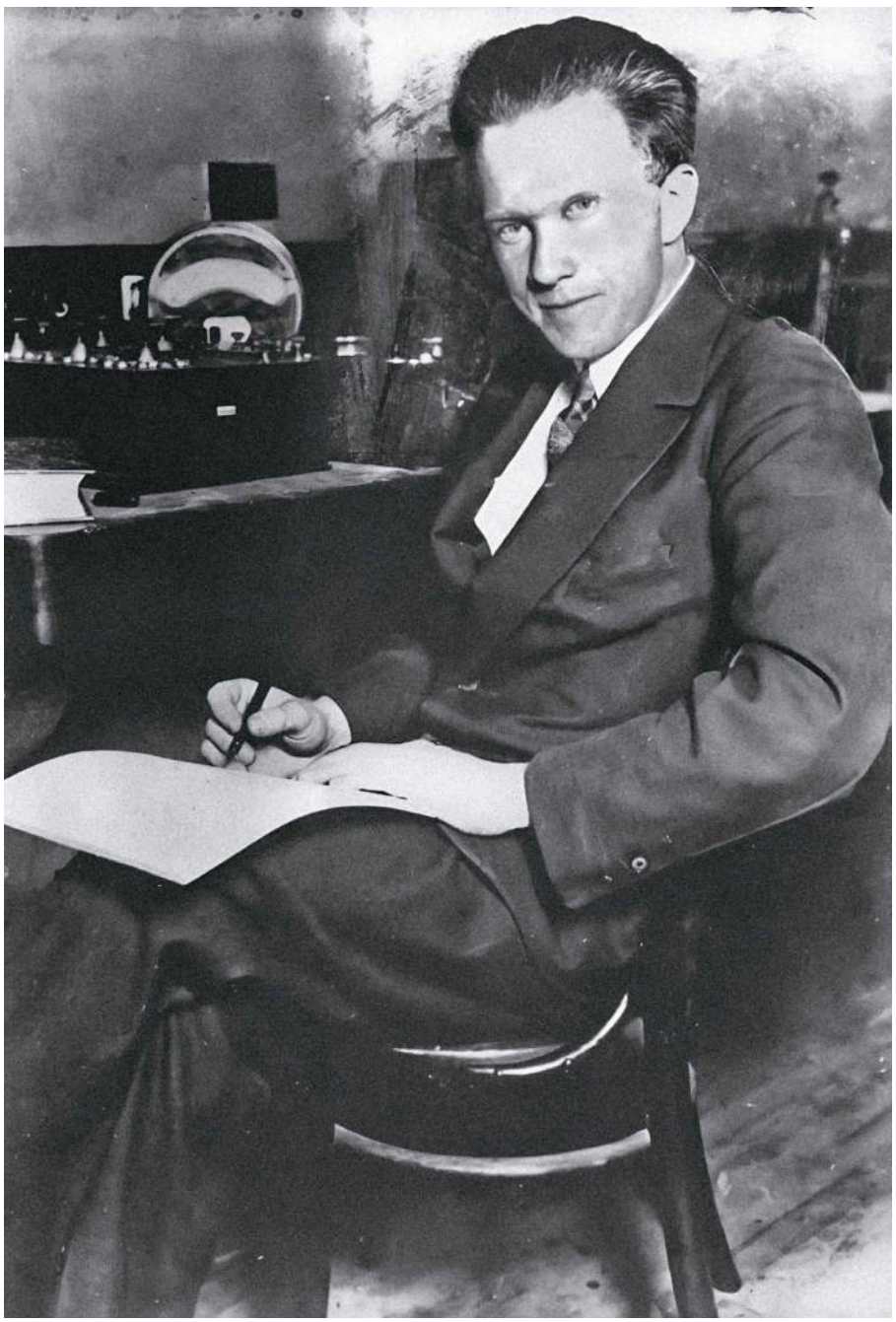

© MICHAŁ WOŹNIAK/DZIEŃ DOBRY TVN/EAST NEWS

Jest czerwiec 1925 r. Werner Heisenberg pogrąża się w impasie: jego badania nad teorią kwantową utknęły w miejscu, a katar, rozsadzająca głowę migrena i światłowstręt nie dają mu pracować. Szukając ulgi od alergii, opuszcza mury Uniwersytetu w Getyndze i wyjeżdża na wyspę Helgoland na Morzu Północnym. Wybrał ją, ponieważ jest tak sucha i surowa, że drzewa ledwo odrastają tam od ziemi, a skaliste podłoże nie daje szansy kwiatom. Sterylna, targana wiatrami, oblana zimnymi wodami skała okazała się idealną scenerią jednego z najbardziej błyskotliwych naukowych odkryć XX w.

Mit Helgolandu

Na Helgolandzie 23-letni Heisenberg narzuca sobie żelazną dyscyplinę. Wstaje wcześnie rano i pływa do utraty tchu. Później napisze, że przywoływał opowieści o legendarnym niemieckim piracie Störtebekerze, ukrywającym się na wyspie, które uwielbiał jako chłopiec. Wraca do swojego pokoju w domu gościnnym i zanurza się w obliczenia. A kiedy umysł odmawia mu już posłuszeństwa, wychodzi na długi spacer, wspina się na jeden ze skalistych klifów Helgolandu, gdzie czyta wiersze Goethego ze zbioru „Dywan Zachodu i Wschodu".

Obsesyjnie wraca do pytań, nad którymi przed wyjazdem debatował z Nielsem Bohrem: Jak działa atom? Jak poruszają się w nim elektrony? Jak wytłumaczyć ich absurdalne „przeskoki" z jednej orbity na drugą? Obaj poszukiwali ram wyjaśniających zachowanie atomów i cząstek subatomowych, które mogłyby zastąpić „klasyczną" mechanikę Newtona.

Podczas jednej z bezsennych nocy Heisenberg odkrywa, że stosowanie pojęć fizyki klasycznej – takich jak położenie, prędkość czy pęd – do cząstek subatomowych – jest drogą donikąd. Do ich opisu trzeba nowego języka. Ponieważ nie sposób mówić o czymś, czego nie da się zaobserwować, proponuje, aby skupić się wyłącznie na obserwablach, wielkościach mierzalnych, jak energia i pęd, a relacje między nimi wyrazić poprzez abstrakcyjne obiekty matematyczne – macierze. Pracuje nad macierzami przez wiele ▶

eprasa.pl f51a944834

▶ godzin, próbując wykorzystać tabele liczb do obliczenia czegoś, co mogłoby wytłumaczyć „dziwne" zachowania atomów.

Po latach tak opisał tamtą noc: „Na początku byłem głęboko zaniepokojony. Miałem wrażenie, że wyszedłem poza powierzchnię rzeczy i zacząłem dostrzegać dziwnie piękne wnętrze (...). Około trzeciej nad ranem stanął przede mną ostateczny wynik. Czułem się głęboko wstrząśnięty. Byłem tak wzburzony, że nie mogłem zasnąć. Wyszedłem z domu i zacząłem iść powoli po ciemku. Wspiąłem się na skałę z widokiem na morze na końcu wyspy i czekałem, aż wzejdzie słońce". Wgląd w owo „dziwne piękne wnętrze" był jednym z tych rzadkich momentów w dziejach nauki, kiedy z nieporządku wyłania się prawo.

Wunderkind

Nie do końca rozumiejąc, jak udało mu się dojść do tych wniosków, Heisenberg wraca do Getyngi. W niepewności pracuje nad artykułem, który 9 lipca wysyła swojemu mentorowi, słynnemu Maxowi Bornowi. Prosi go o przeczytanie i radę. Dwa tygodnie później Born – bez konsultacji z Heisenbergiem – wysyła pracę do czasopisma „Zeitschrift für Physik". Reszta jest historią. Artykuł (zatytułowany „O kwantowo-teoretycznej reinterpretacji relacji kinematycznych i mechanicznych") staje się jednym z najczęściej cytowanych tekstów w historii fizyki.

Ale nawet wówczas Heisenberg nie jest pewny wagi swojego odkrycia. Dopiero dzięki wsparciu Borna, Paula Diraca i Pascuala Jordana udało się na tej podstawie sformułować „zasadę nieoznaczoności". Mówi ona, że niektóre pary właściwości cząstki są powiązane w taki sposób, że nie można ich dokładnie zmierzyć jednocześnie, np. im dokładniej zlokalizujemy położenie cząstki, tym mniej wiemy o jej pędzie (i na odwrót). O to, co zasada ta oznacza w szerszym kontekście, fizycy kłócą się od dekad. Interpretacji są dziesiątki. Jedni umiejscawiają nieoznaczoność w niemożliwej do pozbycia się niepewności tkwiącej w samej naturze pomiaru. Inni wolą przypisać niepewność nie obserwatorowi ani jego aparatowi, lecz samej rzeczywistości. Jedno jest pewne: był to koniec ścisłego determinizmu w fizyce.

Tok rozumowania Heisenberga i sposób, w jaki doszedł do swoich konkluzji, zadziwiały i nadal zadziwiają uczonych. Jego przyjaciel Wolfgang Pauli napisał, że Werner „kierował się wyłącznie intuicją i nie przywiązywał żadnej wagi do jasnego opracowania podstawowych założeń teorii". Aktywny później fizyk Steven Weinberg (laureat Nagrody Nobla z 1979 r.) stwierdził: „Choć uważam, że rozumiem mechanikę kwantową, nigdy nie pojąłem motywacji, jaką kierował się Heisenberg w przedstawionych tam matematycznych krokach". Dla Einsteina zwycięstwo mechaniki macierzowej Heisenberga oznaczało zgodę na fakt, że fundamentalna część zjawisk podlega regułom, których nigdy nie poznamy. Autor teorii względności nie godził się na zamknięcie fizyki w czarnej skrzynce, gdzie rządzą prawdopodobieństwa, a obiektywność i precyzyjne opisanie świata stają się niemożliwe. Mimo to schemat obliczeniowy Heisenberga wytrzymał próbę czasu. Jest to jedna z niewielu fundamentalnych teorii o świecie, która do tej pory nigdy nie została uznana za błędną.

A sam Heisenberg? Mit helgolandzki katapultował go na naukowy olimp. Okrzyknięto go złotym dzieckiem – „wunderkindem" fizyki. W 1932 r. dostał Nagrodę Nobla za decydujący wpływ na stworzenie mechaniki kwantowej, a Helgoland stał się czymś w rodzaju „ziemi świętej", do której pielgrzymują fizycy (w czerwcu ubiegłego roku, w stulecie jego odkrycia, zorganizowano tam wielką konferencję naukową). Mit helgolandzki bywa nawet tematem literatury pięknej (np. w „Straszliwej zieleni" Benjamina Labatuta). Swoją moc zawdzięcza nawiązaniu do bardzo dobrze zasiedziałego w zachodniej wyobraźni mitu samotnego geniusza, który przedstawia uczonych jako jednostki udręczone i współczesnych Faustów rozpiętych między agonią i ekstazą. Zupełnie ignoruje przy tym fakt, że ani Heisenberg, ani Bohr, ani Einstein nie doszliby do swoich rewolucyjnych teorii, gdyby, jak ujął to Newton, nie „stali na ramionach gigantów".

Uczeń i mistrz

Drugim momentem, który zdefiniował życie Heisenberga, był jeden dzień w Kopenhadze we wrześniu 1941 r. Przyjechał on do okupowanej przez Niemcy duńskiej stolicy, aby spotkać się ze swoim dawnym nauczycielem Nielsem Bohrem. Przebieg ich rozmowy, a przede wszystkim motywy tych odwiedzin mają równie wiele interpretacji, co zasada nieoznaczoności (spotkanie stało się tematem sztuk teatralnych, a nawet filmu fabularnego „Kopenhaga", gdzie w rolę Heisenberga wcielił się Daniel Craig).

Bohr i Heisenberg znali się ponad 20 lat. Coś, co w latach 20., kiedy razem pracowali nad teorią kwantową, było intelektualnym pokrewieństwem mistrza z uczniem, z czasem przerodziło się w naznaczony głębokim szacunkiem dystans. Jego źródłem była polityka. Kiedy Hitler doszedł do władzy, coraz więcej uczonych żydowskiego pochodzenia zmuszano do opuszczenia Niemiec. Heisenberg nie wykorzystał swojego autorytetu, aby zaprotestować. Jako wychowany w duchu posłuszeństwa, karny protestant nie myślał też o wyjeździe ze swojego kraju.

Z pewnością nie był gorliwym sympatykiem nazistów. Jako wykładowca uczył studentów einsteinowskiej teorii względności oraz mechaniki kwantowej, choć nazistowska propaganda okrzyknęła ją „żydowską fizyką", a samego Heisenberga atakowano jako „białego Żyda" (jak nazywano etnicznych Niemców sympatyzujących z Żydami).

Przyjazd do Kopenhagi był pierwszym spotkaniem dwóch wielkich fizyków od wybuchu wojny i zajęcia Danii przez Niemcy. Bohr, który również miał żydowskie korzenie, czuł się w swoim kraju coraz mniej pewnie. Zastanawiał się, czy przyjazd Heisenberga jest jedynie kurtuazyjną wizytą po latach, czy też ma coś wspólnego z pracami nad rozszczepieniem jądra atomu i jego ewentualnym zastosowaniem wojskowym, o którym tyle się wówczas mówiło.

Relacje obu na temat tego, co wydarzyło się tamtego wrześniowego popołudnia, były skrajnie różne. Bohr zapamiętał w zasadzie tylko jedno: Heisenberg zadeklarował, że Niemcy pracują nad militarnym programem atomowym. W tamtym momencie Duńczyk wciąż jeszcze sądził, że żadne państwo nie ma wystarczających możliwości przemysłowych, aby uzyskać dość materiału rozszczepialnego, i był wstrząśnięty wizją nazistowskiej bomby. Wraz z upływem czasu Bohr nabrał przekonania, że dawny uczeń przyjechał nie po to, aby przekazać mu, co robią Niemcy, ale by wybadać, czy Duńczyk nie wie czegoś, co pomogłoby w badaniach nad bombą.

Heisenberg twierdził, że ograniczał się do aluzji, ale zdradził Bohrowi, iż prace nad niemieckim programem atomowym

eprasa.pl f51a944834

Sztokholm 1933 r. Król Szwecji Gustaw wręcza Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki Wernerowi Heisenbergowi.

© BETTMANN ARCHIVE/GETTY IMAGES

trwają. Czy chciał go ostrzec? Taka informacja sama w sobie oznaczała zdradę tajemnicy państwowej. Wyraził też przekonanie, że „problem uranowy" może mieć swoje zastosowanie militarne, ale wymagałoby to ogromnych nakładów i technologii. Po latach relacjonował: „Moja odpowiedź przeraziła Bohra. Myślał widocznie, że chcę dać mu do zrozumienia, iż Niemcy zrobili duże postępy w budowie broni atomowej. Usiłowałem to sprostować, ale mi się nie udało". Heisenberg pisał, że Bohr przerwał rozmowę, zanim tak naprawdę zdążył wyjaśnić swoje intencje.

Heisenberg nigdy nie przestał tłumaczyć się ze swojej wycieczki do Kopenhagi. Ale im więcej wyjaśniał, tym bardziej mnożyły się wątpliwości. Kluczowe pytanie dotyczy jego motywacji. Dlaczego w ogóle chciał spotkać się z Bohrem? Czy tylko po to, aby przekonać dawnego mentora o swojej uczciwości? A może miał bardziej cyniczne intencje? Z drugiej strony być może to Bohr – biorąc pod uwagę jego niepewną sytuację – zrozumiał dawnego przyjaciela opacznie, biorąc wszystko, co powiedział, za złą monetę? Okazuje się, że jak w zasadzie nieoznaczoności, kiedy spotyka się dwoje ludzi, których par właściwości – w tym wypadku intencji i zamiarów – nie da się obiektywnie określić, rodzi się niepewność.

Faustowski pakt?

Po wojnie Heisenberg – a później jego żona i syn – konsekwentnie robili wszystko, aby zdjąć odium „człowieka, który budował Hitlerowi bombę". Przedstawiali go jako uczciwego naukowca, który musiał pracować dla zbrodniczego systemu i który absolutnie nie miał zamiaru doprowadzić projektu do końca. Tym samym tropem poszli również autorzy biografii niemieckiego uczonego. Thomas Powers w książce „Heisenberg's War" wprost odmalował znanego fizyka jako „dywersanta". Podobnie wielu naukowców, którzy utrzymywali kontakty z Heisenbergiem po 1945 r. zaręczało, że nawet jeśli wprost nie sabotował on projektu nazistowskiej bomby, to świadomie próbował jej nie zbudować.

A jaka była prawda? Zdaje się, że wola Heisenberga – bądź jej brak – nie odegrały większej roli. To czynniki obiektywne – brak pieniędzy oraz możliwości przemysłowych i technologicznych – uchroniły go przed dylematem, czy powinien dążyć do produkcji bomby, czy nie. Naziści nigdy nie potraktowali swojego programu atomowego na poważnie. Paradoksalnie to oni sami wręczyli Heisenbergowi żelazne alibi. Jego nieszczęście polegało na tym, że głęboko wierzył w czystość przedsięwzięcia naukowego, doskonałość niemieckich instytucji i wartość ich zachowania. Te przekonania pozwoliły mu utożsamić się z nazistowskimi Niemcami i usprawiedliwić przed samym sobą współpracę.

Po 1945 r. Heisenberg został na krótko zatrzymany i przesłuchany przez aliantów. Później stanął na czele Instytutu Maxa Plancka (dawnego Instytutu Cesarza Wilhelma), który pod jego kierownictwem stał się najbardziej prestiżowym ośrodkiem naukowym w Niemczech. Był szanowaną figurą – intelektualistą wygłaszającym wykłady o filozofii nauki. W 1957 r. podpisał manifest z Göttingen – deklarację sprzeciwu najwybitniejszych zachodnioniemieckich fizyków jądrowych z Republiki Federalnej Niemiec wobec sugerowanego przez rząd Konrada Adenauera uzbrojenia armii w taktyczną broń jądrową. Zmarł 1 lutego 1976 r.

Być może w ocenie motywacji Heisenberga brakuje jeszcze jednej – pozornie najprostszej – interpretacji. W chwili wybuchu wojny oczy wszystkich niemieckich uczonych, którzy zostali w kraju, zwrócone były właśnie na niego. Był laureatem Nobla. Twórcą teorii, która zmieniła obraz rzeczywistości. W grę wchodziła zawodowa duma, ambicja i pragnienie, aby dokonać czegoś, czego nikt wcześniej nie zrobił. Pracował nad bombą, bo nie mógł się oprzeć pokusie. Bo w tamtym czasie było to najbardziej ekscytujące zajęcie dla fizyka.

TOMASZ TARGAŃSKI

Bibliografia:

Carlo Rovelli „Helgoland"; Jim Holt „Idee, które zmieniły świat"; Richard Rhodes „Jak powstała bomba atomowa".

51 lat temu na łamach POLITYKI ukazała się rozmowa Zdzisława Wawrzyniaka z prof. Wernerem Heisenbergiem („Umieć zmieniać zdanie", nr 3 z 1975 r.), którą w całości przypominamy na s. 93.

eprasa.pl f51a944834

Z szacunkiem dla historii

Fundacja ORLEN wesprze remont zabytkowej willi w warszawskim ZOO, w której bohaterska rodzina Żabińskich ukrywała Żydów w czasie drugiej wojny światowej.

W samym centrum Miejskiego Ogrodu Zoologicznego w Warszawie stoi dom o niezwykłej historii. Willa Żabińskich, chociaż wydaje się skromna i niepozorna, jest jednym z najbardziej przejmujących świadectw wojennej Warszawy. Dziś budynek ten wymaga prac, które pozwolą mu przetrwać kolejne lata bez utraty swojego charakteru. Fundacja ORLEN przekaże 1 mln zł na termomodernizację Willi Żabińskich, łącząc ochronę materialnego dziedzictwa z nowoczesnymi standardami efektywności energetycznej. – To działanie wpisuje się w długofalowe podejście Fundacji do odpowiedzialnego i zrównoważonego rozwoju, w którym historia i środowisko nie stoją wobec siebie w opozycji, lecz wzajemnie się uzupełniają. Ta inwestycja ma szczególny charakter, bo dotyczy miejsca będącego symbolem odwagi, niezłomności, bezinteresownej troski o innych. To wartości szczególnie bliskie misji Fundacji ORLEN – mówi Jacek Mazurczak, dyrektor Biura Relacji z Otoczeniem ORLEN.

Termomodernizacja Willi Żabińskich jest realizowana wspólnie przez Miejski Ogród Zoologiczny im. Antoniny i Jana Żabińskich, Urząd Miasta Stołecznego Warszawy i Fundację ORLEN. – Cieszymy się, że tę inwestycję przeprowadzamy razem z samorządowcami, bo to oni każdego dnia zmieniają nasz kraj. Warto dodać, że ten projekt wpisuje się w miejską strategię obniżenia emisji dwutlenku węgla. W ramach partnerstwa każda ze stron wnosi swoje kompetencje: Fundacja przeznacza 1 mln zł wsparcia, a miasto zapewnia wiedzę konserwatorską, wsparcie formalne i pozostałe finansowanie – podkreśla Jacek Mazurczak, dyrektor Biura Relacji z Otoczeniem ORLEN.

Remont zostanie wykonany z poszanowaniem zabytkowego charakteru, przy jednoczesnym zastosowaniu energooszczędnych technologii, które obniżą zużycie energii i zwiększą odporność budynku na zmieniające się warunki klimatyczne. W ramach termomodernizacji ocieplone zostaną stropy, a dach zyska nową izolację. Zainstalowane będą energooszczędne okna. Źródłem ciepła staną się wysokoefektywne gruntowe pompy ciepła, używane zimą do ogrzewania, a latem do chłodzenia w oszczędny sposób. Dodatkowo w budynku zostanie zainstalowana wentylacja mechaniczna z odzyskiem ciepła, co zapewni odpowiedni poziom wilgotności.

Informacja o inwestycji została nieprzypadkowo przekazana 10 stycznia – w Dniu Obniżania Kosztów Energii, który Fundacja ORLEN wykorzystuje do podkreślenia, że świadome wybory inwestycyjne są jedną z najskuteczniejszych form troski o środowisko. Obecnie powstaje projekt termomodernizacji willi. Prace ruszą na przełomie tego i przyszłego roku. Cel to ukończenie inwestycji na jubileusz setnej rocznicy założenia Miejskiego Ogrodu Zoologicznego, który będzie obchodzony w 2028 r.

Willa Żabińskich została zbudowana jako mieszkanie służbowe w 1931 r. Nazywano ją Willą pod Zwariowaną Gwiazdą. Zamieszkał w niej pierwszy dyrektor warszawskiego ZOO Jan Żabiński (tworzący tę instytucję od 1929 r.) wraz z żoną Antoniną i synem Ryszardem. W 1944 r. rodzina powiększyła się o córkę Tereskę. W czasie wojny w willi i jej piwnicach państwo Żabińscy ukrywali łącznie kilkuset Żydów, którym udało się wydostać z warszawskiego getta. Część z nich trafiła do wilii

Jacek Mazurczak, dyrektor Biura Relacji z Otoczeniem w ORLEN.

eprasa.pl f51a944834

Willa Żabińskich

dzięki samemu dyrektorowi Żabińskiego, który miał przepustkę pozwalającą na wstęp do getta. Pretekstem było poszukiwanie odpadów do karmienia świń, które wówczas były hodowane na terenie ogrodu zoologicznego, poważnie zniszczonego podczas bombardowań we wrześniu 1939 r. Sama willa w tym czasie nie ucierpiała.

Mury willi stały się świadkami odwagi, człowieczeństwa i próby walki z nieludzkim systemem. „Ryzykowałem i dałem schronienie nie dlatego, że byli Żydami, lecz dlatego, że byli prześladowani. Gdyby prześladowani byli Niemcy, postępowałbym tak samo. Mowa bowiem o ludziach, którzy zostali skazani, choć niczego złego nie zrobili. To było przerażające. Moim ludzkim obowiązkiem było im pomóc. Zwyczajna przyzwoitość" – wspominał po wojnie Jan Żabiński. On i jego żona Antonina zostali w 1965 r. uhonorowani medalami Sprawiedliwy wśród Narodów Świata przez Instytut Yad Vashem.

Jan Żabiński przez całą wojnę wykładał na tajnych kompletach i prowadził działalność konspiracyjną, wykorzystując do tego teren ogrodu zoologicznego. To tam ukrywano np. materiały wybuchowe i hodowano pasożyty wykorzystywane do zatruwania dań serwowanych w lokalach dla Niemców. Dyrektor Żabiński w 1944 r. walczył w powstaniu warszawskim, w którym został ciężko ranny. Po wojnie wrócił do stolicy i zajął się odbudową ZOO. Niestety w 1951 r. musiał opuścić stanowisko dyrektora z powodów politycznych. Jako wcześniejszy żołnierz Armii Krajowej nie był mile widziany przez komunistyczne władze.

Budynek wilii nie został zniszczony podczas działań wojennych i do dziś wprowadzono w nim tylko niewielkie zmiany. Otacza go ogród w stylu francuskim, gdzie rośnie drzewo zasadzone przez dyrektora Żabińskiego – przepiękny okaz miłorzębu. Willa pełni dziś funkcje edukacyjne i muzealne. W pokojach budynku, który można zwiedzać z przewodnikiem (w dni powszednie oraz – bez konieczności rezerwacji – w pierwszą i drugą niedzielę miesiąca), została przywrócona atmosfera lat 30. ubiegłego wieku. W jednym z pomieszczeń znajdują się liczne okazy owadów. Są to bezcenne zbiory Szymona Tenenbauma – światowej sławy entomologa, który w 1940 r. został wraz z rodziną zamknięty w warszawskim getcie. Całą swoją kolekcję, liczącą około pół miliona okazów bezkręgowców, zdążył powierzyć na przechowanie swojemu przyjacielowi Janowi Żabińskiemu. Dyrektor ZOO brawurową akcją zdołał wyprowadzić z getta i ukryć po aryjskiej stronie żonę Szymona Tenenbauma. Niestety sam profesor zmarł w getcie w 1941 r.

W salonie willi stoi fortepian. W sytuacjach zbliżającego się zagrożenia (np. pojawiających się na terenie ogrodu niemieckich żołnierzy) Antonina Żabińska siadała przy instrumencie i grała różne utwory, których dobór przekazywał określone informacje. Najczęściej był to sygnał, że należy się ukryć. Na ścianach piwnic willi widnieją nazwiska wielu uciekinierów z getta, którzy znaleźli tu schronienie. Z piwnicy podziemny tunel prowadził na zewnątrz budynku. To właśnie tą drogą ukrywający się mogli wydostać się poza willę, by schronić się wśród zarośli między ptasimi wolierami.

W podziemiach można zobaczyć też salkę pamięci Magdaleny Gross, która spędzała długie godziny, rzeźbiąc z gliny zwierzęcych mieszkańców ogrodu zoologicznego. Są tu liczne zdjęcia prac Magdaleny Gross i odlew rzeźby przedstawiającej Tuzinkę – słoniczkę urodzoną w 1937 r., ulubienicę nie tylko rzeźbiarki, ale i wszystkich mieszkańców przedwojennej Warszawy. W piwnicach emitowane są dwa filmy – jeden przedstawia tętniącą życiem przedwojenną dzielnicę żydowską, a drugi opowieści Jana i Antoniny Żabińskich o ich działalności podczas okupacji, gdy wykazali się bezinteresownym i niezłomnym bohaterstwem w najtrudniejszych czasach, w jakich przyszło żyć ludziom.

Partnerem publikacji jest ORLEN ART&SCIENCE

eprasa.pl f51a944834

Miejski obłęd

Naukowcy ostrzegają, że życie w mieście ma swoją cenę – i coraz częściej płacimy ją zdrowiem psychicznym.

KAMIL NADOLSKI

Jeszcze na początku XIX w. w miastach mieszkało zaledwie 6 proc. ludności świata. Dziś, jak raportuje ONZ, przekroczyliśmy punkt krytyczny – ponad połowa ludzi to mieszkańcy terenów zurbanizowanych. Odsetek ten wzrośnie do 70 proc. do 2050 r. Z perspektywy ewolucyjnej to mgnienie oka, zbyt krótkie, by nasza biologia zdążyła się zaadaptować.

Mózg człowieka, przystosowany do działania w niewielkich grupach i reagowania na konkretne zagrożenia w naturze, w nowoczesnej metropolii znajduje się w stanie ciągłego oblężenia. Dziś medycyna dysponuje twardymi dowodami na to, że życie w mieście fizycznie zmienia strukturę i funkcjonowanie ludzkiego mózgu, czyniąc go podatniejszym na dysfunkcje.

– *Nasze mózgi w środowisku miejskim uruchamiają odmienny wzorzec aktywności poszczególnych struktur niż podczas kontaktu ze środowiskiem naturalnym. Na określenie tego rodzaju adaptacji do życia w mieście wprowadzono termin „urban brain”* – mówi dr hab. Sławomir Murawiec, psychiatra i psychoterapeuta z ponad 20-letnim doświadczeniem.

Przez lata psychiatrzy jedynie podejrzewali, że „wielkomiejski spleen” to coś więcej niż zmęczenie korkami czy hałasem. Brakowało jednak twardego dowodu. Przełom nastąpił, gdy międzynarodowy zespół naukowców postanowił zajrzeć w głąb czaszek mieszkańców metropolii za pomocą rezonansu magnetycznego (fMRI). Mowa o badaniu, którego wyniki opublikowano w 2011 r. na łamach „Nature”. Zespół pod kierunkiem prof. Andreasa Meyer-Lindenberga z uniwersytetu w Heidelbergu przeprowadził eksperyment, który obnażył bezbronność naszych neuronów.

Ochotników poddano tzw. stresowi społecznemu. Leżąc w skanerze fMRI, musieli rozwiązywać skomplikowane zadania matematyczne, poganiani i krytykowani przez personel. To symulacja sytuacji, w której czujemy, że tracimy kontrolę i jesteśmy oceniani – codzienność w korporacji czy tłumie. U osób mieszkających w mieście w odpowiedzi na stres gwałtownie aktywowało się ciało migdałowate. To pierwotna struktura mózgu odpowiadająca za wykrywanie zagrożeń i generowanie lęku. U badanych z miasta okazała się nadwrażliwa, wszczynając alarm znacznie łatwiej niż u osób ze wsi.

Jeszcze bardziej niepokojące zjawisko zaobserwowano u osób, które w mieście spędziły dzieciństwo i okres dorastania. U nich zmiany dotyczyły przedniej części zakrętu obręczy (pACC), odpowiedzialnej za regulację emocji i hamowanie reakcji stresowej. Badanie wykazało, że miejskie dzieciństwo trwale zmienia komunikację między tą strefą a ciałem migdałowatym. Bezpiecznik, który powinien wyłączać lęk, działa gorzej.

W latach 2022–23 naukowcy z berlińskiego Uniwersytetu Humboldtów i z kliniki Charité przyjrzeli się temu zjawisku w szerszej skali. Potwierdzili, że dorastanie w środowisku miejskim jest niezależnym, potężnym czynnikiem ryzyka nie tylko zaburzeń lękowych, lecz także schizofrenii. Zauważyli, że nie wynika to z samej gęstości zabudowy, ale z tzw. stresu społecznego. Anonimowość tłumu paradoksalnie idzie w parze z poczuciem bycia nieustannie obserwowanym i ocenianym, co dla mózgu stanowi sygnał ciągłego zagrożenia. Układ nerwowy, bombardowany tymi sygnałami przez lata, w końcu ulega przebodźcowaniu, a stąd już tylko krok do poważnych dysfunkcji psychicznych.

Temat wpływu urbanizacji na zdrowie psychiczne był w ostatnich latach szeroko dyskutowany w ramach Europejskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, m.in. w 2025 r. podczas kongresów i w publikacjach eksperckich, w których uczestniczył prof. Błażej Misiak z Katedry i Kliniki Psychiatrii Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu. – *U pacjentów wychowanych w dużych miastach częściej obserwuję pierwsze epizody psychozy, zaburzenia afektywne z objawami psychotycznymi, zaburzenia lękowe i problemy związane ze stresem, presją edukacyjną i zawodową czy sytuacją mieszkaniową. Różnice wynikają nie tylko z samej „miejskiej ekspozycji”, lecz z całego pakietu czynników: zasobów, stresorów, kultury i dostępności opieki* – uważa badacz.

eprasa.pl f51a944834

© OSCITY/SHUTTERSTOCK

W literaturze coraz częściej pojawia się pojęcie *urbanome*, termin analogiczny do genomu, oznaczający kompletny zestaw czynników miejskich, które oddziałują na człowieka. Eksperci zauważają, że to nie sam hałas, nie sam smog i nie samo zagęszczenie ludności niszczą naszą psychikę. Problemem jest ich synergia. Urbanome to skomplikowana sieć powiązań, w której brak zieleni wzmacnia stres wywołany hałasem, a zanieczyszczenie powietrza osłabia bariery ochronne mózgu, czyniąc go bardziej podatnym na społeczną izolację.

Metaanalizy badań epidemiologicznych sugerują wzrost ryzyka depresji i zaburzeń lękowych w gęsto zaludnionych obszarach miejskich o 39 proc. Miasto uwypukla nierówności społeczne. To w dzielnicach o gorszej infrastrukturze, pozbawionych parków i narażonych na hałas komunikacyjny, urbanome wykazuje najwyższą toksyczność. Psychiatrzy argumentują, że w obliczu nieuchronnej urbanizacji planowanie przestrzenne przestaje być domeną architektów, a staje się kwestią zdrowia publicznego. Musimy zacząć projektować miasta z uwzględnieniem ich wpływu na układ nerwowy. A nie jest to proces intuicyjny, jak się okazuje.

W 2021 r. zespół holenderskich naukowców pod kierunkiem Junusa van der Wala przeanalizował dane ze 191 krajów, szukając wzorców w występowaniu zaburzeń psychicznych. Wyniki okazały się zaskakujące – związek między urbanizacją a wyższym rozpowszechnieniem powszechnych zaburzeń psychicznych jest nieliniowy. Niekoniecznie im większe miasto, tym gorsze zdrowie psychiczne mieszkańców – niektóre poziomy urbanizacji niosą większe ryzyko niż inne. To odkrycie podważa proste rozumowanie „wieś dobra, miasto złe" i wskazuje, że diabeł tkwi w złożoności miejskiego środowiska. Na przykład gdy mówimy o stresie miejskim, najczęściej myślimy o pośpiechu i tłoku. Ma on jednak również bardziej namacalny wymiar. Smog i hałas to nie tylko uciążliwość, to neurotoksyny.

Jeszcze do niedawna wpływ zanieczyszczeń powietrza łączono głównie z chorobami płuc i serca. Ten paradygmat zmieniły badania opublikowane w 2023 r., w tym głośna praca zespołu pod kierunkiem Teng Yanga. Naukowcy przeanalizowali dane z UK Biobank, gigantycznej bazy medycznej obejmującej pół miliona osób. Wyniki opublikowane na łamach „JAMA Psychiatry" są alarmujące: długotrwała ekspozycja na pyły zawieszone PM2.5, nawet przy stosunkowo niskich stężeniach, jest mocno skorelowana ze wzrostem ryzyka wystąpienia depresji i stanów lękowych.

Mechanizm tego zjawiska jest już znany. Cząsteczki PM2.5 są tak małe, że po dostaniu się do płuc mogą przenikać do krwiobiegu, a stamtąd pokonywać barierę krew-mózg. W rezultacie dochodzi do neuroinflamacji, przewlekłego stanu zapalnego mózgu. Obecność toksycznych cząsteczek zaburza produkcję neuroprzekaźników i niszczy połączenia nerwowe.

Groźny jest też hałas. W miastach cisza stała się towarem luksusowym, a nasz mózg nigdy w pełni nie odpoczywa. Potwierdzają to duńskie badania kohortowe, które uchodzą za jedne z najbardziej precyzyjnych na świecie. Dr Manuella Lech Cantuaria z Uniwersytetu Południowej Danii w analizach opublikowanych w „British Medical Journal" wykazała bezpośredni związek między hałasem komunikacyjnym a demencją. Badania aktualizowane w 2023 r. dowodzą, że osoby mieszkające w pobliżu ruchliwych dróg i torów kolejowych są znacznie bardziej narażone na rozwój choroby Alzheimera i otępienia naczyniowego. Hałas działa podstępnie – nawet jeśli nam się wydaje, że przywykliśmy do dźwięków miasta, nasz mózg wciąż je rejestruje, wyzwalając hormony stresu (głównie kortyzol). To z kolei spłyca sen i zaburza nocny proces „czyszczenia" mózgu z toksyn metabolicznych.

Czy musimy zatem przeprowadzać się na wieś, by ratować zdrowie psychiczne? Odpowiedź naukowców jest przecząca. Miasto nie musi być wrogiem, jeśli przestaniemy traktować zieleń jako element dekoracyjny, a uznamy ją za kluczową infrastrukturę medyczną. W globalnej debacie o zdrowiu psychicznym pojawił się konkretny wzór matematyczny na uzdrowienie metropolii.

Koncepcja znana jako „3-30-300" została sformułowana przez prof. Cecila Konijnendijka z Nature Based Solutions Institute. To prosty algorytm urbanistyczny: każdy mieszkaniec powinien widzieć ze swojego okna przynajmniej trzy drzewa, każda dzielnica powinna być zazieleniona na minimum 30 proc. powierzchni, a każdy obywatel powinien mieć nie więcej niż 300 m do najbliższego parku lub terenu rekreacyjnego.

Przez pewien czas była to jedynie atrakcyjna teoria, jednak w 2023 r. zyskała zdecydowane potwierdzenie empiryczne. Zespół naukowców z Instytutu Zdrowia Globalnego w Barcelonie (ISGlobal) pod kierownictwem dr. Marka Nieuwenhuijsena postanowił sprawdzić, czy ta „zielona formuła" faktycznie działa na ludzki mózg. Badanie na próbie ponad 3 tys. mieszkańców Barcelony dostarczyło silnych przesłanek empirycznych: osoby, których miejsce zamieszkania spełniało wszystkie trzy warunki reguły, wykazywały zdecydowanie lepszą kondycję psychiczną.

Co jeszcze możemy zrobić? – *Włączyć zieloną infrastrukturę miejską do systemu ochrony i promocji zdrowia* – zachęca dr inż. Agnieszka Olszewska-Guizzo, architektka krajobrazu i przewodnicząca organizacji pozarządowej NeuroLandscape zajmującej się naukowym badaniem wpływu środowiska na zdrowie psychiczne. – *Ten postulat jest obecny już od czasów rewolucji przemysłowej, ale dopiero teraz zaczyna być wdrażany do polityki miejskiej* – tłumaczy ekspertka. Proces urbanizacji jest globalny, stabilny i trudny do odwrócenia. Nie uciekniemy z miast. Możemy jednak sprawić, że przestaną „chorować" i przenosić ten stan na swoich mieszkańców. ■

eprasa.pl f51a944834

Jacek Kuroń na spotkaniu z uczniami Liceum Bednarska w Warszawie, 1990 r.

Ćwiczenia z uczenia

O pierwszych szkołach niepublicznych w III RP, ich założycielach i wpływie na oświatę opowiada dr Marcin Rozmarynowski, historyk edukacji.

eprasa.pl f51a944834

JOANNA CIEŚLA: – **Po co w początkach transformacji w Polsce zakładano pierwsze szkoły niepubliczne?**

MARCIN ROZMARYNOWSKI: – Żeby cała oświata – i nie tylko ona – była lepsza niż wcześniej. Projekt badawczy, który miałem przyjemność koordynować, poświęcony historii szkół powstałych w latach 1989–95 oraz ich twórcom, zatytułowaliśmy „Dlaczego chcieliśmy zmieniać świat?".

To dość wysoki diapazon.

Tak może się wydawać. Ale to hasło – w świetle naszych badań – oddaje początkowe motywacje większości założycieli. Anna Jeziorna z Krakowa, która walczyła w sądzie z Ministerstwem Edukacji o możliwość założenia niepaństwowej placówki edukacyjnej, chciała po prostu innej, dobrej szkoły dla swoich dzieci. To właśnie wygrana tej działaczki w Naczelnym Sądzie Administracyjnym w lutym 1989 r. umożliwiła tworzenie szkół niepublicznych. W roku szkolnym 1989/90 działały już 32 takie szkoły podstawowe i licea, rok później było ich prawie 180, a pod koniec badanego przez nas okresu ponad 500.

W raporcie z badania przeczytałam, że warszawskie obecne 2. Społeczne Liceum Ogólnokształcące STO powstało po tym, jak Krystyna Starczewska, założycielka słynnego Liceum Bednarska, zwróciła się do współpracowników z apelem o otwarcie kolejnej szkoły, bo Bednarska nie była w stanie przyjąć zgłaszających się tłumów chętnych.

No właśnie. Entuzjazm, który towarzyszył powstawaniu nowych, niezależnych szkół, szybko nabrał wymiaru społecznego ruchu na rzecz podmiotowości w edukacji. Środowiskom, które tworzyły pierwsze szkoły, zależało na rozwijaniu umiejętności i wiedzy dzieci. Ale główne założenia były takie, żeby uczyć zgodnie z wartościami demokratycznymi – w przyjaznej atmosferze skupienia na uczniu i indywidualizacji, bez anonimowości, odchodząc od hierarchii i barier. Niekiedy wyrażało się to np. w przechodzeniu z uczniami na ty, co wcześniej było nie do pomyślenia i zresztą mnie akurat do dziś wydaje się kontrowersyjne.

Pewna bariera jednak była, i to bardzo konkretna – czesne. Czy pierwsze szkoły niepubliczne były drogie?

Pieniądze niewątpliwie stanowiły barierę. Ale wysokość opłat i podejście do nich od początku były zróżnicowane. Czesne miało przede wszystkim charakter „funkcjonalny" – chodziło o to, żeby szkoła mogła działać, opłacić lokal, rachunki, podstawowe materiały i wynagrodzenia. W realiach początku lat 90., przy bardzo dużej niestabilności wartości pieniądza, trudno było myśleć o opłatach w kategoriach stałych, przewidywalnych stawek. Warto też podkreślić, że w pierwszych latach szkoły nie miały jeszcze stabilnego wsparcia publicznego, więc wiele rozwiązań wypracowywano na bieżąco. Często oznaczało to rozmowy i wspólne ustalanie zasad z rodzicami, w zależności od możliwości rodzin i sytuacji szkół.

Krystyna Starczewska, założycielka Liceum Bednarska

Ale w całości trzeba było utrzymać je z czesnego?

Zdarzały się darowizny czy akcje wsparcia lokalnych przedsiębiorców albo osób prywatnych. Dyrektorzy próbowali pozyskiwać kredyty. Jednak część placówek, na przykład I Szkoła Podstawowa STO w Gdańsku, opierała się na dowolnych składkach. Założycielka tej szkoły prof. Maria Mendel w wywiadzie w ramach naszego projektu opowiedziała o zbieraniu pieniędzy do słoika ustawionego na szkolnym korytarzu. Co ciekawe, przekazywane w ten sposób kwoty nie tylko wystarczały, ale czasem też przewyższały koszty bieżącego funkcjonowania placówki. Powszechne było to, że część zespołów nauczycielskich, w tym założyciele, przez wiele miesięcy pracowała wolontaryjnie. Szkół nie było stać na lokale z prawdziwego zdarzenia. Działały w salkach przyparafialnych, częściach internatów albo – w komfortowym wariancie – w pomieszczeniach udostępnianych przez szkoły wyższe. Bardzo często zajęcia odbywały się też w prywatnych mieszkaniach albo domach założycieli. Z czasem ▶

© JACEK KUCHARCZYK / FORUM, PIOTR WOJCIK/AGENCJA WYBORCZA

REKLAMA

PRZEKAŻ 1,5% PODATKU
FUNDACJI TYGODNIKA POLITYKA
KRS 0000104137

Fundacja Tygodnika POLITYKA wspiera następujące przedsięwzięcia:
PASZPORTY POLITYKI
NAGRODY NAUKOWE POLITYKI
NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI im. Mariana Turskiego
NAGRODA ARCHITEKTONICZNA POLITYKI
pulsar

eprasa.pl f51a944834

▶ państwo przyznało szkołom niepublicznym dotację w wysokości do 50 proc. kosztów przeznaczonych na ucznia w szkole publicznej, później ona wzrosła. To znacząco poszerzyło możliwości działania szkół i przyjmowania uczniów.

Wśród pierwszych twórców szkół niepublicznych byli rodzice, nauczyciele i akademicy, niedawni działacze opozycji PRL. Ale pan dostrzegł innego rodzaju podział tej grupy.

Na podstawie przeprowadzonych przez nas wywiadów zauważyłem kilka wspólnych mianowników w logice działania i głównych motywacjach tych osób. Jedną z wyodrębnionych w ten sposób podgrup nazwałem Architektami Wspólnoty. Szkoła była dla nich aktem działania obywatelskiego, przedłużeniem etosu Solidarności, a ich motywem przewodnim – sprawczość obywatelska. Druga grupa to Reformatorzy Pedagogiczni, dążący do praktycznego stosowania własnych koncepcji lub założeń inspirowanych ideami np. Marii Montessori. Trzeci krąg to Pragmatycy Jakości, skupieni na poprawie metod nauczania i oddziaływań wychowawczych, na dążeniu do dydaktycznego profesjonalizmu. Wreszcie czwartą kategorię nazwałem Opiekunami Tożsamości. Budowali szkoły o wyraźnym profilu wychowawczym, etycznym lub światopoglądowym – religijnym albo patriotycznym.

Która z tych podgrup była najliczniejsza?

Pragmatycy Jakości, dla których dobra szkoła była dobrem wspólnym, które trzeba tworzyć nie przez rewolucję, lecz przez budowę określonych standardów, tak żeby zapewnić jej trwałość i dobrą stabilną jakość.

Dlaczego realizował pan ten projekt właśnie teraz, w ostatnich miesiącach?

Inicjatywa wyszła od prezeski Stowarzyszenia Dobra Edukacja i założycielki bardzo wielu szkół pod tym szyldem, byłej minister edukacji narodowej Katarzyny Hall. Zwróciła się do mnie w tej sprawie w 2023 r., kiedy dotarła do niej wiadomość o śmierci Witolda Gromadzkiego, twórcy Liceum Ogólnokształcącego Fundacji EKOS w Swarzędzu i jednej z najważniejszych postaci niepublicznej edukacji. Uświadomiliśmy sobie, że pierwsi liderzy zaczynają odchodzić, a wiele doświadczeń i informacji o tamtym okresie nie zostało dotychczas przekazanych dalej. A przecież są cenne – i ze względu na pełen obraz historii polskiego społeczeństwa, i dlatego że pozwalają lepiej rozumieć teraźniejszość, co dla mnie jako historyka jest ogromnie ważne. Wierzę, że cyfrowe archiwum wywiadów przeprowadzonych w ramach naszego projektu będzie dużą wartością dla kolejnych badaczy i nauczycieli.

Czy same szkoły wystarczająco dbają o pamięć o swoich początkach i relacje z kolejnymi rocznikami absolwentów? Spotkałam się z opinią, że przydałoby się większe zaangażowanie w tworzenie takich społeczności. Byli uczniowie i uczennice często dobrze radzą sobie w życiu, chętnie wspieraliby macierzyste placówki, ale narzędzia nie są wystarczające. W wielu szkołach nie ma np. stowarzyszeń, takich jak działające przy niepublicznych szkołach brytyjskich.

Porównując tę sytuację do niepublicznych szkół anglosaskich, musimy pamiętać, że tamte placówki mają zazwyczaj wielokrotnie dłuższą historię niż nawet najstarsze z polskich. Moim zdaniem jednak przynajmniej część szkół, które powstawały właśnie na początku lat 90., stara się współpracować i budować relacje z absolwentami. Na przykład Gdańskie Liceum Autonomiczne organizuje zjazdy absolwentów. Jednocześnie wiele młodszych placówek niepublicznych dopiero znajduje się na etapie tworzenia takiego środowiska, ponieważ ich grono absolwentów jest jeszcze stosunkowo nieliczne. Dotyczy to także Liceum Akademii Dobrej Edukacji w Gdańsku, w którym sam pracuję i które kończy co roku ok. 25 osób. Z naszego badania wynika jednak, że relatywnie wielu absolwentów wraca do swoich placówek, by zapisać do nich własne dzieci albo w roli nauczycieli czy psychologów. Byli uczniowie szkół niepublicznych, z którymi rozmawiałem, często podkreślają, że czas edukacji był dla nich bardzo wartościowy. Że czuli się widziani, słyszani, że mieli zbudowane relacje zaufania z nauczycielami, swoimi mentorami. Zresztą czasem przez to przeżywają rozczarowanie, zaczynając naukę na uniwersytetach. Nagle stają się anonimowi, dziwią się, gdy w trakcie wykładu nie można na bieżąco o coś spytać, że trzeba bezdyskusyjnie podporządkowywać się oczekiwaniom prowadzących zajęcia.

Takie opowieści zmieniają państwa myślenie o swojej pracy?

Nie. Uważam, że jeżeli możemy stworzyć dla młodych ludzi chociaż kilkuletni okres, w którym czują się rozumiani i rozwijają się, będąc jednocześnie szczęśliwi, to nie powinniśmy z tego zrezygnować w imię jakiegoś „przystosowywania do brutalności świata".

Dr **Marcin Rozmarynowski** – historyk edukacji związany z Uniwersytetem Gdańskim, dyrektor Akademii Dobrej Edukacji im. Macieja Płażyńskiego w Gdańsku. Projekt „Dlaczego chcieliśmy zmieniać świat? Historie twórców szkół z lat 1989–1995", którego był koordynatorem, obejmował przeprowadzenie kilkudziesięciu wywiadów z założycielami, dyrektorami i nauczycielami najstarszych szkół niepublicznych w Polsce. Projekt został zrealizowany przy wsparciu finansowym Fundacji PZU.

Ale umacnia się wyobrażenie, że szkoły niepubliczne są dla wybrańców.

Moim zdaniem mamy szerszy problem z nieadekwatnością obrazu całego tego sektora: że na szkoły społeczne czy prywatne mogą sobie pozwolić tylko rodzice z klasy średniej albo wyższej, a dyrektorzy traktują te placówki jako swego rodzaju model biznesowy. Takie zjawiska owszem występują, ale to tylko część tego wielkiego obszaru.

Większa czy mniejsza?

Nie potrafię tego precyzyjnie określić. Szkoły niepubliczne, których dziś działa w Polsce kilka tysięcy, są i będą bardzo różne. Tak samo jak publiczne. Część niepublicznych rzeczywiście bywa postrzegana jako elitarna, czy to ze względu na wysokie wymagania, czy wysokość czesnego. Ale w badanych przeze mnie szkołach wciąż najważniejsze było poczucie misji edukacyjnej, nastawienie na budowanie podmiotowości młodych ludzi oraz na wprowadzanie innowacji pedagogicznych. Liczne szkoły prowadzą też różnorakie programy stypendialne dla uczniów lub potencjalnych uczniów, których rodzin nie stać na pokrycie pełnych opłat. Jednocześnie wiele z tych szkół, podobnie jak ponad 30 lat temu, zmaga się z problemami lokalowymi.

W jaki sposób szkoły niepubliczne zmieniały polską edukację?

Na pewno od lat przejmują część odpowiedzialności przypisywanej oświacie publicznej.

eprasa.pl f51a944834

Egzamin maturalny w Liceum Autonomicznym w Gdańsku, 2015 r.

Przecież status niepublicznych mają też tzw. szkoły stowarzyszeniowe – prowadzone przez lokalne społeczności w małych gminach, którym w budżecie trudno znaleźć środki na prowadzenie na miejscu podstawówki dla np. kilkudziesięciorga dzieci. Szkoły społeczne czy prywatne przynoszą też realne korzyści nie tylko uczniom, którzy w nich się kształcą, i ich rodzicom. To właśnie w tym sektorze często rodzą się nowe metody pracy z uczniem, autorskie programy czy rozwiązania wspierające dobrostan dzieci i nastolatków. Szkoły niepubliczne mają większą możliwość testowania takich praktyk i szybkiego reagowania na zmieniające się potrzeby. Wiele rozwiązań, jak oceny opisowe czy praca projektowa, wypracowanych w takich placówkach jest z czasem włączanych do szkół publicznych. Jednocześnie placówki niepubliczne poszerzają realną wolność wyboru obywateli. Jest to szczególnie wyraźne na poziomie szkół średnich, kiedy rodzice uczniów ze specjalnymi potrzebami mają czasami trudność, aby znaleźć publiczne liceum czy technikum dopasowane do możliwości ich syna czy córki.

Myśli pan o przyszłości szkół niepublicznych w Polsce raczej z optymizmem czy z niepokojem?

Mam obawy. W głównej mierze właśnie dlatego, że w obecnych dyskusjach umiejscawia się edukację niepubliczną w swego rodzaju opozycji do szkół publicznych i do potrzeb samorządowych. Kontekstem jest głównie niż demograficzny. Szkoły niepubliczne bywają postrzegane jako konkurencja w walce o malejące roczniki uczniów. Bardzo bym nie chciał, aby na tym tle dochodziło do konfliktów. Zwłaszcza że w wielu miejscach przez lata relacje między szkołami publicznymi i niepublicznymi układały się dobrze. Placówki współpracowały np. przy organizacji szkolnych festiwali i lokalnych uroczystości. Warto, żebyśmy teraz jeszcze więcej ze sobą rozmawiali, bo mam głębokie przekonanie, że nasze dwa sektory mogą się nadal świetnie uzupełniać i inspirować.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA

© MP, MACIEJ KOSYCARZ/KFP

REKLAMA

NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI im. MARIANA TURSKIEGO

Za książki o najnowszej historii Polski wydane w 2025 roku

• prace naukowe
• popularnonaukowe
• źródła • pamiętniki
• debiuty w pracach naukowych i popularnonaukowych

Zapraszamy wydawnictwa, instytucje naukowe i autorów do zgłaszania książek na adres: **nh@polityka.pl**

Prosimy o przesyłanie po 2 egzemplarze każdej zgłoszonej pozycji na adres redakcji:
Tygodnik POLITYKA, ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa,
z dopiskiem Nagrody Historyczne Polityki.

Regulamin na **www.polityka.pl/nagrodyhistoryczne**

Na zgłoszenia czekamy
do 30 stycznia 2026 r.

Mecenas Nagród Historycznych POLITYKI:

Dantex

zaks sprzyjamy wyobraźni

ABUR Systemy automatyki

eprasa.pl f51a944834

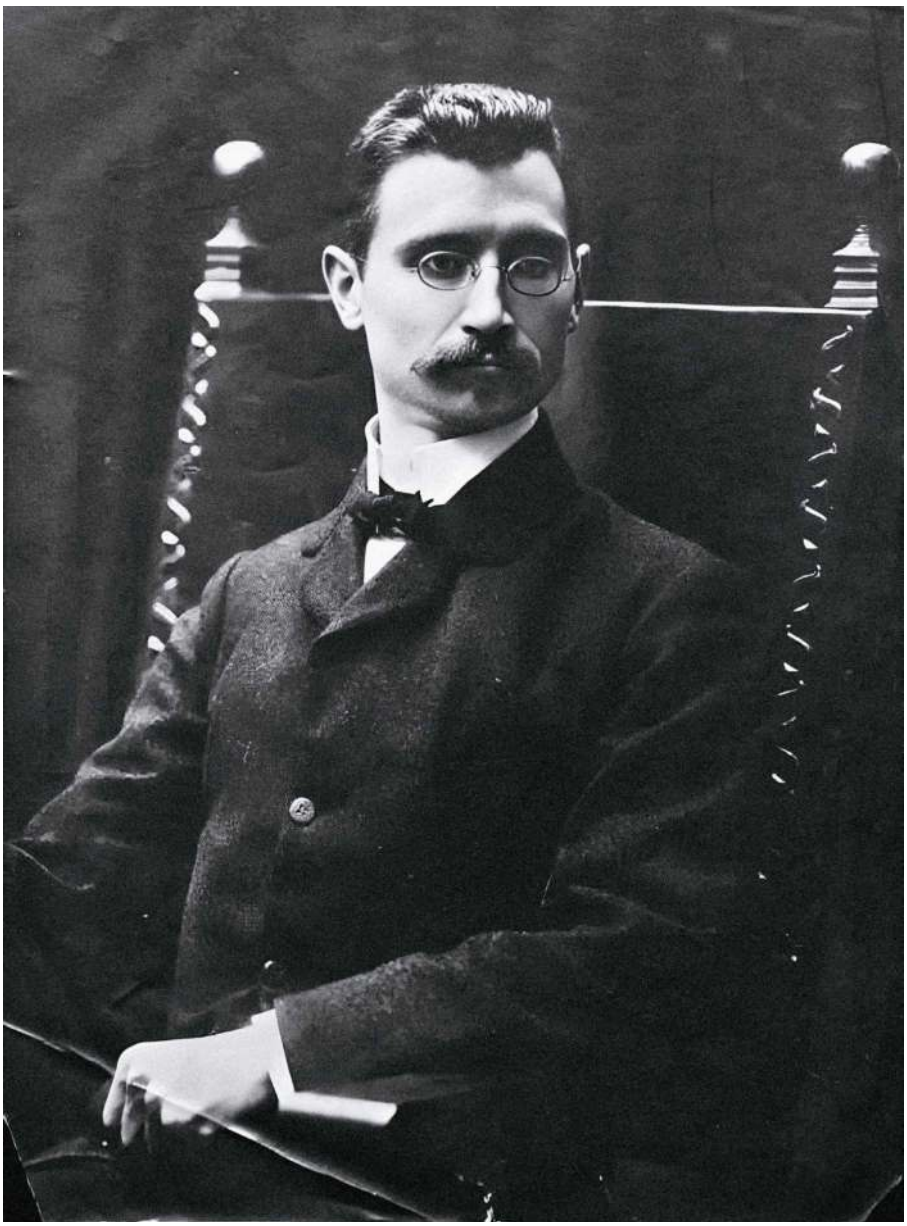

Romuald Traugutt, dyktator powstania styczniowego

Kod Traugutta

TOMASZ CZAPLA

Powstańcy, którzy w styczniu ponad 160 lat temu podjęli walkę z Rosją, szyfrowali swoją korespondencję. Udało się ją odczytać po latach dzięki złamaniu szyfru Romualda Traugutta. Dokonał tego kryptolog Jan Kowalewski, który podczas wojny polsko-bolszewickiej zatrzymał Armię Czerwoną.

Fenomenem powstania styczniowego było zorganizowanie tajnego państwa; powołano polską administrację, rząd, urzędników, pobierano podatki na rzecz powstania, działały policja tropiąca zdrajców i sądy. Oznaczało to wydawanie masy dokumentów, które szyfrowano. Ich treść pozostała nieznana przez blisko 100 lat. Tzw. szyfr Traugutta złamał kryptolog z najwyższej półki, gen. Jan Kowalewski, człowiek, który zatrzymał sowiecką Rosję, stojąc na czele polskiego radiowywiadu w trakcie wojny z bolszewikami.

Co zawierały odczytane przez niego pisma Romualda Tragutta? Chociażby informacje o André Magnanie – francuskim kapitanie, który miał się stać wodzem powstańczej floty, a stał się jej grabarzem.

Łamanie szyfrów było specjalnością uzdolnionego matematycznie Jana Kowalewskiego, naczelnika Wydziału II Radiowywiadu Biura Szyfrów Oddziału II Sztabu Generalnego Naczelnego Dowództwa. W lipcu i sierpniu 1920 r., gdy Armia Czerwona szykowała się do opanowania Polski, kierowany przez niego zespół kryptologów odczytał prawie 1000 szyfrogramów nieprzyjaciela. Przez cały okres wojny polsko-bolszewickiej liczba ta urosła do niemal 4 tys. ujawnionych tekstów strony przeciwnej oraz ponad 100 złamanych szyfrów armii Lenina i Trockiego. Nic dziwnego, że Kowalewski (pośmiertnie mianowany generałem) jest uważany za jednego z architektów zwycięstwa w bitwie warszawskiej, jak i całym konflikcie.

Nie dziwi również, że po drugiej wojnie światowej zdecydował się pozostać na emigracji, zamieszkał w Wielkiej Brytanii. Choć nie przestał się jednak interesować tym, co działo się za żelazną kurtyną. Redagował i wydawał miesięcznik „East Europe and Soviet Russia". Jak wspominał były zastępca dowódcy AK gen. Tadeusz Pełczyński: „Kowalewski stale, konsekwentnie i wszechstronnie studiował zagadnienia Rosji Sowieckiej. Znajomość tych spraw pod względem politycznym, wojskowym, jak i gospodarczym zaowocowała licznymi artykułami w prasie polskiej, angielskiej, amerykańskiej i francuskiej". W 1958 r. spod jego ręki wyszły dwie analizy, które ukazały się w pracy zbiorowej „The Soviet Navy". Chętnie dzielił się wspomnieniami na falach Radia Wolna Europa i na łamach wydawanych

eprasa.pl f51a944834

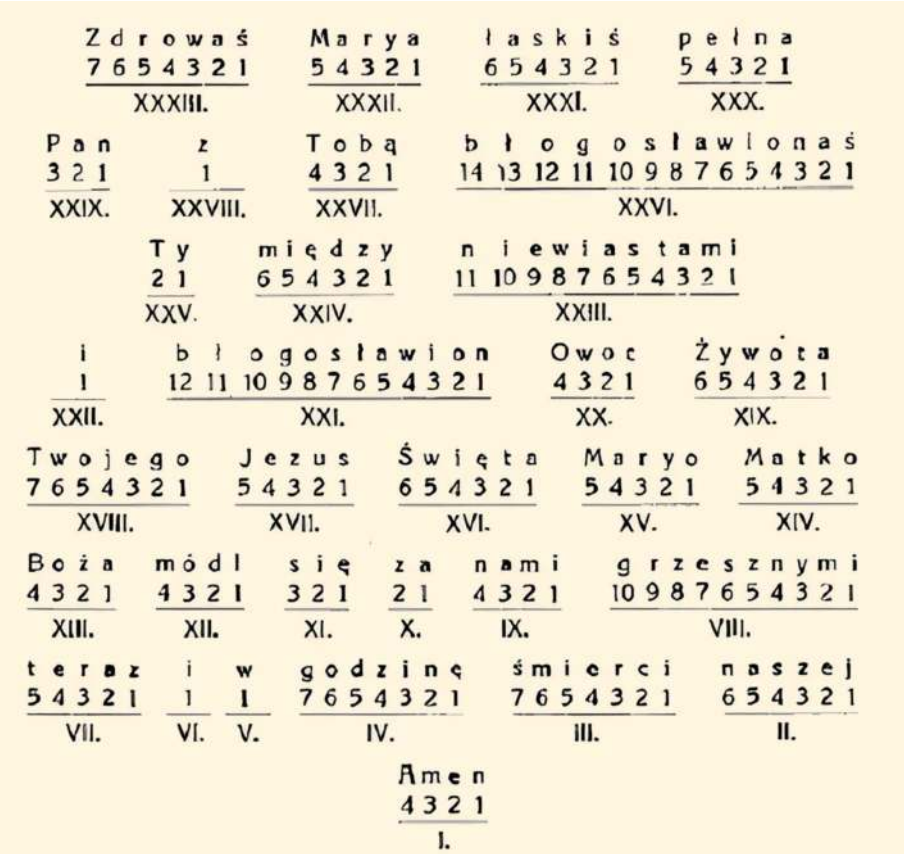

Klucz szyfrowania wykorzystujący modlitwę „Zdrowaś Maryjo”. Poniżej: **kryptolog Jan Kowalewski.**

przez Jerzego Giedroycia „Zeszytów Historycznych”. Stał na czele polonijnego Koła Wyższych Studiów Wojennych w Londynie, wziął udział w przygotowanej przez Adama Ciołkosza Konferencji Ekonomicznej w Sprawach Krajowych.

Gdzie w tym wszystkim miejsce na kryptologię? Przez długi czas, kiedy koncentrował się na studiach nad ZSRR i państwami bloku wschodniego, pozostawała na uboczu jego zainteresowań. Wrócił do niej na początku lat 60.

W przypadku dokumentów Romualda Traugutta powinniśmy mówić nie tyle o jednym szyfrze, ile o szyfrach, ostatni dyktator powstania styczniowego i jego współpracownicy stosowali bowiem różne metody zabezpieczenia treści swojej korespondencji. Do szyfrowania służyły m.in. modlitwy, jak „Zdrowaś Maryjo” czy pieśni religijne typu „Kiedy ranne wstają zorze” – w takim przypadku kod opierał się na podstawieniu pod słowa i litery tekstu odpowiednich cyfr i liczb. Fachowo nazywany szyfrem podstawieniowym miał konkurencję w postaci szyfru przestawieniowego. Ten z kolei

polegał na wykorzystaniu klucza literowego, w którego ramach określone litery wymieniano na inne. Polacy nie unikali też klucza graficznego sprowadzającego się do przypisania każdej literze zestawienia kropek i/lub kresek.

Przykładowo pod kombinacją złożoną z trzech kropek i dwóch kresek kryło się „b”, „g”, „t” lub „ż”. Natomiast cztery kreski, tworzące prostokąt, z trzema kropkami w środku odwoływały się tylko do jednej litery „m”. Dokumenty powstańcze spisywano także z użyciem atramentu sympatycznego – do ujawnienia treści potrzebny był chlorek żelazowy.

Z zaszyfrowanymi przez Traugutta i jego podwładnych pismami Jan Kowalewski zetknął się za sprawą Józefa Olechnowicza, właściciela księgarni Orbis Book Ltd. Ów bibliofil i przedsiębiorca zaproponował kryptologowi rozprawienie się z kodem, dzięki któremu ukryto zawartość pięciu dokumentów z okresu styczniowego zrywu. Przygotowała je kancelaria Rządu Narodowego, nadawcą był sam dyktator, a adresatami jego zagraniczni przedstawiciele. Po latach korespondencja trafiła w ręce księdza Józefa Jarzębowskiego, kolekcjonującego różne przedmioty i pisma z lat 1863–64. Ten zaś w trakcie drugiej wojny światowej zdołał przewieźć swoje zbiory do Wielkiej Brytanii.

Kowalewski potraktował zakodowane teksty jako wyzwanie i sposób na urozmaicenie wolnego czasu. Jak stwierdził, „odczytywanie szyfrów dotyczących odleglejszych okresów historii w gruncie rzeczy jest rozrywką, jak krzyżówki”. Nim przystąpił do dekryptażu, musiał odpowiedzieć na pytanie, jakiego rodzaju szyfr zastosował zespół Traugutta. Pomocne okazały się pamiętniki Józefa Kajetana Janowskiego, prawej ręki dyktatora, zajmującego się m.in. prowadzeniem Sekretariatu Stanu Rządu Narodowego. Oddajmy mu głos: „za klucze służyły umówione książki lub nawet gazety. Rząd Narodowy w korespondencji zagranicznej używał do klucza poemat »Pan Tadeusz« i »O naśladowaniu Chrystusa« Tomasza à Kempis, nie pamiętam, jakie wydanie. Do korespondencji specjalnie z Wacławem Przybylskim służył jakiś numer dziennika francuskiego »Journal des Débats«”.

Janowski odsłonił mechanizm szyfru, którym posługiwało się otoczenie Traugutta. Mianowicie każda zaszyfrowana samogłoska lub spółgłoska była zapisywana poprzez ułożenie ciągu cyfr i liczb. Pierwsza z nich, arabska, odnosiła się do strony konkretnej książki lub czasopisma. Kolejna, rzymska, stanowiła numer wiersza danej strony (liczonego od pierwszego górnego), wreszcie następowały cyfry lub liczby odwołujące się do określonych liter (licząc od lewej) w rzeczonym wersie. ▶

© BE&W, DP

eprasa.pl f51a944834

▶ Np. zapis 21 XII 4, 23, 39 należałoby odczytać jako strona 21, wers dwunasty, litery numer 4 (k), 23 (o), 39 (ń). Bardziej skomplikowany ciąg mógłby wyglądać tak: 48 VI 31, 65 IX 44, 4 XXI 5, 114 III, 32. Należałoby go odczytać jako strona 48, wers szósty, litera numer 31 (Ł); strona 65, wers dziewiąty, litera numer 44 (ó); strona 4, wers dwudziesty pierwszy, litera numer 5 (d); strona 114, wers trzeci, litera numer 32 (ź), czyli Łódź.

Ów szyfr, tzw. książkowy, nie był dla Kowalewskiego pierwszyzną. Mierzył się z nim jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym, gdy grupa wojskowych z sojuszniczej Rumunii poprosiła go o zdekodowanie listów szpiegów działających na zlecenie Związku Sowieckiego. Za podstawę szyfru wzięli rosyjską wersję „Międzynarodówki". Dla utrudnienia zadania potencjalnym deszyfrantom litery pochodzące z rewolucyjnej pieśni przekładali w swoich meldunkach na słowa z języka rosyjskiego, rumuńskiego oraz pewnego żargonu. Polski wojskowy sobie z tym poradził, a po latach wrócił do książkowego szyfru, analizując korespondencję Traugutta. Już po odkryciu jej treści opublikował na łamach londyńskich „Wiadomości" artykuł, wyjaśniając, że szyfry tego typu, nazywane „podstawieniami literowymi prostymi z nieograniczoną ilością elementów zamiennych", o ile „właściwie użyte, są teoretycznie nierozwiązalne". Dodawał, że „o ile szyfrujący przez pośpiech lub z powodu braku wyszkolenia w szyfrowaniu stosował szyfr w sposób niewłaściwy, są szanse na to, że w sprzyjających okolicznościach da się go odczytać, nawet bez posiadania książki, użytej jako klucz". Tak też się stało, choć mawiał z przekąsem, że gdyby liczba dokumentów do odcyfrowania wynosiła nie pięć, ale kilkanaście, nie musiałby głowić się nad nimi kilka tygodni. Ludzie Traugutta korzystali w zasadzie z kodu identycznego z opisywanym przez Janowskiego, z tym że liczby wskazujące strony umieszczali w nawiasach.

Po przystąpieniu do analizy materiałów kryptolog zorientował się, że ktoś, kto pracował nad ich utajnieniem, nie zawsze dochowywał należytej staranności. Najprawdopodobniej wynikało to z pośpiechu. Jak później relacjonował Kowalewski, „trzymano się kilku pierwszych wierszy tej samej stronicy, a niektóre częstsze litery wprost powtarzano".

Na pierwszy ogień wojskowy wziął dokument, gdzie zaszyfrowane fragmenty mieszały się z otwartym tekstem. W razie wątpliwości kontekst pozwalał na odgadnięcie, jakie słowo zostało ukryte pod danym zapisem. Okazało się, że zdania zrekonstruowane przez Kowalewskiego są poświęcone André Magnanowi – francuskiemu kapitanowi, któremu przywódcy powstania chcieli powierzyć władzę nad polską marynarką (a raczej jej namiastką). Składały się na nią dwa frachtowce pozyskane w czerwcu 1863 r., „Princess" oraz „Samson". W polskich rękach miały zostać przekształcone w jednostki wojenne, a następnie skonfrontować się z flotą carskiej Rosji. Z ambitnych planów niewiele udało się zrealizować, do czego zresztą przyczynił się sam Magnan.

Kim był niedoszły dowódca powstańczych sił morskich? Handel ludźmi, przemyt broni podczas wojny krymskiej, wreszcie piractwo u wybrzeży La Plata – Francuz mógł się pochwalić bogatym doświadczeniem. Tyle że przydatnym dla awanturnika na mniejszych i większych wodach, a nie jednego z liderów narodowego zrywu. Oferował „przeróżne dwuznaczne usługi, to Serbom, to Węgrom, to Rumunom. Blagier raczej niż oszust" – tak podsumował tę postać najwybitniejszy znawca powstania styczniowego prof. Stefan Kieniewicz.

Z pewnością nie można mu odmówić sprytu, gdyż zwiódł głównego pełnomocnika dyplomatycznego Rządu Narodowego księcia Władysława Czartoryskiego. Polacy przygotowali już nawet dla Magnana akt naturalizacji i upoważnienie do kierowania flotą, gdy tymczasem ten podzielił się z francuską prasą szczegółami swojej antyrosyjskiej misji.

Dopiero wtedy Czartoryski zorientował się, z jak podejrzanym osobnikiem zamierzał budować marynarkę. Momentalnie odwołał wszelkie, ustne i pisemne, ustalenia z Francuzem, ale ten znalazł i na to radę. Skierował się do samego Traugutta. Ten okazał się zadziwiająco ufny, by nie rzec naiwny w stosunku do obietnic kapitana, który roztaczał wizje efektownej walki z caratem na morzach i oceanach. Na dowód przytoczmy fragment jednej z instrukcji ostatniego przywódcy styczniowego zrywu z grudnia 1863 r.: „Należy porozumieć się z kpt. M[agnanem]. i przedstawić rządowi jego pomysły, plany i życzenia".

Oczywiście te plany pozostały w sferze pobożnych życzeń, Polacy szybko utracili kontakt z blagierem, a z zakupionych statków udało się uzbroić tylko parowiec „Princess" przemianowany na „Kilińskiego". Cóż jednak z tego, skoro jednostka jeszcze nie rozpoczęła swojego szlaku bojowego, a już znalazła się w hiszpańskich rękach. Przechwycona, a niebawem pod naciskiem Rosji pozbawiona oręża i aresztowana. Na tym skończyła się historia powstańczej floty.

Kowalewski kontynuował prace nad rozkodowaniem tekstów i ustalił z dużą dozą prawdopodobieństwa, jakiego typu książką mogli się posiłkować ludzie Traugutta przy szyfrowaniu. Początkowo wydawało mu się, że był to „Pan Tadeusz", ale z dalszej analizy wywnioskował, że wykorzystywali pamiętnik jakiegoś polskiego wojskowego, być może dowódcy któregoś z powstań: kościuszkowskiego lub listopadowego.

Zrekonstruował częściowo kilka wersów strony trzynastej (z której brano litery do zaszyfrowanych pism) owych wspomnień, brzmiących, dodajmy, dość niepokojąco. Na przykład wiersz numer 1 głosił „mógł być zgonem dla takiej masy ludzi, jaką", z kolei pod numerem 3 kryły się słowa „nie mogę również uśmiercić t.....k.". W artykule opublikowanym w „Wiadomościach" Kowalewski konkludował: „Szyfry tego typu [książkowego] dają się ściśle sprawdzać przez to, że w miarę odnajdywania poszczególnych liter tekstu zaszyfrowanego i powstających z nich słów, na tzw. »szkielecie« stronicy książki użytej do szyfrowania, z kolei muszą również powstać słowa tekstu tej książki". Niestety kryptolog nie był w stanie ustalić tytułu ani autora pamiętnika. Opisując złamanie szyfru Traugutta, skupił się na samej metodzie dekryptażu, tylko marginalnie odnosząc się do zawartości merytorycznej dokumentów (wiemy, że dotyczyły też m.in. władz autonomicznych w Galicji i stosunków z Węgrami). Jeśli zamierzał nadrobić tę zaległość, nie zdążył, zmarł 31 października 1965 r. w Londynie.

TOMASZ CZAPLA

Korzystałem z: Stefan Kieniewicz „Powstanie styczniowe", Emil Noiński „Dekryptaż szyfru Romualda Traugutta i biskupa Andrzeja Chryzostoma Załuskiego. Przyczynek do ostatnich lat życia Jana Kowalewskiego" oraz „Generał brygady Jan Kowalewski (1892–1965) – oficer wywiadu i kryptolog. Studia i szkice" pod red. nauk. Dariusza Roguta.

eprasa.pl f51a944834

Mecenaska i patriotka

Adam Zamoyski, **Izabela. Opowieść o niezłomnej księżnej**, przeł. z języka angielskiego Adam Zamoyski, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 2025, s. 292

Podtytuł biografii Izabeli z Flemingów Czartoryskiej wyjaśnia wiele; bohaterka była świadkiem prób reformowania Rzeczpospolitej, jej rozbiorów oraz odtwarzania niezależności państwa polskiego aż po powstanie listopadowe. Stała w centrum tych wydarzeń, gdyż reformy podejmowała Familia, ugrupowanie zawiązane wokół jej rodziny. Poznała Fryderyka Wielkiego, cara Aleksandra I oraz cesarza Józefa II, od którego przewoziła potajemną korespondencję do Marii Antoniny. W czasie licznych podróży zetknęła się z Rousseau, Goethem i Jeffersonem. Możemy też być wdzięczni Izabeli Czartoryskiej za jej pasję kolekcjonowania i stworzenie w Puławach pierwszego powszechnie dostępnego muzeum na ziemiach polskich. Jej zbiorom zawdzięczamy m.in. „Damę z gronostajem" Leonarda da Vinci. Adam Zamoyski daje czytelnikowi wielowymiarową biografię oświeceniowej kobiety żyjącej w czasach, gdy historię tworzyli mężczyźni. Kobiety inteligentnej, wyzwolonej, właścicielki jednej z największych fortun w Europie. Zapoznając nas z jej bogatą korespondencją oraz pamiętnikami, wspomnieniami, a nawet reklamami z epoki, Zamoyski zaznacza, że skromny wymiar tej biografii został podyktowany wymogami wydania angielskiego. Historycy mogliby zazdrościć autorowi świetnej narracji oraz pięknej polszczyzny w autorskim tłumaczeniu książki.

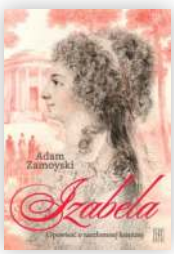

MAREK SOBCZAK

Starożytność kobiet

Daisy Dunn, **Zagubiony wątek. Historia starożytności oraz kobiet, które ją tworzyły**, przeł. Joanna Sugiero, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, s. 506

To jedna z tych książek, które nie tyle uzupełniają znaną historię, ile każą ją opowiedzieć od nowa – z perspektywy kobiet. Daisy Dunn nie proponuje prostego zabiegu, który polega na dopisaniu kilku bohaterek do męskiego panteonu dziejów. Robi coś znacznie trudniejszego – przesuwa perspektywę i pokazuje starożytność widzianą przez kobiece doświadczenie. Wraca do tekstów greckich i łacińskich, ikonografii i źródeł archeologicznych, czytając je „pod włos". Z Pandory – mitu o kobiecie jako „pięknym złu" – czyni punkt wyjścia do opowieści o tworzeniu tkanin, poezji, rytuałów i pamięci. Tkactwo, jedna z podstawowych kobiecych czynności w starożytności, staje się tu metaforą historii, która się plącze, rwie, gubi... To książka nie tylko o Safonie, Hatszepsut czy pierwszej żonie Marka Aureliusza Fulwii, lecz również o milionach kobiet, które nie zostawiły po sobie imion ani pomników. Dunn nie idealizuje i nie udaje, że patriarchatu nie było, pokazuje raczej, jak wiele znika z pola widzenia, gdy na przeszłość patrzy się tylko przez pryzmat władzy, wojen i wielkich przywódców. To nie manifest ani publicystyka podszyta współczesnymi tezami, to znakomicie napisana, erudycyjna i mądra próba stworzenia nowej historii starożytności – takiej, która wreszcie dostrzega kobiety.

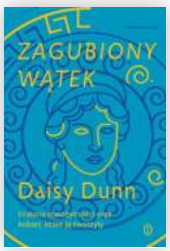

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Powrót pamięci

Zdzisław Najder, **Wywrotowiec**, Fundacja Ośrodka KARTA, Warszawa 2026, s. 564

O pamięć o Zdzisławie Najderze (1930–2021) upominało się kilkadziesiąt znaczących postaci polityki i kultury. Między innymi Aleksander Kwaśniewski, Adam Rotfeld, Jan Krzysztof Bielecki, Jerzy Buzek, Władysław Frasyniuk, Radosław Sikorski, a także Krzysztof Pomian, Michał Komar i Antoni Dudek. Jak widać, apel zyskał poparcie z wielu stron. Zdzisław Najder to znacząca postać historii najnowszej Polski przed 1989 r., ale także później. Pisarz, literaturoznawca, autor wielu tekstów, któremu sławę przyniosły rozprawy o życiu i twórczości Josepha Conrada. Aktywnie wpisywał się w tradycję niepodległościową już od lat 70. ubiegłego wieku. Był postacią polityczną szeroko znaną. Głośnym echem odbiło się skazanie Najdera zaocznie na karę śmierci przez władze PRL, gdy został dyrektorem rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa (1982 r.). Już w wolnej Polsce, podczas „wojny na górze", znalazł się po stronie Lecha Wałęsy bezceremonialne walczącego o prezydenturę. Życiorys fascynujący, ściśle związany z dziejącą się historią, przypisany jak najbardziej do narodowej pamięci. Wykorzystując teksty Najdera, Zbigniew Gluza ułożył jak gdyby jego autobiografię w ciągu chronologicznym. Praca oryginalna, wyśmienicie poprowadzona. Fantastyczny wkład w przyszłą biografię Najdera. Oby.

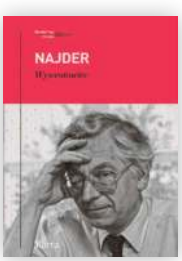

WIESŁAW WŁADYKA

Aztekowie o sobie

Camilla Townsend, **Piąte słońce. Nowa historia Azteków**, przeł. Andrzej Jankowski, Wydawnictwo Rebis, Poznań 2025, s. 392

A gdyby minione cywilizacje mogły do nas przemówić? Aztekowie nie mieli okazji przedstawić swojej wersji wydarzeń, ponieważ opisujący ich dzieje historycy polegali na źródłach hiszpańskich. Do teraz. Camilla Townsend oparła swoją książkę na spisanych w języku nahuatl rocznikach, które słowami samych Azteków relacjonują dzieje podboju przez Hernána Cortésa i to, co było potem. Rozprawia się z wieloma mitami. Choćby z tym, że Aztekowie ulegli garstce Hiszpanów przez swoją zabobonność i fatalizm. Autorka podkreśla, że decydującą rolę odegrały przewaga technologiczna najeźdźców oraz sojusz, jaki Hiszpanie zawiązali z innymi plemionami doliny Meksyku. Aztekowie ukazani są tu jako racjonalni gracze polityczni. Książka doskonale pokazuje, jak bardzo ich system polityczny pełen był wewnętrznych sprzeczności i napięć pomiędzy różnymi miastami-państwami, a także wewnątrz rodziny panującej. Co więcej, historia Azteków nie skończyła się wraz z upadkiem Tenochtitlanu. Cytowane roczniki świadczą o zadziwiającej odporności ich kultury. Podstawowa jednostka organizacji społecznej altepetl (miasto-państwo) przetrwała. Rdzenni mieszkańcy nadal wybierali lokalne rady, a struktury władzy wielu plemion pozostały nietknięte kilka stuleci. „Piąte słońce" każe zatem sceptycznie spojrzeć na – nadużywaną – koncepcję upadku, zwracając większą uwagę na ciągłość i adaptację.

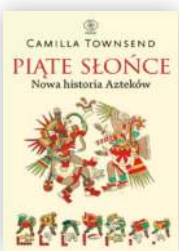

TOMASZ TARGAŃSKI

© MP (4)

eprasa.pl f51a944834

serial

Upadek komiwojażera 4/6

Śmierć Bunny'ego Munro, reż. Isabella Eklöf, 6 odc., SkyShowtime, premiera: 30 stycznia

Wielu widzów do „Śmierci Bunny'ego Munro" przyciągnie nazwisko Nicka Cave'a: to na podstawie jego powieści powstał scenariusz, to on współprodukował serial, napisał (wraz z Warrenem Ellisem) bardzo dobrą ścieżkę dźwiękową, wreszcie – pojawia się w jednym z odcinków w autoironicznym epizodzie. Jednak siłą napędową produkcji jest grający główną rolę **Matt Smith**, który sprawia, że za jego bohaterem chce się podążać do samego końca, chociaż z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia, bo to postać wyjątkowo oślizgła i odrażająca. Bunny jest obwoźnym sprzedawcą kosmetyków, traktującym swoją pracę przede wszystkim jako okazję do nawiązywania przygodnych romansów. Samobójcza śmierć żony nie przynosi mu otrzeźwienia – przeciwnie, przyspiesza jego moralny upadek. Kiedy opieka społeczna chce mu odebrać prawo do opieki nad synem, zabiera chłopca w podróż po angielskich miasteczkach, w których w tym czasie grasuje nieuchwytny morderca, być może diabeł we własnej osobie. Wyreżyserowany przez Dunkę Isabellę Eklöf (która kilka lat temu wygrała festiwal Nowe Horyzonty swoimi debiutanckimi „Wakacjami") serial wymaga od widzów cierpliwości. Bywa niczym jego bohater: irytujący i nieznośny i tak jak Bunny sprawia czasami wrażenie, jakby krążył wokół kilku tematów bez celu. Z biegiem czasu odsłania coraz więcej sekretów z życia bohaterów, a narzucona przez reżyserkę perspektywa towarzyszącego ojcu Juniora (świetny debiutant **Rafael Mathé**) pozwala zignorować fabularne niedociągnięcia – w wielu przypadkach zresztą zamierzone, bo zacierające granice między prawdą i urojeniem. W najlepszych momentach „Śmierć…" jest przejmująca niczym społeczne dramaty Mike'a Leigh, w nieco słabszych – także w onirycznym odcinku finałowym – przypomina podróbkę stylistyki Davida Lyncha. Przede wszystkim dzięki kreacji Matta Smitha daje jednak zaskakująco złożony portret człowieka upadłego, w którym nawet konieczność opieki nad synem nie tłumi amoralnych instynktów, choć to dzięki niej można w Bunnym Munro czasami dostrzec przebłyski człowieczeństwa.

JAKUB DEMIAŃCZUK

serial

Wybuchowe piękno 4/6

The Beauty twórcy serii: Ryan Murphy i Matt Hodgson, 11 odc., Disney+

Poprzedni serial Ryana Murphy'ego dla platformy Disneya, „Wszystko dozwolone" z Kim Kardashian w głównej roli, trafił do podsumowań roku jako jedna z najgorszych produkcji telewizyjnych ostatnich sezonów. W nowy serial wprowadza inna globalna influencerka, Bella Hadid. Grana przez nią modelka schodzi z wybiegu i podczas rajdu ulicami Paryża sieje spustoszenie, morduje przypadkowych przechodniów, pije hektolitry wody, a na koniec spektakularnie eksploduje. Jej rozrzucone szczątki bada para (także w życiu) agentów FBI (Evan Peters i Rebecca Hall), a kolejni piękni i młodzi wybuchają w Wenecji czy Rzymie. „The Beauty", które jest adaptacją komiksu Jeremy'ego Hauna i Jasona A. Hurleya, czerpie garściami z wielu dzieł, od niedawnej „Substancji" przez inne body horrory czy satyry na dzisiejszą pogoń za pięknem, młodością, nieśmiertelnością i bogactwem. Ashton Kutcher wciela się w miliardera, który za pomocą leku zwanego The Beauty zamierza stać się multimiliarderem, po trupach (dosłownie) i nie bacząc na skutki uboczne oraz upomnienia żony

(**Isabella Rossellini**). Serial Murphy'ego to mieszanka gatunków, klisz, kiczu, campu i pruderii (piękne nagie ciała są pokazywane wyłącznie od strony pośladków) z momentami dramatycznymi i serio. Odcinków jest 11 i trwają od 52 do 24 minut, a finał niczego nie kończy. Ryan Murphy wydaje się mieć dziś pełną wolność twórczą – robi, co chce i jak chce. Efekty bywały ostatnio słabe, ten serial przynajmniej wciąga, bawi, a czasem nawet zaskakuje.

ANETA KYZIOŁ

eprasa.pl f51a944834

serial

Sansa w City 4/6

Skok, twórca serii: Sotiris Nikitas, 6 odc., Prime Video

To rozrywka z kategorii *heist movie*. Nieprzesadnie oryginalna, lekkostrawna, utrzymująca tempo i do obejrzenia na raz. Akcja dzieje się w londyńskim City, w biurach firmy inwestycyjnej Lochmill Capital, do których pewnego ranka wkraczają zamaskowani złodzieje i kradną 4 mld funtów, głównie przyszłych emerytur pracowników sektora publicznego. Policja – w osobie prowadzącego śledztwo nadkomisarza Covaca (Jacob Fortune-Lloyd) – jest przekonana, że rabusiom pomagały osoby z firmy. Na kretów typowani są Zara (**Sophie Turner**) i Luke (**Archie Madekwe**), którzy muszą radzić sobie z podwójną presją – i robią to rozmaicie. Tajemnice i kłamstwa się piętrzą, alianse się tworzą i rozpadają, a gry w kotka i myszkę okazują się największą pasją wszystkich niemal bohaterów. Akcja lekko dotyka wątków klasowych i społecznych, ale nie na tyle, żeby powiedzieć coś istotnego. Główną atrakcją jest Sophie Turner w roli młodej kobiety, która przez lata poświęcała ambicje i inteligencję dla spokoju i małej stabilizacji, wartości, których tak brakowało jej w dzieciństwie u boku narcystycznej matki. Jednak w pewnym momencie do głosu dochodzi frustracja, pojawiają się nieoczekiwane szanse i rusza lawina zdarzeń. Dawna Sansa Stark z „Gry o Tron" – a wkrótce nowa, serialowa wersja Lary Croft – jest w tej zdecydowanie bardziej realistycznej roli świetna. I to tyle. AK

film

Człowiek na krawędzi 3/6

Zapiski śmiertelnika, reż. Maciej Żak, prod. Polska, 93 min, w kinach od 30 stycznia

Ryzykowny pomysł, by połączyć charakterystyczny styl Wesa Andersona z kafkowską ironią i zaskakująco poważną tematyką niekoniecznie wyszedł filmowi Macieja Żaka na dobre. „Zapiski śmiertelnika" rozbiegają się w wielu kierunkach, nie tworzą spójnej całości, chociaż czuje się warsztatową pewność reżysera oraz jego szczere ambicje, aby w lekki sposób zmierzyć się z problemem samobójstw dojrzałych mężczyzn. Bohaterem jest pozornie szczęśliwy pięćdziesięciolatek, który przypadkowo zbił majątek na handlu wodą mineralną, spłodził córkę, wesoło spędza czas z kochanką, aż ta informuje go, że zaszła w ciążę i nie zamierza dłużej czekać, aż on rozwiedzie się z żoną. Więcej tu elementów farsy niż tragedii, jednak reżyser w to brnie, obudowując film atmosferą czarnego humoru z elementami absurdu i groteski. Sugerując, że chodzi mu o zjawisko opisane przez Alberta Camusa, znane w psychologii jako samobójstwo filozoficzne (logiczne zwieńczenie nie całkiem udanego życia). Sięgnąwszy po napisane przez siebie opowiadanie, autor najwyraźniej zapomniał, że materiał literacki nie jest wystarczająco mocny. A **Ireneusz Czop**, świetny aktor z wypisanym na twarzy smutkiem, nie uratuje scenariuszowych mielizn. JW

scena

Obrona ostateczna 4/6

Olga Tokarczuk, **Prowadź swój pług przez kości umarłych**, reż. Lena Frankiewicz, Teatr im. S. Jaracza w Łodzi

Thriller ekologiczny noblistki, wydany z 2008 r., był już ekranizowany („Pokot" w reż. Agnieszki Holland), miał też kilka wersji teatralnych, a wkrótce doczeka się kolejnej – w Teatrze Narodowym, w reż. Ewy Platt. Co pociąga twórców w tej historii? Obrona praw zwierząt, która tu zyskuje formę – powiedzmy – ostateczną. Konwencja kryminału z nutą metafizyki. Malownicza, górska sceneria. I główna bohaterka: Janina Duszejko, dojrzała i pewna siebie, mimo lekceważenia, jakie kobietom w jej wieku okazuje (wciąż) społeczeństwo. Przed emeryturą projektowała mosty, dziś mieszka na odludziu, żyje w symbiozie z naturą, swoje psy i sąsiadki – sarny uważa za rodzinę i takiego samego ich traktowania, z poszanowaniem prawa do życia na czele, żąda od lokalnych władz. Najpierw po dobroci. W łódzkim spektaklu Leny Frankiewicz jest to wszystko: silny przekaz ekologiczny, górzysta scenografia przemierzana przez sarny (piękna choreografia w wykonaniu trzech tancerek), kontekst małej patriarchalnej społeczności (z balem grzybiarza i obchodami Hubertusa rozpoczynanymi myśliwską mszą w kościele), charyzmatyczna Milena Lisiecka w roli Duszejko oraz gęsto ścielący się trup. Nie ma zaś tu niuansowania spraw, przeciwnie – racje są jasno przedstawione, sympatie też. I słusznie – chodzi przecież o mordowanie bezbronnych zwierząt w lasach. Finał porusza. AK

© SKYSHOWTIME, PHILIPPE ANTONELLO/FX/DISNEY, AMAZON MGM STUDIOS, DOMINIK PIJAŃSKI, NATALIA KABANOW

eprasa.pl f51a944834

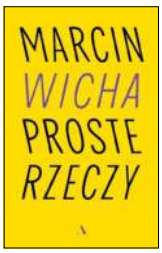

Mieszadełko losu 5/6

Marcin Wicha, **Proste rzeczy**, Agora, Warszawa 2026, s. 296

Jak dobrze, że dostajemy kolejne teksty Marcina Wichy, pisarza, który odszedł rok temu, w styczniu 2025 r. „Proste rzeczy" to jego zbiór felietonów, które ukazywały się w Magazynie Świątecznym „Gazety Wyborczej" w latach 2015–18. Teleportujemy się w tamte czasy, odległe i nie, bo różne ciemne chmury już wtedy nad nami wisiały. To przyjemność wędrować po tamtym świecie razem z Wichą, który jest uważnym obserwatorem wszelkich detali architektury, przestrzeni, przedmiotów, a nawet znaków interpunkcyjnych (co wiemy z późniejszych jego książek). Otóż na przykład wykrzyknik – „skromny przodek emoji" – był dawniej oznaką złego stylu i w wielu maszynach do pisania go brakowało. Interesują Wichę projekty przedmiotów błahych: mieszadełko czy plastikowy dziadek do orzechów, pamiątka po designie z lat 90., który się nie przyjął. Potrafi z paczki makulatury odczytać naszą historię ostatnich lat, bo „papier jest najbardziej ludzkim z materiałów. Odzwierciedla nasze pragnienia i ambicje". Pisze też o znikaniu przedmiotów: niektóre, jak magnetowid, odchodziły z hukiem, inne, jak płyta CD – po cichu. W tych felietonach widzimy jego uważność na najbliższe otoczenie, na język, widzimy też jego zaangażowanie w to, żeby rzeczywistość w miarę swoich możliwości zmieniać na lepsze. I znajdziemy tu też humor Wichy, który pojawia się często dla przełamania powagi, jak w kapitalnym tekście o tym, czego nauczył go ojciec (a czego nie). Proste rzeczy proste nie są, ale Wicha przygląda im się z zaraźliwą ciekawością.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Krakowski ferment 4/6

Bernard Gromek, **Revolterium**, Znak Literanova, Kraków 2026, s. 544

Przedwiośnie 1848 r. Weteran rewolucji krakowskiej Maks Krom zostaje wypuszczony z więzienia. Walki za ojczyznę ma już serdecznie dosyć, ale dawni kompani znów wciągają go w polityczne awantury, choć głównym celem ich działań jest próba odnalezienia złota rzekomo ukrytego przez powstańców w jednym z podkrakowskich dworów. Ulice miasta kipią gniewem, który zaraz przerodzi się w Wiosnę Ludów, nowe rewolucyjne idee zdobywają coraz większy posłuch. Ale szczytny cel – niepodległość – nie potrafi zjednoczyć zwaśnionych rodaków: szlachta, proletariat i chłopi rzucają się sobie do gardeł, wszak Polska nie jest tak ważna jak prywatne zemsty. Debiutujący jako pisarz Bernard Gromek jest doświadczonym muzykiem, więc potrafi nadać swojej prozie hipnotyzujący rytm. Wydarzenia toczą się tu w dynamicznym tempie, może chwilami nawet za szybko, jakby każda scena miała bez wytchnienia pchać fabułę do przodu. W „Revolterium" nie ma przestojów, nawet jeśli akcja na chwilę zwalnia, to najczęściej po to, by któryś z bohaterów wziął udział np. w naradzie Lelewela i Marksa. Gromek pisze przy tym ze swadą i olbrzymią historyczną wiedzą, nie romantyzuje przeszłości, a wręcz przeciwnie, maluje ją raczej w ciemnych barwach. Obok wzniosłych czynów przywołuje również popełniane w imię wolności zbrodnie, a przede wszystkim przypomina, że każda walka, niezależnie od pobudek, niesie ze sobą potworną cenę, którą płacą kolejne pokolenia.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Miłość w odcinkach 4/6

Maggie Shipstead, **Kowbojskie tango**, przeł. Justyn Hunia, Znak, Kraków 2026, s. 352

Autorka epickiego „Wielkiego kręgu" od czasu do czasu wprawia się też w krótszych formach. „Kowbojskie tango" jest zbiorem opowiadań powstających – o czym dowiadujemy się z finałowych podziękowań – przez całą dekadę i głównie podczas warsztatów pisania. Czuć w książce ten upływ czasu i autorską samoświadomość, nie tyle rosnącą i dojrzewającą, ile meandrującą, bo pisarstwo to sztuka i doskonalenia, i błądzenia. Każdy z tych tekstów mógłby twórczo się rozwinąć w większe opowieści, niektórym to by się nawet przysłużyło, jak choćby przewrotnemu, mrocznemu opowiadaniu „Znajoma z miejsca 10A" o lecącej samolotem gwieździe Hollywood, która szuka własnej drogi w pewnego rodzaju sekcie. Bohaterki noszą zresztą cechy Hadley Baxter z „Wielkiego kręgu", są gruboskórne i wrażliwe zarazem. Jak kowbojka z tytułowego opowiadania, odporna na uroki sporo od niej starszego właściciela rancza, dobijająca konie w ramach codziennych zadań. Wątek różnicy wieku wraca i choć nie wydaje się sensacyjnie odkrywczy (mężczyźni uganiający się za młodszymi kobietami), to Shipstead celnie i okrutnie go obnaża. Najciekawszy jest zarazem tekst niejako autotematyczny: „Podziękowania" o aspirującym pisarzu, który umieszcza w centrum zdarzeń własne alter ego i poprzez literaturę, często brutalną, czyni zadość kobietom. Oczywiście budzi tym głównie politowanie. W sumie to zbiór zwięzłych tekstów o miłości, upragnionej, często niemożliwej, o pożądaniu i seksie, ale też o wszelkich „hipotetycznych scenariuszach", które z różnych przyczyn nie mogą się ziścić. Opowiadania są staroświeckie w dobrym tego słowa znaczeniu. Prostolinijne jak tęsknota za miłością.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL, ARTUR RAKOWSKI/ARTSERVICE/FORUM, PROM KULTURY, ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE, MP (5)

eprasa.pl f51a944834

galeria

Dialog z Mistrzem 4/6

Łukasz Stokłosa. Lśnienie, Zamek Królewski w Warszawie, do 27 września

Coraz popularniejsza staje się moda na tzw. artystyczne interwencje sztuki współczesnej w zabytkowych wnętrzach pałaców i zamków. Króluje Wawel, a dzielnie dotrzymuje mu kroku królewska siedziba w stolicy. Interweniować można na dwa sposoby. Po pierwsze, efektownie, czasami efekciarsko, poprzez kontrast. Po drugie, poprzez swoistą mimikrę, grę z historycznymi konwencjami. Niedoścignionym mistrzem tej konwencji jest Łukasz Stokłosa. Jego zanurzone w historii, zawsze jakby zamglone obrazy, przedstawiające fragmenty dawnych wnętrz, mebli, sprzętów czy widoki pałacowych ogrodów, niosą w sobie sporą dawkę melancholii, zadumy, lekcji przemijania. Idealnie wpasowują się w miejsca dawniej tętniące życiem, a dziś – turystycznym rytmem. Stokłosa udanie „interweniował" już na Wawelu, teraz przyszedł czas na Warszawę. Blisko 30 jego obrazów rozmieszczono w ciągu zwiedzania królewskich sal. Część sprytnie wpasowano między dawnych mistrzów, meble, porcelanę, trochę na zasadzie zabawy: wytęż wzrok i mnie odszukaj. Część jednak wręcz demonstracyjnie wyeksponowano – głównie w sali, z której na dłuższą konserwację zabrano „Kazanie Piotra Skargi", i w innych salach z pracami Jana Matejki. I tak spotykają się dwie wizje malarskich rozrachunków z historią. XIX-wieczna: patetyczna, realistyczna, monumentalna, ze współczesną: kameralną, osobistą, wręcz intymną. Ciekawe, która bardziej przemawia do dzisiejszego widza?

PIOTR SARZYŃSKI

muzyka

Brahms osobisty 6/6

Piotr Anderszewski, **Brahms: Late Works**, Warner Classics

Piotr Anderszewski długo unikał grania dzieł Johannesa Brahmsa, mówiąc, że to kompozytor „zbyt idealny". Dziś znajduje w nim tajemnicę, która kryje się w jego późnych fortepianowych miniaturach z opusów 116–119 (płyta zawiera ich wybór). To utwory intymne, głębokie, przemawiające w ściszonym tonie. Nie ma w nich ekshibicjonizmu, romantycznych wybuchów; choć są tu miniatury o różnych charakterach, pogodne, melancholijne, a nawet pełne tragizmu, mają w sobie element dyskrecji, nie narzucają się z emocjami, bo te zawarte są w samych nutach. Wystarczy pójść za tym, co jest w nich napisane. Tak właśnie zrobił pianista, który kiedyś w filmie „Podróżujący fortepian" (2008 r.) powiedział: „Przekazywanie uczucia za pośrednictwem muzyki to zrezygnowanie z części samego siebie. (…) Uczucie musi być obecne i prawdziwe, ale w pewnym momencie trzeba je oczyścić z tego, co osobiste, aby wydobyć z niego to, co uniwersalne, ponadczasowe". I to znajdziemy w tych wykonaniach działających każdym niuansem, zwolnieniem czy przyspieszeniem, przesunięciem nuty czy akcentu, dyskretnym podkreśleniem ważnego akordu, logiki frazy.

DOROTA SZWARCMAN

nie przegap

Synczyzna, czyli przeszłość zbankrutowana, Teatr Ciut Frapujący, Prom Kultury, Warszawa, 31 stycznia

Jedna z najlepszych w Polsce amatorskich grup teatralnych, działający od ćwierć wieku Teatr Ciut Frapujący z Pińczowa, wystawia gościnnie w warszawskim Promie Kultury znakomitą adaptację „Trans-Atlantyku" Gombrowicza. To wciąż aktualna rozprawa z polskością i narodowymi mitami, zagrana z temperamentem, humorem, dystansem. A Gombrowicz rzadko jest wystawiany w polskich teatrach. Tym bardziej warto się wybrać. Redaktor naczelny „P" spektakl widział i poleca go osobiście. JB

Kultura wolności. Szczecin na początku Polski, Szczecin, 29–31 stycznia

Seria wydarzeń przesuwających Szczecin z symbolicznego końca na początek Polski to inicjatywa oddolna i złożona. Zaczyna się od prezentacji Podcastexu i spotkania „Tożsamość Pomorza i Ziem Zachodnich" prowadzonego przez Ingę Iwasiów. Dalej przeplata dyskusje (Łona porozmawia tu m.in. z Katarzyną Nosowską czy Jakubem Skrzywankiem) i warsztaty z występami miejscowych artystów – grup muzycznych i zespołów teatralnych. W obu tych dziedzinach miasto ma się czym pochwalić. Pełny program: kulturawolnosci.org. BCH

Stanisław Tym, **Wężykiem, wężykiem, czyli utwory znalezione pod łóżkiem**, Oficyna Wydawnicza Przybylik, Warszawa 2025, s. 264

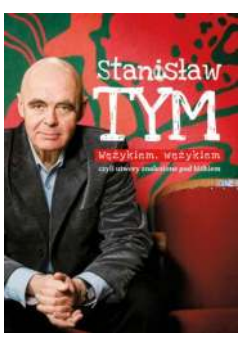

Były ostatnio książki biograficzne o zmarłym przed rokiem Stanisławie Tymie. Warto je poznać, ale tę pozycję znać trzeba: to zbiór znanych humoresek i skeczy napisanych przez samego Tyma, układających się w swoistą historię III RP, a przy tym przez niego także ilustrowanych. „Subiektywnie też uważam, że ze stron tej książki tryska optymizmem – bo wszystko, co tam napisałem, mamy już za sobą" – pisał autor. Ale aktualności to nie straciło. BCH

eprasa.pl f51a944834

Potrzebne nam są opowieści na czas kryzysu – mówi reżyserka **Katarzyna Minkowska**, laureatka Paszportu POLITYKI w kategorii scena.

Historia rodzinna

ANETA KYZIOŁ: **– Twój teatr często jest opisywany jako „terapeutyczny". To trafny przymiotnik czy upraszczająca etykietka?**

KATARZYNA MINKOWSKA: – Z jednej strony nie lubię „kultury terapii", bo mam świadomość, że terapia, poza wszystkim, jest też częścią kapitalistycznego łańcucha produkcji problemów i sprzedawania na nie rozwiązań. Drażni mnie też żargon terapeutyczny, bo on również został przyjęty przez korporacje, pojawiło się coachowanie do bezprzemocowej komunikacji, która często nie jest ani bezprzemocowa, ani nie służy komunikacji, za to bardzo trudno się przez nią przebić. Ten język analizujemy w „Scenach z życia małżeńskiego" według Bergmana w Starym Teatrze w Krakowie. Język terapeutyczny często nie pomaga nazwać podstawowego problemu, którym jest to, czy naprawdę chcemy nazwać swoje emocje. Możemy to robić w bardzo koślawy sposób, ale liczy się chęć. I tu druga rzecz: cieszy mnie, że ludzie znajdują w naszych spektaklach impuls do rozmowy, do zastanowienia się nad swoimi relacjami, nad tym, w czym tkwimy, nad schematem, który w życiu powtarzamy. Sama się zastanawiam nad rozmaitymi rzeczami i skoro nie mam odpowiedzi, i widzę, że innych ludzi nurtuje podobna sprawa, to uznaję, że ma sens głębiej jej się przyjrzeć w teatrze, wspólnie z wnikliwymi partnerami.

Czyli podczas pracy z aktorami i ekipą nie stosujesz narzędzi terapeutycznych, jak przed laty Maja Kleczewska na próbach?

Główną metodą, którą stosuję w pracy, jest rozmowa. Każdy sam decyduje o tym, czym się podzieli podczas prób. Ja mam tak – i nie jest to technika, tylko po prostu taki sposób bycia – że często dzielę się fragmentami swojego życia, nie na zasadzie zwierzenia czy traumatycznej historii, tylko na podstawie tego analizuję jakieś zachowanie, próbuję uchwycić jakiś mechanizm. To podstawa do dalszej pracy, pozwala trzymać się życia, nie uciekać w teorie psychologiczne.

Katarzyna Minkowska (ur. w 1992 r.) – reżyserka, współautorka scenariuszy do swoich spektakli, absolwentka Akademii Teatralnej w Warszawie. Zadebiutowała raptem sześć lat temu, ale ma już na koncie wiele spektakli, nagród i uznanie publiczności. W tym: „Stream" (TR Warszawa), „Cudzoziemka" (Teatr Polski w Poznaniu), „Mój rok relaksu i odpoczynku" (Teatr Dramatyczny w Warszawie), „Kiedy stopnieje śnieg" (TR Warszawa), familijny „Człowiek jaki jest, każdy widzi" (Nowy Teatr w Warszawie, Teatr im. Żeromskiego w Kielcach), „Sceny z życia małżeńskiego" (krakowski Stary Teatr), „Wszyscy jesteśmy Belén" (olsztyński Teatr im. Jaracza). Wyreżyserowała też pożegnalne koncerty Quebonafide na Stadionie Narodowym.

PARTNER KATEGORII Białystok

eprasa.pl f51a944834

Ale z dramaturgiem – moim pierwszym partnerem w pracy nad spektaklem – na pierwszym spotkaniu rozmawiamy o konstrukcji. Wypracowanie jej daje pewność, że wiemy, o czym robimy spektakl.

Chyba najsilniejszy rys terapeutyczny miał spektakl „Kiedy stopnieje śnieg", wystawiony w TR Warszawa dwa lata temu, na podstawie scenariusza, który stworzyłaś wraz z Tomaszem Walesiakiem? To opowieść o śmierci dziecka, o rodzinnych tajemnicach, traumach, przemilczanych lękach, uśmierzanych przez kolejne generacje alkoholem i lekami.

Temat dziedziczenia traumy pojawił się ostatnio też, bardzo ładnie poprowadzony, w „Wartości sentymentalnej" Joachima Triera. Ta trauma – w mojej opinii – zawiera się w niewypowiedzianych emocjach osób, z którymi przebywamy. Czujemy te tajemnice w naszych rodzicach, dziadkach, krewnych. Ktoś ci powtarza, że wszystko jest w porządku, ale ty wiesz, na poziomie emocjonalnym – instynktownie – że nie jest w porządku. I to generuje lęk, strach, zapisuje się w ciele. To dla mnie bardzo osobista, rodzinna historia.

Po premierze okazało się, że to osobista historia także wielu widzów.

Mieliśmy wsparcie psychologa podczas pracy nad spektaklem, bo ten temat był bliski osobom z zespołu, działał na tak wielu poziomach, że czasami jakaś drobna rzecz, jakiś żart potrafił boleśnie dotknąć i wywołać falę emocji. Dla mnie to też było trudne, choć od wydarzenia, do którego się odnosimy, minęły dwa lata. Wcześniej zapytałam rodzeństwo o zgodę i usłyszałam, że tak, opowiadajmy o tym, bo to może pomóc innym być bardziej świadomymi, uważnymi i w efekcie zareagować odpowiednio wcześnie.

Inne twoje przedstawienia też są tak nasycone autobiograficznie?

I tak, i nie. Np. „Cudzoziemka" z poznańskiego Polskiego wzięła się z tego, że z aktorką wykonującą tytułową rolę, Aloną Szostak, kiedyś, przy okazji innego projektu, spotkałyśmy się i zaczęłyśmy rozmawiać. Ona opowiadała o swojej teściowej, ja o swojej babci i nagle się zorientowałyśmy, że to jest ten sam typ: podobny sposób wypowiedzi, reakcje i wpływ na rodzinę. Pomyślałyśmy, że ciekawie byłoby o tym zrobić spektakl. Kiedy opowiadałam to Maciejowi Nowakowi, dyrektorowi Polskiego, powiedział: a przeczytaj „Cudzoziemkę", tak na świeżo. A to była ulubiona książka mojej babci! Przeczytałam i uzmysłowiłam sobie, że to ona! Alona też rozpoznała w Róży swoją teściową. Pomyślałyśmy, że to pokoleniowa sprawa. W powieści też pulsuje autobiograficzna prawda – Kuncewiczowa opisała w niej swoją matkę i rodzinę. Z kolei „Stream", którym w 2020 r. debiutowałam w TR Warszawa, to odbicie tamtego czasu w naszych życiach: głodu kontaktów i opowieści z lockdownu, ale też naszych związków, doradzania przyjaciółkom i sobie samej, i w kółko popełniania tych samych błędów. Jest to też opowieść o zamrożeniu i stracie. Spektakl jest wciąż grany, niedawno na niego poszłam i zalała mnie fala wzruszenia. Ale na przykład „Burzę. Regulamin wyspy" według Szekspira sprzed dwóch lat mieliśmy początkowo robić o czymś innym, jednak każda próba w teatrze w Opolu zahaczała o różne sytuacje z polskiego teatru spod znaku #MeToo. To też był moment środowiskowych calloutów, świadectw w gazetach i mediach społecznościowych, moment rozpadu dyrekcji Teatru Dramatycznego w Warszawie. Więc uznaliśmy z dramaturgiem Jankiem Czaplińskim, że trzeba za tym iść.

W osobie Prospera – maga, reżysera, autorytarnego władcy wyspy – krytycy doszukiwali się portretu Krystiana Lupy.

Tam było też dużo z innych postaci polskiego teatru, cytowaliśmy ich wypowiedzi z wywiadów, towarzyszyło nam przy tym dużo śmiechu i trochę łez. Ale też bez przesady, bo ja nie jestem fanką okrucieństwa czy jednowymiarowych bohaterów. Prospero to jednak ojciec, którego Miranda kocha. Bywa pokraczny, wiele rzeczy mu umyka, bo się starzeje, nie radzi sobie z tym, że jego zdanie, opinie nie mają już takiego znaczenia jak kiedyś. Ważne, żeby zobaczyć w nim człowieka, a nie figurę. Inaczej niczego się nie nauczymy, będziemy powtarzać stare błędy. Reżyserowałam w TR Warszawa i w Teatrze Dramatycznym, widziałam błędy ich dyrektorów: Grzegorza Jarzyny i Moniki Strzępki, ale to nie przekreśla dobrych rzeczy, które od nich dostałam – uwagi i wsparcia. Dzięki zaufaniu Moniki mogłam zrobić jeden z moich ukochanych spektakli „Mój rok relaksu i odpoczynku". Trzymanie w sobie intensywnych, negatywnych emocji i przekreślanie człowieka jest zupełnie niekonstruktywne zarówno w życiu, jak i w pracy twórczej.

Doświadczenie ruchu #MeToo zmieniło polski teatr?

W przyszłym sezonie wrócę do „Burzy" Szekspira, tym razem w teatrze w niemieckim Schwerinie, i myślę o spektaklu o skończonych mechanizmach rewolucji. Bo one są skończone, przerabialiśmy to wiele razy: w końcu zawsze wracają stare metody i mechanizmy. Choć oczywiście są wyjątki – jak choćby dyrekcja Pawła Dobrowolskiego w Teatrze im. Jaracza w Olsztynie, gdzie zrealizowaliśmy najnowszy spektakl, „Wszyscy jesteśmy Belén" według reportażu o zwycięskiej walce argentyńskich kobiet o bezpieczną aborcję. Tam jest energia, można wszystko przegadać: pomysł, ograniczenia i co możemy z tym zrobić? Ale generalnie teatr wydaje się wracać do ustawień fabrycznych. Maja Kleczewska jako dyrektorka warszawskiego Powszechnego nawołuje do ojcobójstwa, jakby znów były lata 90., znów bunt i zmianę utożsamia się z silnym młodym mężczyzną. Z drugiej strony uczę na wydziale reżyserii w Warszawie i moi studenci, jak ich zapytać, jaki teatr ich interesuje, to odpowiadają, że chcą robić narracyjny teatr, opowieści. To nie są buntownicy, których wygląda część środowiska, ale publiczność wydaje się czekać właśnie na taki teatr. Potrzebne nam są opowieści na czas kryzysu.

Wspomniałaś o „Wszyscy jesteśmy Belén". Przed premierą żartowałaś, że po latach teatru terapeutycznego wreszcie idziesz w politykę. To spektakl dotykający zawiedzionych oczekiwań wyborczyń, którym Koalicja Obywatelska obiecała ustawę o bezpiecznej aborcji.

Trochę tak. Co nie oznacza, że w naszych spektaklach polityki nie było wcześniej – terapia przecież bardzo się łączy z ekonomią i klasowością. We „Wszyscy jesteśmy Belén" jest to jeszcze podkreślone – tam za poronienie na karę więzienia zostaje skazana dziewczyna z niższych warstw społecznych. Od niej zaczęła się ta zwycięska walka o prawa kobiet, w tym prawo do bezpiecznej aborcji. Ważną postacią jest jej matka, jej uniżona postawa wobec lekarzy, prawników, czyli w jej opinii – elity społeczeństwa, to, jak musi się zapożyczać, by zdobyć pieniądze na pomoc prawną dla córki. Ale najważniejszy jest chyba język, którym mówi mama Belén. Dramaturżka Martyna Wawrzyniak świetnie złapała ten rodzaj niepewności językowej, która determinuje dialog między ludźmi z różnych warstw społecznych.

To spektakl, w którym o prawo do aborcji walczą także członkinie stowarzyszenia Katoliczki za Prawem ▶

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl f51a944834

© MICHAŁ MAZUREK

„Wszyscy jesteśmy Belén”, Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie

do Decydowania o Sobie. Plakat, odnoszący się do Matki Boskiej i dzieciątka, wywołał oburzenie lokalnej kurii.

Wszystko to prawda. Sięgamy po argentyński przykład, żeby pokazać, że trzeba budować mosty ponad podziałami. Ale też, żeby zauważyć, że u nas kultura religijna jest z gruntu ponura, smutna i żałobna, a w Ameryce Południowej – zwrócona ku życiu, radosna. Zależało nam też na tym, żeby pokazać kobiety radosne, mające poczucie sprawczości. One nie przepraszają, są z siebie zadowolone, dumne, przez co potrafią też być drażniące. Ten spektakl pomógł też mi samej uzmysłowić sobie, że łatwiej mi przyjąć kobietę jako ofiarę. Zmieniam teraz tę perspektywę i już czuję, że lepiej mi się żyje. I o tym też jest ten spektakl.

Zaskakująco dużo w nim tańca, śmiechu, załatwiania ważnych spraw przy kawce i herbatce. Jak jest odbierany przez widownię?

W Argentynie protesty miały charakter choreograficzny – tańczono prosty układ, powtarzalny, to było równie nośne jak pieśni czy skandowanie haseł. U nas taniec nie jest tak popularny, na protestach się maszeruje. Byłam na kilku pokazach spektaklu i widzę, że ludzie biją brawo w trakcie, śmieją się, odbiór jest bardzo emocjonalny.

To jaki następny krok?

Obserwuję środowisko i analizuję także po to, żeby nie powielać niektórych postaw, schematów. Bo jednak dla mnie i mojej ekipy sukces przyszedł dość szybko, jesteśmy przecież w teatrze raptem sześć lat. Teraz wszyscy mnie pytają: a co zmienił ten Paszport POLITYKI? Odpowiadam: w mojej głowie nic nie zmienił, bo ciężko pracuję, żeby nagrody nie budowały we mnie nadmiernej pewności siebie. Cieszę się z gratulacji, to bardzo miłe, że ludzie mieli ochotę do mnie napisać. I myślę, co jeszcze mogę zrobić fajnego, bo czuję, że to jest dopiero początek, chciałabym spróbować nowych dróg.

Jakich?

Bardzo mnie ciekawi język filmowy. Z jednej strony powinno być łatwiej, bo wszyscy zauważają, że nasze spektakle są narracyjne, mają filmowy montaż. Z drugiej to w filmie jest oczywistość, i zastanawiam się, co mogę dodać od siebie. Ale film jest pociągający, bo trafia do szerszej widowni, można poeksperymentować z innymi formami, dużo się dzieje na montażu, dużo w ogóle opowiada sam obraz i to jest fascynujące, bo w teatrze jednak głównie króluje słowo.

Czyli przerwa z teatrem?

Tak i nie, bo mam spektakle zaplanowane od początku przyszłego sezonu, od jesieni, ale już trwają rozmowy, przygotowania. Najpierw robię spektakl z młodzieżą licealną w TR Warszawa, w połowie listopada będzie premiera w Teatrze im. Jaracza w Łodzi, potem spektakl w Teatrze Komedia w Warszawie. Następnie „Burza” w Schwerin. Po drodze – Teatr Telewizji. I wciąż uczę na wydziale reżyserii.

Czy wyreżyserowanie pożegnalnych koncertów Quebonafide na Stadionie Narodowym w czerwcu ubiegłego roku było impulsem do tej zmiany?

Kuba do mnie zadzwonił po obejrzeniu „Mojego roku relaksu i odpoczynku” i „Kiedy stopnieje śnieg”. Jest nieszablonowo myślącą osobą i intuicyjnie dobiera partnerów do współpracy. Od razu się zgodziłam, bo podekscytowała mnie myśl o możliwościach realizacyjnych stadionu i rozmachu widowiska. Powinnam się stresować, ale ja generalnie mam poczucie, że narzędzia reżyserskie można z powodzeniem wykorzystywać w różnych gatunkach sztuki. Na stadionie scenariuszem była setlista piosenek, akcja i dramaturgia były rozpisane punkt po punkcie, co do sekundy. Było oczywiście dużo nowych elementów, ale towarzyszyli mi wybitni profesjonaliści w swoich dziedzinach, to był wielki zaszczyt z nimi pracować. Największą różnicą w stosunku do teatru była reakcja widowni. Te 80 tys. osób na stadionie skaczące, tańczące, płaczące, śpiewające w reakcji na widowisko, które wspólnie stworzyliśmy, to coś niesamowitego. W teatrze na widowni często panuje rodzaj rezerwy, każdy element akcji i minuta spektaklu są oceniane, spektakl zdecydowanie nie jest doświadczeniem fanowskim. Ta koncertowa energia od widzów trzymała mnie przez kilka tygodni.

ROZMAWIAŁA ANETA KYZIOŁ

Współorganizator Gali
TVP

Partnerzy Główni
TOTALIZATOR SPORTOWY 7 LAT
zaKS Stowarzyszenie Autorów ZAiKS
PZU FUNDACJA
ORLEN

Partner Oficjalny
Warszawa

Partnerzy Kategorii
Książka: Sopot
Sztuki wizualne: KRUK
Film: KUJAWY POMORZE; FUNDUSZ FILMOWY KUJAWY POMORZE
Scena: Białystok
Muzyka popularna: PZU FUNDACJA
Muzyka poważna: ART & SCIENCE

Partner Medialny
tokfm

eprasa.pl f51a944834

POLITYKA *na ferie*

Ostatnia szansa na zakup subskrypcji Polityka.pl

w cenie 4 zł / tydzień przez rok

polityka.pl/powitalna

eprasa.pl f51a944834

Świat według Safdiech

Po kilku latach sukcesów bracia Benny i Josh Safdie, tworzący dotąd nierozerwalny duet, poszli osobnymi artystycznymi ścieżkami. A wyreżyserowany przez Josha „Wielki Marty” powalczy o Oscary.

JAKUB DEMIAŃCZUK

W ostatnich miesiącach Josh i Benny Safdie stoczyli ze sobą w kinach korespondencyjny pojedynek. Obaj zrealizowali filmy o sportowej rywalizacji, inspirowane prawdziwymi biografiami zawodników i wykraczające daleko poza gatunkowe ograniczenia. Zaczął Benny: jego „Smashing Machine”, historia zawodnika mieszanych sztuk walki Marka Kerra, we wrześniu ubiegłego roku na festiwalu w Wenecji zdobyła Srebrnego Lwa dla najlepszego reżysera, była powszechnie chwalona za dojrzałe role Dwayne’a Johnsona i Emily Blunt, jednak w kinach poniosła finansową klęskę.

Drobne cwaniaczki

Miesiąc później na festiwalu filmowym w Nowym Jorku Josh Safdie pokazał światu „Wielkiego Marty’ego”, luźno inspirowanego biografią Marty’ego Reismana, legendarnego (także ze względu na barwną osobowość) zawodnika tenisa stołowego. Pierwszy film nakręcony bez artystycznego wkładu Benny’ego okazał się jednym z najgoręcej oklaskiwanych tytułów ubiegłego roku. Oscarowe nominacje są jedynie zwieńczeniem długiej listy wyróżnień i nominacji: film ma już na koncie Złoty Glob za tytułową rolę Timothéego Chalameta i kilkanaście mniejszych wyróżnień. Także publiczność wykazała w tym przypadku większe zainteresowanie, choć w Stanach Zjednoczonych film wszedł do szerokiej dystrybucji w trudnym świątecznym momencie, gdy widzowie wybierali raczej nowego „Avatara”, a nie ambitny komediodramat wyrastający z ducha kina niezależnego.

Grany przez Chalameta bohater „Wielkiego Marty’ego” jest sportowcem wielce utalentowanym, lecz niepokornym i zbyt

eprasa.pl f51a944834

Timothée Chalamet jako Marty, niepokorny zawodnik tenisa stołowego

chętnie ulegającym pokusom łatwego życia. Kradnie pieniądze ze sklepu swojego wuja, by wyjechać na zawody do Wielkiej Brytanii, próbuje okraść uwiedzioną aktorkę, której sława dawno przebrzmiała (to pierwsza od dawna poważna rola Gwyneth Paltrow), na wszelkie nielegalne sposoby próbuje zdobyć pieniądze potrzebne mu do zapłacenia kary nałożonej na niego za oszustwa przez federację tenisa stołowego. Na swojej drodze spotyka całą galerię oryginałów: gangstera, który poszukuje zaginionego psa, biznesmena, który marzy o tym, by swoimi wiecznymi piórami podbić Japonię, ambitnych zawodników i drobnych oszustów, a nawet drużynę koszykarską Harlem Globetrotters, z którą wyrusza na światowe tournée, by w przerwach pokazowych meczów rozbawiać publiczność pingpongową ekwilibrystyką.

Kto uważnie śledził dotychczasowe filmy braci Safdiech, zauważy, jak wiele łączy z nimi „Wielkiego Marty'ego". Utrzymany jest w podobnej tonacji co „Good Time", „Nieoszlifowane diamenty", a nawet wcześniejsze produkcje. To ten sam świat, zaludniony przez dziwaków, hochsztaplerów, drobnych cwaniaczków, wiecznie goniących za sławą, pieniędzmi, sensem życia. Reżyser utrzymuje swoich bohaterów w nieustającym ruchu, wydarzenia pędzą do przodu niczym w sensacyjnym thrillerze, bo Marty usiłuje łapać nadarzające się okazje na odmianę lub choćby chwilową poprawę losu.

Życie okazuje się tu raczej sumą niezliczonych przypadków, jego kurs trzeba korygować na gorąco, najczęściej nie oglądając się na innych. Marty żyje chwilą, każdego dnia manewruje w gęstym tłumie, próbując się odnaleźć w zgiełku wielkiego miasta. Jest bufonowatym egocentrykiem, nie budzi sympatii, lecz w pewnym momencie zaczynamy mu wbrew własnej woli kibicować, bo jego bezczelność i buta są do pewnego stopnia imponujące.

„Wielki Marty" to pomost przerzucony między wczesnymi filmami Safdiech a teraźniejszością. Akcja filmu toczy się we wczesnych latach 50. (z pietyzmem odwzorowanych na ekranie), ale na ścieżce dźwiękowej znalazły się hity z lat 80., m.in. piosenki Petera Gabriela, Tears for Fears oraz New Order, tempo akcji zaś jest już całkiem współczesne. Josh wraca do tematów, które pojawiały się w jego twórczości od początku: w ping-ponga grała bohaterka debiutanckiego pełnego metrażu braci „The Pleasure of Being Robbed" (2008 r.), reżyser Abel Ferrara, który tutaj gra gangstera, wystąpił w epizodzie ulicznego bandziora w „Daddy Longlegs" (2009 r.), w epizodzie można też usłyszeć Roberta Pattinsona, który zagrał wcześniej główną rolę w „Good Time" (2017 r.). A współscenarzystą filmu jest stały współpracownik braci Ronald Bronstein, który pracował (także jako montażysta, a okazjonalnie jako aktor) przy niemal wszystkich pełnometrażowych fabułach Safdiech.

Z miłości do miasta

Dzięki gwiazdom w obsadzie i sięgającym kilkudziesięciu milionów dolarów budżetom bracia Safdie weszli na kolejny etap artystycznych karier, lecz przecież od dawna należeli do czołowych twórców amerykańskiego kina niezależnego. Josh (rocznik 1984) i Benny (rocznik 1986) pierwsze filmy kręcili jeszcze jako dzieci, podkradając należącą do ich ojca kamerę. W jednym z wywiadów Alberto Safdie wspominał, że kamera była jego ulubioną zabawką, więc starał się ją chować przed synami, ale oni zawsze zdołali ją znaleźć i zrobić z niej stosowny użytek.

Profesjonalnie zajęli się realizacją filmów na przełomie wieków. Zrealizowali kilkanaście krótkich metraży, w 2008 r. ich pełnometrażowy obraz „The Pleasure of Being Robbed" trafił do programu festiwalu SXSW (South by Southwest) w Teksasie, a później do canneńskiego programu Directors Fortnight (jako reżyser podpisał się wówczas wyłącznie Josh, lecz Benny brał czynny udział w realizacji filmu). Scenariusz był dość nieoczekiwanym rozwinięciem reklamy torebek, nad którą pracował Josh. Pomysł na historię krążącej po ulicach miasta kleptomanki spodobał się jednak na tyle, że wraz z grającą główną rolę Eleanor Hendricks rozwinął go do dłuższej fabuły. Przez amerykańską krytykę film nie został, delikatnie mówiąc, ciepło przyjęty. „Najlepszy przykład tego, co się dzieje, gdy narzędzia filmowe dostają do rąk ludzie, którzy nie mają nic do powiedzenia", pieklił się recenzent magazynu „Slant".

Tymczasem „The Pleasure of Being Robbed" to już świadectwo nie tylko umiejętności, lecz także autorskiego podejścia do opowiadanych historii. Wyrastająca z tradycji *mumblecore* – realistycznego, ▶

© NINA WESTERVELT/VARIETY/GETTY IMAGES, MONOLITH FILMS

eprasa.pl f51a944834

▶ przyziemnego nurtu amerykańskiego kina niezależnego – narracja ma już w sobie większość elementów, które będą charakterystyczne dla całej twórczości Safdiech. Jej bohaterowie wydają się zagubieni w zderzeniu z rzeczywistością, często ignorują społeczne normy, bywają irytujący, lecz są przy tym bardzo ludzcy. To również pierwszy z wielu listów miłosnych Safdiech do Nowego Jorku, jego zatłoczonych ulic, brudnych zaułków, podrzędnych knajp, hałasu i przede wszystkim jego mieszkańców z ich dziwactwami, fobiami, ledwo skrywaną agresją, lecz czasem również zaskakującą wyrozumiałością. W jednej z najlepszych scen „The Pleasure..." Eleanor (postaci noszą w tym filmie imiona grających je aktorów i aktorek), choć została aresztowana za kradzież, udaje się namówić eskortującego ją policjanta na krótki spacer po zoo w Central Parku. Takie rzeczy tylko w Nowym Jorku.

Kolejny film bracia podpisali już wspólnie. „Daddy Longlegs" był w znacznej mierze inspirowany ich doświadczeniami dorastania w rozbitej rodzinie. Główny bohater (Ronald Bronstein, który wraz z Joshem napisał również scenariusz), nonszalancki kinooperator, przez kilka dni musi się zająć dwójką swoich synów (zagranych przez synów Lee Ranaldo, gitarzysty zespołu Sonic Youth), lecz nie potrafi pogodzić swoich potrzeb z koniecznością opieki nad dzieciakami. Twórczy styl Safdiech zyskał tu pełny kształt: uliczny realizm zdjęć z kamerą nerwowo podążającą za postaciami, próba uchwycenia życia miasta na gorąco, poezja codzienności, sardoniczny humor zgrabnie puentujący wybory i porażki bohaterów, wreszcie naturszczycy i aktorzy nieprofesjonalni w mniejszych rolach i kluczowych epizodach.

Po pokazach w Cannes i amerykańskiej premierze na festiwalu Sundance na Safdiech wreszcie zwróciła uwagę szersza publiczność, a przede wszystkim bracia zaczęli dostawać propozycje kolejnych realizacji. Zachowali przy tym artystyczną wolność. Nakręcili dokument „Lenny Cooke" (2013 r.) o niespełnionej karierze młodego koszykarza oraz dramat „Bóg wie co" (2014 r.), historię młodej narkomanki próbującej się uwolnić od nałogu i przemocowego partnera. Do zagrania głównej roli Josh namówił Arielle Holmes, która na podstawie własnych dramatycznych przeżyć napisała wspomnienia, przerobione później na scenariusz. Przed kamerą pojawiła się jeszcze w czasie odwyku, stworzyła przejmującą i w pełni wiarygodną kreację. Choć potem wystąpiła jeszcze w paru filmach (m.in. w „American Honey" Andrei Arnold), ostatecznie porzuciła aktorstwo, lecz wspominała, że praca z Safdiemi pozwoliła jej wyjść na prostą.

Dobry czas

Z czasem nadeszły wreszcie komercyjne sukcesy. Safdie trafili pod skrzydła zdobywającego popularność studia A24, słynącego z produkcji i dystrybucji ambitnego kina (i mającego już wówczas w katalogu m.in. oscarowe „Moonlight"). Pierwszym filmem Safdiech w dystrybucji A24 było „Good Time" (2017 r.) o drobnym złodziejaszku próbującym uwolnić swojego młodszego brata z aresztu. Scenariusz powstał z myślą o Robercie Pattinsonie, z którym Safdie chcieli pracować od czasu, gdy aktor przyznał im, że jest fanem filmu „Bóg wie co". Na ekranie partnerował mu Benny w pierwszej dużej roli w karierze. Początkowo Safdie chcieli zatrudnić aktora z niepełnosprawnością umysłową, obawiali się jednak, że warunki pracy oraz intensywność zdjęć, realizowanych głównie w nocy, nie będą stanowiły dla niego bezpiecznego środowiska pracy. Występ Benny'ego okazał się tak dobry, że wkrótce przyniósł mu kolejne znaczące role, m.in. u Paula Thomasa Andersona („Licorice Pizza") i Christophera Nolana („Oppenheimer").

Współpracownicy Safdiech chwalili pracę na planach ich filmów. „Obaj doskonale się uzupełniają. Na planie Josh myśli obrazami, ale jednocześnie jest bardzo obecny, jeśli chodzi o pracę z aktorami i ocenę ich gry na bieżąco. Benny myśli bardzo logicznie, to on jest człowiekiem, który ogarnia cały bałagan", mówił w dokumencie poświęconym braciom Sean Price Williams, operator ich wczesnych filmów. I dodawał, że wbrew pozorom Safdie marzą o tym, by kręcić filmy, które ludzie będą oglądać. „Oni naprawdę chcą robić popularne kino".

W 2019 r. Safdie nakręcili „Nieoszlifowane diamenty", film zrealizowany według sprawdzonej reguły: Adam Sandler gra jubilera zadłużonego u podrzędnych gangsterów – był projektem, nad którym bracia pracowali od lat. Komercyjny i artystyczny sukces miał się okazać – o czym Josh i Benny jeszcze wówczas nie wiedzieli – ich ostatnim jak dotąd wspólnym projektem. Nie udał im się planowany remake komedii kryminalnej „48 godzin" – gotowy scenariusz nie spodobał się wytwórni Paramount – ani kolejny projekt z Sandlerem w roli głównej, tym razem skoncentrowany na środowisku kolekcjonerów kart baseballowych. Zaawansowane prace najpierw przerwał strajk hollywoodzkich scenarzystów i aktorów, później Benny wycofał się z filmu. Wreszcie bracia ogłosili, że ich artystyczna współpraca dobiegła końca, rzekomo na pokojowych warunkach, choć część prasy branżowej plotkowała na temat ich kłótni (w tle były podobno m.in. kłopoty ich firmy producenckiej Elara Pictures, której współzałożyciel został oskarżony o molestowanie seksualne nastolatek). Benny, pytany przez magazyn „Variety", czy będzie jeszcze reżyserował wspólnie z bratem, ucinał temat krótko: „Nie wiem".

Artyści osobni

„Wielki Marty" udowadnia, że to przede wszystkim Josh był artystycznym motorem napędowym filmów Safdiech, i wiele wskazuje na to, że może dalej podążać wytyczoną przez siebie ścieżką – także jako producent, w tej funkcji wspierał m.in. realizację głośnego filmu „Kopnęłabym cię, gdybym mogła" (także wejdzie wkrótce do polskich kin). Tymczasem Benny jawi się jako twórca poszukujący: „Smashing Machine" był próbą odejścia od dotychczasowej stylistyki, podobnie jak oparty na cringe'owym humorze serial „Klątwa", który stworzył do spółki z komikiem Nathanem Fiedlerem i w którym zagrał jedną z trzech głównych ról (obok Fiedlera i Emmy Stone) – skłonnego do manipulacji i przekrętów producenta telewizyjnego. Benny z aktorstwa zresztą nie zamierza zrezygnować: wystąpił m.in. w serialu „Obi-wan Kenobi" osadzonym w świecie „Gwiezdnych wojen", a w wakacje będzie można go podziwiać w roli Agamemnona w nolanowskiej „Odysei".

I choć „Wielki Marty" okazał się większym komercyjnym i artystycznym sukcesem (jeśli ten ostatni mierzyć liczbą branżowych nagród i wyróżnień), nie musi to oznaczać jednoznacznego zwycięstwa Josha w rywalizacji braci Safdiech. Lepiej przyjąć, że zamiast kreatywnego duetu mamy teraz dwóch artystów o odmiennym podejściu do kina. Twórczą drogę każdego z nich warto obserwować z równą uwagą.

JAKUB DEMIAŃCZUK

eprasa.pl f51a944834

Żeby uspokoić gniew

Kiedy poznałam okoliczności śmierci Hind Rajab, poczułam, że to jest dla mnie punkt krytyczny ludobójstwa – mówi tunezyjska reżyserka Kaouther Ben Hania, autorka nominowanego do Oscara filmu „Głos Hind Rajab".

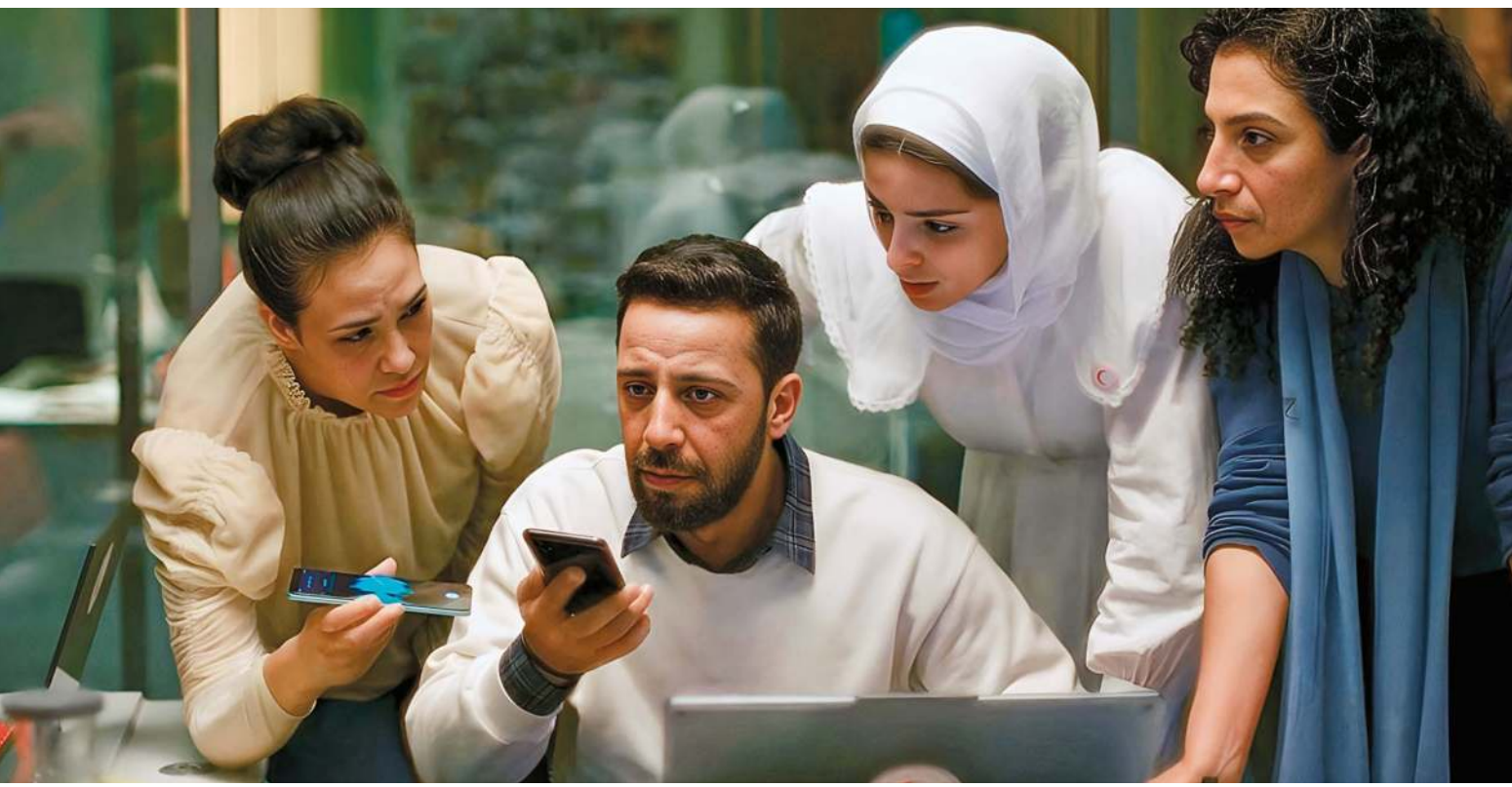

© ENT-MOVIE/ALAMY STOCK PHOTO

OLA SALWA: **– Pierwszy raz usłyszała pani głos sześcioletniej Hind Rajab zimą 2024 r. Była pani na lotnisku, w trasie promocyjnej nominowanych do Oscara „Czterech córek". Tragiczne doniesienia z Gazy napływały co chwila. Co sprawiło, że akurat ta historia przyciągnęła pani uwagę na tyle, że odłożyła pani na bok projekt, nad którym pracowała od lat?**

KAOUTHER BEN HANIA: – Być może sam jej głos. Być może sytuacja, w jakiej się znalazła. A może fakt, że dziecko błaga o życie. Dzieci w normalnych okolicznościach tego nie robią – po prostu są, żyją. Kiedy poznałam okoliczności śmierci Hind, poczułam, że to jest dla mnie punkt krytyczny ludobójstwa. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej potwornego. Zabito sześcioro członków rodziny, przy życiu została tylko dziewczynka. Następnie dano zielone światło karetce, która miała ją uratować, po czym zbombardowano ambulans i pozwolono dziecku umrzeć. To straszliwa zbrodnia wojenna. Choć był to dla mnie moment graniczny, nie oznaczał końca ludobójstwa. Rzeczywiście pracowałam wtedy nad innym filmem, byłam już nawet w trakcie zdjęć, a jednocześnie wciąż docierały do mnie kolejne tragiczne doniesienia ze Strefy Gazy. Historia Hind jest wyrazista i mocna, a kino potrzebuje jednej, konkretnej opowieści. Nie da się opowiedzieć ich wszystkich naraz – wtedy powstaje film, który w gruncie rzeczy nie mówi niczego. Wybierając jedną i skupiając się na niej, można zrozumieć skalę tego, co się dzieje w Gazie.

Hind tylko słyszymy. Widzimy za to zespół Czerwonego Półksiężyca pracujący na Zachodnim Brzegu, który chce ją uratować – aktorzy grają prawdziwych pracowników. Skąd ten pomysł i jak wyglądał proces pisania scenariusza?

Historię trzeba było gdzieś umieścić. Dla mnie najlepsza była ta przestrzeń, w której siedzieli ludzie słuchający głosu Hind i którzy robili wszystko, co mogli, by ją ocalić. Gdy zdecydowałam się na taką właśnie perspektywę, skontaktowałam się z Czerwonym Półksiężycem i dostałam od nich całe nagranie rozmowy alarmowej, 70 minut. Jest na nim wszystko, w tym zabicie Layan Hamady, 15-letniej kuzynki Hind, cała rozmowa dziewczynki z Omarem, dyspozytorem. Na końcu słychać bombardowanie karetki. Chciałam się dowiedzieć, co się działo po drugiej stronie nagrania i wokół niego. Rozmawiałam ▶

eprasa.pl f51a944834

▶ z prawdziwymi uczestnikami: Raną, Nisreen, Mehdim i Omarem. Opowiedzieli mi w najdrobniejszych szczegółach o wszystkim, co się wydarzyło tamtego dnia: jak się zachowali, co czuli, gdzie się wykazali, nie ukrywali też swoich słabości. Na podstawie ich świadectwa napisałam scenariusz, potem dałam im go do przeczytania, poprosiłam o komentarze. To była partnerska współpraca.

Prowadzi pani narrację tak, że jeśli ktoś nie zna losów Hind, może do końca wierzyć, że sprawa zakończy się dobrze.

Niezupełnie taką miałam intencję. Jednak zdecydowałam, że film będzie się dział w czasie teraźniejszym – gdy zespół wierzy, że ratunek jest możliwy – i ta nadzieja po prostu udziela się widowni. Proszę tylko pomyśleć: karetka jest osiem minut jazdy od celu. Uważam, że to ważne, aby pokazać, że dało się ją ocalić. I że nie powinno do takiej sytuacji w ogóle dojść. A ja najchętniej nigdy bym nie zrobiła tego filmu – wolałabym, żeby Hind Rajab żyła i żeby nie było żadnego powodu, aby o niej usłyszeć.

Już przy poprzednim filmie, czyli „Czterech córkach", zatrudniła pani zawodowych aktorów, aby odgrywali prawdziwe osoby, które zresztą mogli poznać osobiście. Jak w takich warunkach reżyseruje pani obsadę?

Szukałam palestyńskich aktorów, którzy przypominają swoich odpowiedników w prawdziwym życiu. Nie tylko fizycznie, ale także pod względem temperamentu. Miałam szczęście i znalazłam taką właśnie czwórkę. Poprosiłam ich o wykonanie trudnego zadania, bo mieli z jednej strony wiernie trzymać się słów, które padają na nagraniu (poznali zresztą „swoich" bohaterów i razem z nimi pracowali nad rolami). Z drugiej strony bardzo mi zależało, żeby byli skupieni na „tu i teraz". Więc gdy wykuli na blachę kwestie, dałam każdemu z nich słuchawki, by po raz pierwszy usłyszeli Hind Rajab. To, co widzimy na ekranie, to ich prawdziwe, ludzkie reakcje, nie te zagrane. Słyszą głos dziewczynki, jakby rozmawiali z nią przez telefon, jakby wciąż żyła i jakby oni byli prawdziwymi pracownikami Czerwonego Półksiężyca, którzy właśnie odebrali tamto połączenie.

W wywiadach dystansuje się pani od stricte politycznego odczytywania filmu. Jak chciałaby pani, żeby był odbierany?

Kaouther Ben Hania (ur. 1977 r.) – tunezyjska reżyserka, scenarzystka, producentka. Tworzy kino zaangażowane społecznie, większość scenariuszy jej filmów – „Głos Hind Rajab", „Cztery córki", „Człowiek, który sprzedał swoją skórę" czy „Piękna i bestie" – jest oparta na faktach lub hojnie korzysta z metody rekonstrukcji wydarzeń. Wszystkie te filmy ubiegały się o nominację do Oscara. Trzy pierwsze – z sukcesem. „Głos Hind Rajab", właśnie wchodzący do polskich kin, otrzymał Grand Prix na festiwalu w Wenecji, gdzie oklaskiwano go ponad 20 minut. Na fot. Ben Hania ze zdjęciem zabitej Hind Rajab.

Niezupełnie to miałam na myśli. „Głos Hind Rajab" to przede wszystkim opowieść o ludziach. Myślę, że wszyscy się zgodzimy, że gdy mowa o dziecku, to sprawa wykracza poza socjologię, politykę i wszystko inne. Każdy z nas rozumie, co to znaczy mieć dziecko – czy to własne, czy to siostrzeńca lub bratanicę. To po pierwsze. Po drugie, potrzebowałam pokazać to, co zabiło dziewczynkę, jej rodzinę oraz sanitariuszy. Nie mówię o broni palnej czy czołgach, tylko o systemie, który działa w ten sposób. Więc w tym sensie nie da się uciec od politycznego odczytania motywu jej morderstwa.

Matka Hind Rajab, Wesam, przyjechała na premierę filmu w Dosze w Katarze, ale nie chciała go obejrzeć. Jaki był jej udział przy tej produkcji?

Była pierwszą osobą, do której zadzwoniłam, gdy postanowiłam nakręcić ten film. Nie mogłam go zrobić nie tylko bez jej zgody, ale i bez jej błogosławieństwa. To niesamowita kobieta. Powiedziała mi, że potrzebuje sprawiedliwości dla swojej córki. I że jeśli film ma w tym pomóc, to proszę bardzo, mogę go robić. Ostatecznie sama Wesam pojawia się w „Głosie", na końcu. I rzeczywiście nie chciała obejrzeć filmu, bo to dla niej byłoby zbyt bolesne. Na festiwalu w Dosze przyszła pod koniec projekcji i została, żeby się spotkać z publicznością. Gdy widzi, że jej córka nie została zapomniana, że widownia przyszła poznać jej losy i poczuć jej ból, czerpie z tego pocieszenie.

Pani film z przyczyn oczywistych nie będzie oficjalnie pokazany w Izraelu. Czy podejrzewa pani jednak, że część Izraelczyków obejrzy go w sieci, choćby z nielegalnych źródeł?

Mam nadzieję, że go obejrzą. O ile wiem, już można dostać piracką wersję, więc mają taką możliwość.

Czy dotarły do pani jakiekolwiek komentarze na temat filmu ze strony władz Izraela?

Nie.

Pracuje pani na styku fabuły i dokumentu, pisała pani na ten temat nawet pracę magisterską. Co jest w tym tak pociągającego?

Nie nazwałabym tego, co robię, fikcją tylko dlatego, że pracuję z aktorami. W fikcji chodzi przecież o zmyślenie. Użyłabym raczej terminu „rekonstrukcja wydarzeń". Wykorzystuję środki artystyczne, którymi dysponuje kino, aby przedstawić historię w bardziej efektywny, realistyczny sposób. Opowieść prowadzona w czasie teraźniejszym i z udziałem aktorów sprawia, że jest ona intymna, powstaje więź z widownią. Z kolei warstwa faktów zakorzenia film w rzeczywistości. To ryzykowny wybór, bo ludzie nie są przyzwyczajeni do takiej formy. Jednak wierzę, że warto prowadzić opowieść w taki właśnie sposób i że „Głos Hind Rajab" ma taką moc oddziaływania właśnie z powodu swojej formy.

Pani filmy – które zresztą były pokazywane w Polsce, jak „Cztery córki", „Człowiek, który sprzedał swoją skórę", „Piękna i bestie" – łączy temat jednostki skonfrontowanej z bezwzględnym systemem; raz jest to ISIS, raz reżim Baszara Asada, policja, a w tym przypadku siły okupacyjne.

eprasa.pl f51a944834

Dużo myślę o niesprawiedliwości, a to z kolei budzi mój gniew. Robię filmy, aby go uspokoić. W każdym z tych filmów mamy do czynienia ze stroną zdominowaną i dominującą, z agresorem. Moje kino pokazuje relację między kruchością jednostki a systemowym uciskiem jako takim.

W napisach końcowych „Głosu Hind Rajab" pojawiają się znane nazwiska: Brad Pitt, Rooney Mara, Joaquin Phoenix, Alfonso Cuarón. Jak tam trafili?

Kiedy kończyliśmy montaż, zastanawialiśmy się, jak sprawić, żeby film nie trafił do szufladki „niszowe kino autorskie na trudny temat i z napisami". Chcieliśmy, aby głos Hind odbił się szerokim echem. W takich sytuacjach w branży filmowej często prosimy znane osoby, aby wspomogły nas swoim nazwiskiem. Odezwaliśmy się do wielu osób, pokazaliśmy im film i liczyliśmy, że choć jedna się zgodzi. Ku naszemu zaskoczeniu wszystkich poruszył „Głos" i chcieli pomóc. Lista wciąż rośnie. W ostatnim tygodniu dołączyli Michael Moore i Spike Lee.

Skoro mowa o wielkich nazwiskach i Hollywood: jak się tam pani czuje, promując swoje filmy w ramach kampanii oscarowych? Pani kino sporo różni od tego powstającego w wielkich studiach.

Czuję się tam jak outsiderka, ale jestem tam też po to, żeby zmienić narrację. Dodam dla porządku, że kino hollywoodzkie to nie monolit, należy pamiętać, że powstały w nim także ambitne, wielkie filmy, jak choćby te opowiadające o wojnie w Wietnamie. Pokazywanie tam „Głosu Hind Rajab" jest istotne z jeszcze innego powodu. Muzułmanie, Arabowie, a przede wszystkim Palestyńczycy, byli przedstawiani w hollywoodzkich produkcjach w okropny sposób – stereotypowy, egzotyzujący. My, filmowcy z krajów arabskich, chcemy to zmienić. Bo jeśli sami nie opowiemy naszych historii, inni zrobią to w wykoślawiony sposób. Moja obecność tam, udział w kampanii oscarowej to właśnie działanie na rzecz zmiany narracji. To zresztą wyjątkowy rok dla arabskiego kina – na tzw. shortliście były aż cztery filmy z naszej części świata, trzy o Palestynie i jeden o Iraku. I to pokazuje, że akademicy mają dość hollywoodzkiego sposobu przedstawiania i rozumienia świata. Są zainteresowani innymi głosami i perspektywami w kinie.

Wszystkie trzy filmy o Palestynie wyreżyserowały kobiety, obok pani „Głosu" to „Palestine 36" Annemarie Jacir i „All That's Left of You" Cherien Dabis. Do tej pory kino z krajów arabskich kojarzyło się z nazwiskami mężczyzn. Czy mamy do czynienia ze zmianą?

Niekoniecznie. Kiedy sama zajęłam się kinem, w mojej rodzinnej Tunezji czy w Egipcie pracowały już reżyserki. Nie jest to więc zjawisko nowe, ale faktycznie mamy w naszym regionie wiele świetnych kobiet stojących za kamerą – i to jest rzeczywiście wyjątkowe.

Kiedy rozpytywałam o panią tunezyjskich filmowców, mówili, że zainspirowała pani wiele młodych dziewczyn do tego, żeby zajęły się kinem.

Czuję dużą presję. Pochodzę z rejonu, w którym nie mamy kina (z Sidi Bouzid, tam samospalenia dokonał Mohamed Bouazizi, co dało zaczyn arabskiej wiośnie – przyp. red.). Kiedy powiedziałam, że chciałabym robić filmy, powtarzano mi, że to nie jest dla nas. Pamiętam, że gdy uczyłam się jeszcze w szkole biznesowej, poszłam na pokaz pierwszego krótkometrażowego filmu innej tunezyjskiej reżyserki Raji Amari. To bardzo drobna, krucha kobieta, wygląda niemal jak dziecko. Przyszła na pokaz razem z producentką Dorą Bouchouchą. Kiedy zobaczyłam je obie, ale przede wszystkim malutką Raję, pomyślałam, że skoro ona może robić filmy, to ja też. Chcę przez to powiedzieć, że rozumiem, jakie znaczenie ma wzór do naśladowania z naszej kultury czy kraju.

„Głos Hind Rajab" krąży po świecie, a pani wraca do przerwanego projektu, historii kobiety, która w Tunezji lat 90. prowadzi śledztwo dotyczące sekty. Powiedziała pani, że do robienia filmów napędza ją gniew. Co panią zezłościło w tym konkretnym przypadku?

To będzie szersza refleksja na temat opowiadania historii i tego, jaką ono ma moc. Tym, co mnie w tym przypadku wścieka, jest to, że ludzie w głębi duszy nie dbają o fakty, o prawdę. Wolą usłyszeć piękną historię, nawet jeśli jest w pełni zmyślona.

ROZMAWIAŁA OLA SALWA

© INDEPENDENT PHOTO AGENCY SRL/ALAMY STOCK PHOTO

REKLAMA

eprasa.pl/51a944834

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Szef Kanału Zero Krzysztof Stanowski był widziany w klubie go-go. No proszę. A mówiono, że po wizycie patoinfluencerów Rodaków Kamratów nigdzie nie znajdzie lepszych gości.

●

Tomasz Karolak w biznesowym natarciu. Aktor został właśnie twarzą osiedla Dolina Krasowa w Krzeszowicach. Lubię Tomka, więc napiszę, że klucze do odbioru jeszcze w tym roku.

●

„Fani zachwyceni zdjęciem Majewskiego z żoną. Takie kadry to u nich rzadkość" – to Plotek. Wpisuję w Google: „Szymon z żoną" i wyskakują tysiące zdjęć. Ale takie gruntowne analizy to u nich rzadkość.

●

W rejestrze partii politycznych Sądu Okręgowego w Warszawie pojawiła się nowa nazwa partii Sławomira Mentzena. Zamiast Nowej Nadziei będzie Imperium Kontratakuje. Dla Grzegorza Brauna trzymają nazwę Łotr 1.

●

Mata wypuścił wspólny utwór z Fagatą. Internet jednogłośnie ocenił kompozycję: „Ściek". Dawno nie czytałem recenzji tak zachęcającej do słuchania.

●

Rusza proces sądowy Jakub Wątor vs. Filip Chajzer. W tle obrażanie w internecie, podejrzenie popełnienia przestępstwa i podżeganie do gróźb karalnych. I mamy prostą odpowiedź na pytanie, czy kebab jest szkodliwy.

●

Wirtualna Polska w formie. Pod zdjęciem Pauliny Krupińskiej tytuł: „Odsłoniła nogi do nieba. Figura jak u modelki". Oczywiście. A fast food przestanie nim być, jak zjesz go powoli.

●

TV Republika pokazała program, w którym Miłosz Kłeczek wraz z Jackiem Sasinem morsują w Jeziorze Choczewskim, a następnie odziani w ręczniki debatują w saunie. Polecam wyłącznie jako słuchowisko. Lub mem.

●

„Katarzyna Cichopek w zimowym wydaniu. Wszyscy patrzyli na jej skarpetki" – informuje Plejada. Ryszard Szurkowski na pytanie, co najbardziej zapamiętał z kolarstwa, odpowiedział: „Przednie koło".

●

Michał Figurski trafił na SOR w Egipcie i informuje, że: „Całe lobby było w marmurach, a meble pozłacane". Jak widać, stan jest poważny.

●

Netflix szykuje ekranizację powieści „Noce i dnie" Marii Dąbrowskiej. Karol Strasburger ocenił: niepotrzebne i nie na miejscu. Prawda. Sceny taplania się w błocie są dziś w każdym programie publicystycznym.

●

„Randka w ciemno" prowadzona przez Piotra Gąsowskiego znika z anteny Polsatu. Szkoda. To był trochę taki „Rolnik szuka żony", tylko z dowcipniejszym sołtysem.

●

TV Republika ma kłopoty finansowe i opłaciła koncesję tylko do końca stycznia. KRRiT informuje, że stacja poprosiła o rozłożenie opłat na raty. Jestem za. Komedia zawsze najlepsza w odcinkach.

●

„Agata Rubik zdradza, ile wydaje w USA na restauracje, kawki i matche. Padła kwota". To media, których praca to przepisywanie cudzego Instagrama. Po tej informacji nie tylko kwota padła.

●

Joanna Jabłczyńska i Sebastian Stankiewicz poprowadzą program „Dzień Dobry, Remoncie!" w stacji Remonty TV. Po dwóch częściach „Furiozy" wiemy, że Sebastian, jak chce, to potrafi kogoś urządzić.

Po 10 latach batalii sądowych premier Kazimierz Marcinkiewicz został zwolniony z obowiązku alimentacyjnego wobec Izabeli Olchowicz. To kolejny dowód ostatecznego rozpadu Zjednoczonej Prawicy.

© WOLF/NEWSPIX

eprasa.pl f51a944834

Passent

Mała kumulacja

Generacja Z mniej chomikuje niż pokolenie Józefa Hena i Hanny Krall, więc nie wiem, czy piękni dwudziestoletni tak na szybko znajdą jakieś skarby, nagrody, talerze, Noble, puchary i atrakcyjne maskotki, by zaspokoić ujadający narcyzm prezydenta Stanów Zjednoczonych. Przejrzałam naprędce piwnicę. Mam peerelowski kryształ z miedzianą tabliczką za drugie miejsce w turnieju debla na Warszawiance i dyplom z Bułgarii za singla. Pamiętam, że z Bułgarii przywiozłam różowy kombinezon narciarski dla bobasa (sama byłam bobaską juniorką), bo zwiedzaliśmy jakieś demoludowe zakłady wraz ze sklepem fabrycznym i starsze koleżanki radziły brać puchówki na handel w Polsce. Donald Trump ma w tej kadencji mental bobasa z dużą łopatką, więc może wbije się w te porcięta.

Generacja Z, tzw. dżenzi, niczego nie chomikuje, bo nie ma gdzie. Albo są nomadami cyfrowymi na callach w Indonezji czy Hiszpanii, albo udało się nam ich okraść do gołej kości i właśnie wraz z poliamoryczną gromadką i trzema konsolami zmierzają z walizką kupioną na Vinted w naszą stronę, by się rozgościć na kilka lat oczekiwania, aż mamusia przeniesie się na łono Abrahama. Milenialsi w grodzonych osiedlach też niepodpiwniczeni. Za to mają wyłączony z użycia basen (woda i energia za drogie), a tam głupio trzymać zardzewiałe kije golfowe czy weki z pomidorami nastawione w panice 24 lutego 2022 r. Zresztą nowy amerykański minister zdrowia bardziej kocha rzeźnię (być może numer pięć) niż pomidory, więc weków by nie przyjęli.

> Zapomniane słowa są dziś jak stare psy w schroniskach: „galanteria, flakon, sprawunki, perkal, aktyw, garmaż".

Pamięć jest kompletnie wybiórcza, moja działa jak maszyna losująca kule w totolotku. Z pierwszych dni po wybuchu pełnoskalowej wojny pamiętam nerwową pracę umysłu, dzięki której odkopałam w sobie zapomniane pokłady języka rosyjskiego, żeby efektywnie pomagać tułającym się po moim mieście tysiącom kobiet z dziećmi. Coś tam drgnęło, powinno się iść za ciosem i spróbować np. mikroopowiadań Iwana Bunina w oryginale, ale w postkapitalizmie system dba już o to, byśmy na naukę języków nie mieli czasu. Do tego tępa propaganda w Polsce: dzielnie udajemy, że książek rosyjskich nie warto czytać.

Wola poznania to ekscentryzm w czasach cyfrowej oligarchii. Wszyscy wykładowcy akademiccy mówią mi, że nie ma siły, by obecne pokolenie studentów przeczytało siedemset stron tekstu i swobodnie uprawiało dyskurs akademicki. Ale to nie jest ich wina, nieprawdaż? Ktoś ich zamknął na parę lat odosobnienia na onlajnie i kazał katatonicznie gapić się w smartfonowe wykłady. Jeśli jesteś współczesnym Thomasem Hobbesem, najlepiej nagraj od razu podkast albo rolkę o „Lewiatanie", bo takie połacie liter są nie do ogarnięcia. Cieszy się Sokrates – wolimy słuchać wykładów przez słuchawki, jednocześnie „robiąc kroki".

Prócz zagubionych na dworcach uchodźczyń z dziećmi i kotami w ramionach moim wspomnieniem z lutego 2022 r. są rajstopy Oksany Zabużko. Nie przyjaźnię się z nią, jestem jedynie jej wierną czytelniczką, zrobiłam w życiu jeden wywiad z Oksaną, i to przez telefon, więc nie znam nawet kształtu jej łydek, żaden ze mnie Gombrowicz, koneser pęcin, ale gdy zapytałam ją wtedy w lutym, czy ma ze sobą w Polsce jakieś rzeczy z domu, odpowiedziała, że wyjeżdżając do Gdańska na spotkanie autorskie, zabrała walizeczkę z laptopem, książką i jedną parą rajstop... I to mówi jedna ze wspaniałych pisarskich Kasandr – latami tłumaczyła zachodniej Europie, że imperializm rosyjski nie zatrzyma się, a mimo to było tak jak zawsze: nawet jeśli znamy intencje wrogów, zło i agresja zaskakują nas w samych *dessous*.

Administracji Trumpa żadna Ukrainka nie zaufała, podobnie jak wszelkich iluzji co do polskiego rządu pozbyłam się ja. Co się stało z hasłami z twórczej kartonozy w ramach Czarnych Parasolek: „Girls just wanna have fundamental human rights", „Przez was spadło mi libido" itp.? Politycy i polityczki z partii Donalda Tuska chętnie wtedy pozowali z dziewczynami, a teraz kartony skrzętnie zmielone na recyklingu i strażnicy patriarchatu mogą przestać udawać. Odechciało się bronić słabszych. Piekło Polek trwa, ale już bez demonstracji? Wspomnijmy ofiary ostatnich dwóch miesięcy: zgwałcono policjantkę w jednostce w Piasecznie, chłopak zamordował Maję z Ursynowa, syn zabił matkę w Bielsku Podlaskim, nauczycielkę dręczono za usunięcie plastikowego krzyża.

Koalicja liczy na krótką pamięć, ale moja ma formę olimpijską. Podczas gdy POLITYKA informuje o nowych młodzieżowych słowach, ja lubię ćwiczyć chód w tył. Zapomniane słowa są dziś jak stare psy w schroniskach, których nikt nie chce zabrać do domu, bo „nie ma warunków". Biorę sobie te klejnoty i rozszerzam słownik: „galanteria, flakon, sprawunki, perkal, aktyw, garmaż". Pewien student opisał mi swą znajomą, która „ma dodatkowe gole finansowe, by być prowiderem rodziny". Ja liczę na gole Legii pod kierunkiem nowego trenera, a sobie żadnych goli nie planuję, bo życie to nie projekt. Lepiej mieć dużo w głowie, a mało w planerze.

AGATA PASSENT

eprasa.pl f51a944834

Kiedyś to (nie) było

W okolicy dziesiątej rocznicy śmierci Davida Bowiego w sieci zaroiło się od obrazków z 2016 r. Drobny wyimek z dekady urastał w instagramowych relacjach do miana punktu zwrotnego, kresu złotego wieku. Rzekomo wszystko się wtedy popsuło. A przecież było już tak dobrze, nasza codzienność przypominała ilustracje z czasopisma „Strażnica": jagnię bratało się z lwem, człowiek z człowiekiem, lew z człowiekiem, człowiek z jagnięciem. Aż w końcu Bowie postanowił wrócić na swoją planetę i nastała ciemność.

Choć mój prywatny rok 2016 był niemal od startu rozczarowujący na każdym możliwym polu, prawie w to uwierzyłem. Ot, ludzka kondycja: lubimy się poprzytulać z przeszłością, ta jest bowiem zamknięta i całkowicie rozbrojona. Za to rzeczywistość? Całkowita magma, niebezpieczeństwo, jak w platformowej grze wideo: gdzie spojrzeć, to jakieś zapadnie, kule ognia, ściany naszpikowane kolcami. Lepiej więc ukryć się w wyobrażonym „kiedyś" i dzięki starannej selekcji przekonać samych siebie, że nie miało ono specjalnych wad.

Początek roku szczególnie wzmaga nostalgiczne nastroje i prowokuje do marzeń o „wyspach szczęśliwych". Zimno jak diabli, chodniki śliskie, a poza tym jest styczeń, więc chciałoby się być gdziekolwiek, byle nie w styczniu. Idzie człowiek do kina na film o wybitnym pingpongiście i, owszem, film wspaniały, tylko ludzie niesubordynowani. Gadają w trakcie, więc pozostaje uprzejmie ich zdyscyplinować. Poza tym trzeba się wybrać na pocztę, co samo w sobie należy do umiarkowanych atrakcji, a tę zamykają jednak o 19. I nie wiadomo już co gorsze: wystać swoje w kolejce czy pocałować klamkę.

Z drugiej strony, parafrazując Wujka Dobrą Radę: klimat był zawsze raczej przeciwko nam, ale to jeszcze nie powód, żeby pogrążać się w nostalgicznej malignie. We wszystkim trzeba zachować umiar, mówi mój wewnętrzny benedyktyn. Oczywiście rację miał (jak zwykle) Simon Reynolds, brytyjski krytyk i dziennikarz, który już kilkanaście lat temu zauważył, że żyjemy w jednym wielkim muzeum/archiwum, otoczeni powidokami przeszłości, skazani na ciągłe powroty. Pod tym względem jesteśmy szczególni: nasi poprzednicy nie mieli dostępu do internetu, nie byli więc w stanie przywołać w kilka sekund wspomnianego „kiedyś". Tyle tylko, że z natury jest to obraz fałszywy – uszyty ze skrótów myślowych, ikon i tego, co chcemy pamiętać. Wystarczy wspomnieć, że kolorem definiującym amerykańskie lata 80. był brąz (w serialu „Stranger Things" wygląda to inaczej, nieprawdaż?).

Furorę w „dorosłym" internecie robią krótkie nostalgiczne wideo, w których przedstawia się PRL jako czas beztroskiej zabawy i szacunku wobec drugiego człowieka. A nieprzyjemności, niedobory? Wygenerowany przez sztuczną inteligencję lektor zapewnia, że dzięki nim, gdy trafiło się już na jakiś delikates, człowiek bardziej go doceniał. To chyba jakaś wirtualna wariacja na temat szmoncesu, w którym rabin radzi swojemu strapionemu rozmówcy zamieszkać z kozą, a potem pozbyć się jej, by poczuć ulgę.

Nie wiem, czy żyjemy w czasach ostatecznych – co skutecznie tłumaczyłoby jakikolwiek przejaw pompowanej przez internet nostalgii. Na pewno żyjemy w czasach bezsensownych. Neoliberalizm skutecznie zastąpił znane nam wcześniej religie, niezamożni stoją murem za miliarderami, bo a nuż kiedyś też będą obrzydliwie bogaci, więc nie ma co kusić losu. Prezydentem Stanów Zjednoczonych jest klaun, a w amerykańskiej konstytucji nie ma nic o tym, że klaunada prezydenta odbiera mu status zwierzchnika sił zbrojnych. Geopolityka bulgoce, już prawie kipi (i tak, w 2016 r. byliśmy już od dawna na kursie kolizyjnym). A do tego mamy nostalgiczne łże-filmiki z AI zdobywające wielomilionowe zasięgi.

To wszystko stwarza doskonałe warunki, by pielęgnować w sobie tęsknoty za chwalebnym „kiedyś". Paradoks polega jednak na tym, że rzeczywistość, która w swym okropieństwie najmocniej zachęca do emigracji wewnętrznej, zarazem najbardziej potrzebuje naszej obecności, odpowiedzi, oporu. Chciałoby się schować pod pierzynką zmyślonych lat 80. czy fascynujących „najntisów"? Oczywiście, że tak, ale jeśli ma się nam ostać coś poza widokówkami z przeszłości (wygenerowanymi oczywiście przez AI), trzeba działać. Z nostalgią bowiem, jak z każdą używką, należy postępować ostrożnie. Ani się człowiek obejrzy, a już przyjemność zdążyła się przerodzić w uwiąd lub delirium. A jako że wieści o końcu historii okazały się mocno przesadzone, nie stać nas na taki „luksus".

To jeszcze mikroanegdotka. Jest taki utwór Beach Boysów z 1966 r. „I Just Wasn't Made for These Times". Brian Wilson, absolutna ikona lat 60., śpiewa tam o poczuciu niedopasowania do ówczesnego świata. W youtube'owych komentarzach pod piosenką znajdziemy m.in. takie słowa: „Dlaczego nie było mi dane żyć w tamtych czasach? Urodziłem się za późno!". Być może to pokrętny promyk nadziei w okresie styczniowo-lutowym, który wbrew astronomii trwa średnio jakieś sześć miesięcy.

MATEUSZ WITKOWSKI

Mateusz Witkowski – podkaster, dziennikarz, krytyk muzyczny i popkulturowy. Współtworzy Podcastex i portal popmoderna.pl, wierzy wyłącznie w Alessandro Del Piero.

eprasa.pl f51a944834

Nadczynność słowotwórcza

Stosunek do języka można mieć zachowawczy albo innowacyjny, jednak nigdy nie należy zapominać, że majstrowanie przy słowach wiąże się z ryzykiem. Czytając wydaną ostatnio powieść Pawła Sołtysa „Monolok", potknęłam się o zdanie: „Może komuś ślub z wysokim brunetem w Wołdze wywróżyła". W głowie natychmiast włączyła mi się płyta z pieśnią „Wołga, Wołga, mat' rodnaja" w wykonaniu Czesława Niemena. „Ki czort?" – pomyślałam. W jednej chwili wypadłam z rytmu opowieści, nastrój prysł. Dlaczego ta kobieta wróżyła w Wołdze, skoro powieść dzieje się w Warszawie, na Grochowie? Jak w ogóle można wróżyć w tak potężnej rzece? Co innego nad Wołgą, ewentualnie na niej – powiedzmy na statku wycieczkowym „Anton Czechow" – ale w Wołdze? Niby jak, na stojąco?

I wtedy przypomniałam sobie, że Rada Języka Polskiego znowu zreformowała nam język. Na miejsce Wołgi, rodnoj mati, od razu wskoczyła mi całkiem inna mać, nawet bardziej popularna. Jeszcze miesiąc temu zdanie z „Monoloka" wyglądałoby tak: „Może komuś ślub z wysokim brunetem w wołdze wywróżyła". I od razu byłoby jasne, że chodzi o samochód, którym w dawnych czasach wożono partyjnych notabli. Stara zasada była logiczna: nazwę marki piszemy wielką literą, a nazwę produktu tej marki – małą. Na przykład: „W ostatnim roku produkcja samochodów marki Citroën wzrosła", ale „Przejechałam swoim citroënem tysiące kilometrów". Niestety komuś to przeszkadzało i zamiast ładu jest burdel. Dla RJP mam za karę ćwiczenie. Proszę poprawnie zapisać zdanie: „Fryzjer męski wybiegł z zakładu, w pośpiechu sznurując ADIDASY", przy założeniu, że nie były to Adidasy od Adidasa, tylko zwykłe adidasy z bazaru. Bo ten fryzjer był z Grochowa, którego już nie ma.

> Problem wielki jak słoń w salonie: brak wystarczających objaśnień co do zmian językowych wprowadzanych z pozycji autorytetu.

Inną reformę językową pod koniec grudnia wprowadziło Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Resort, stosując się do dyrektywy Parlamentu Europejskiego i Rady Unii Europejskiej o równości wynagrodzeń, nakazał pracodawcom ujawnianie w ogłoszeniach o pracę wysokości poborów oraz neutralność płciową w opisie stanowisk. Słowa „równość", „neutralność" i „płciowa" natychmiast poderwały do boju dyżurną husarię do walki z „komuną", a zwłaszcza z odwiecznymi fundamentami Gułagu: równouprawnieniem i prawami pracowniczymi. Posypały się czerstwe żarty. Jak zneutralizować płciowo ogłoszenie o pracy dla betoniarza? Wiadomo: „Zatrudnię betoniarza lub betoniarkę". Jak napisać ogłoszenie o pracy dla niani? „Zatrudnię osobę niańską".

Tzw. osobatywy okazały się zresztą tak inspirujące, że nie zmieściły się na rynku pracy i trzeba było przerzucić się z nimi na klasykę literatury. „Osoba w kryzysie PESEL-u i może" („Stary człowiek i morze") dopóty goniła „Osobę obsługującą latarnię" („Latarnik"), dopóki na białym koniu nie wjechał „On/jego Wołodyjowski". Zdawało się, że już mamy zwycięzcę, jednak w tej samej chwili na plac boju spadła bomba atomowa: „Zatrudnię osobę do dziecka, onu/jeju (bez fiuta)". Pachnie transfobią? Nawet wali. Ale też wskazuje problem wielki jak słoń w salonie: brak wystarczających objaśnień co do zmian językowych wprowadzanych z pozycji autorytetu lub władzy oraz słowotwórczą nadczynność lewicy.

Dyskutowałam ostatnio z młodym aktywistą, który pragnął wprowadzić do języka polskiego słowo „mężaty". Uważał, że będzie jak znalazł, kiedy rząd wykona (dałby Bóg) wyrok TSUE w sprawie transkrypcji jednopłciowych małżeństw, bo termin „zamężny" jest za bardzo obciążony patriarchalną przemocą („za-mężna" to „idąca za mężem"). Argument, że w przypadku małżeństw jednopłciowych zamężni byliby dwaj mężczyźni, więc o podporządkowaniu ze względu na płeć nie mogłoby być mowy, odbijał się jak od ściany. Jak również uwaga, że jeśli akceptujemy sam termin „małżeństwo", to zwalczanie jego pochodnych jest nielogiczne. Oraz myśl, że słowo „mężaty" samo w sobie nikogo nie uchroni przed przemocą w związku. Odnoszę wrażenie, że nadczynność słowotwórcza zastępuje lewicy poczucie wpływu. Bo jeśli jedyną zmianą, jaką da się wprowadzić w realu, jest wolna Wigilia, to przynajmniej pozmieniajmy sobie język. Smutne to w sumie i godne współczucia.

Ale nie ciesz się, tygodniku „Do Rzeczy", przedwcześnie. Wiele lewicowych innowacji językowych ma społeczny sens, i to niemały. Rozporządzenie ministry Agnieszki Dziemianowicz-Bąk o neutralności płciowej w ogłoszeniach o pracę pozwoli kobietom śmielej aplikować na stanowiska stereotypowo kojarzone z mężczyznami. Ogłoszenie „Panią lub pana do remontu wynajmę" nie ma w sobie niczego dziwnego – kobiety znakomicie się sprawdzają w pracach remontowych. Widząc w ogłoszeniu rodzaj żeński, poczują się dostrzeżone i pewniejsze. Wątpiący w sens tych zmian mężczyźni niech wyobrażą sobie świat, w którym ogłoszenia adresowane są wyłącznie do operatorek, chirurżek czy kierowczyń, a męskich skarg nikt nie słucha, ponieważ rodzaj żeński jest uznawany za uniwersalny. Można z tym żyć, jasne, ale czy warto?

RENATA LIS

eprasa.pl f51a944834

Hołownia wyprzedza swoją przyszłość

Szymon Hołownia robi, co może, żeby nadążyć za obecnymi czasami. Niedawno zapowiedział, że ponieważ czasy się zmieniły, nie będzie startował w wyborach na przewodniczącego Polski 2050, a gdy czasy znowu się zmieniły, poinformował, że może jednak wystartuje. Po decyzji rady krajowej partii o powtórzeniu II tury wyborów (bez udziału Hołowni) Hołownia uznał, że jest zmęczony i wylogował się z systemu, z tym że nie można wykluczyć, że po kolejnej zmianie czasów znowu się zaloguje, zapowie, że wystartuje, a potem znowu zrezygnuje.

Nie jestem doradcą Hołowni, ale na jego miejscu zamiast ścigać się z czasem, dałbym czasowi trochę czasu. Poczekałbym, aż kolejne zmiany go zmęczą i trochę zwolni. Zmęczony Hołownia też musi zwolnić; wiele wskazuje na to, że przez ostatnie lata zmierzał ku przyszłości z taką szybkością, że ją wyprzedził. Może dlatego według niektórych jako polityk zamiast przyszłości ma przed sobą tylko przeszłość.

Polska 2050 miała być kołem ratunkowym dla demokracji zdominowanej przez duopol PO-PiS. Ale rzucone na polityczną wodę koło po jakimś czasie zaczęło tonąć i trzeba było je ratować. Jako koło ratunkowe dla tamtego koła Hołownia – po unieważnieniu II tury wyborów na przewodniczącego – zaproponował siebie. Pokazał w ten sposób, że nie będzie się uchylał przed żadnym rozwiązaniem dobrym dla siebie i Polski 2050. Ponieważ niespodziewany wynalazek tego koła spotkał się w partii z niepełnym zrozumieniem (uznano, że na takim kole partia daleko nie zajedzie), Hołownia z ogłaszania swoich kolejnych wynalazków zrezygnował i skupił się na wypoczynku w Dubaju.

Obecnie najważniejszym punktem programu Polski 2050 jest szczęśliwe dotrwanie do roku 2050 albo chociaż do najbliższych wyborów. Partia bardzo poważnie myśli również o tym, żeby przed 2050 r. w jakiś sposób wybrać kogoś na przewodniczącego partii.

Niewykluczone, że z powodu awarii systemu nadzorującego głosowanie w unieważnionej II turze wyborów Polska 2050 będzie od teraz partią antysystemową. Politycy Polski 2050 ostro protestują przeciwko mieszaniu się systemów w wewnętrzne sprawy partii i zapewniają, że nie ma ich zgody na to, aby jakikolwiek system wystawiał Polskę 2050 na pośmiewisko. Nieoficjalnie mówi się, że jeśli w powtórzonej II turze system znowu namiesza i okaże się, że przeprowadzenie wyborów w Polsce 2050 nie leży w ludzkiej mocy, rządzenie Polską 2050 może zostać powierzone sztucznej inteligencji.

GALERIA POLITYKI

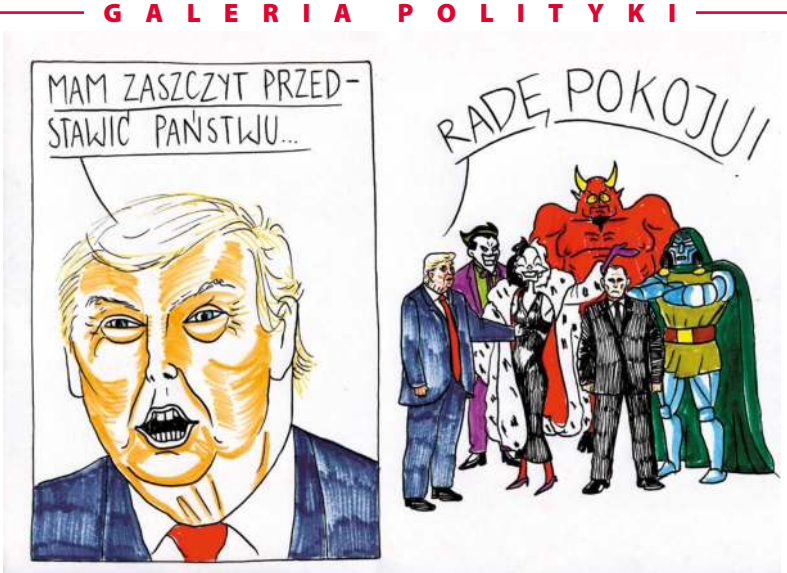

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE”

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl

SUBSKRYPCJA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mnt leipa passion process technology

eprasa.pl f51a944834

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

W tym numerze przypominamy postać wybitnego naukowca Wernera Heisenberga (1901–76), współtwórcy mechaniki kwantowej, noblisty (s. 59). Warto wspomnieć, że 51 lat temu na łamach POLITYKI ukazała się rozmowa Zdzisława Wawrzyniaka z prof. Wernerem Heisenbergiem („Umieć zmieniać zdanie", nr 3 z 1975 r.). Tak wówczas, jak i dziś to rzecz niezwykła. I na swój sposób wciąż aktualna.

UMIEĆ ZMIENIAĆ ZDANIE

Rozmowa z WERNEREM HEISENBERGIEM

„Panie profesorze, w pańskich publikacjach jest zawarta implicite teza, że politycy mogą nauczyć się wiele od uczonych, zwłaszcza przedstawicieli nauk ścisłych. Czego, według pana, w obecnej fazie rozwoju nauki oraz w dzisiejszej sytuacji politycznej, może nauczyć się polityk od naukowca?

W. HEISENBERG: – Teza głosząca, że polityk może nauczyć się czegoś od uczonego – przyrodoznawcy, brzmi wielce zobowiązująco i raczej nie byłbym skłonny podtrzymywać jej w całej rozciągłości. Możliwy sens tej tezy chciałbym objaśnić następująco: politycy mają często do czynienia z siłami i wydarzeniami irracjonalnymi, do których przezwyciężenia potrzebne im są również inne właściwości prócz podstawowej umiejętności jasnego, racjonalnego myślenia. Wspomnę tu tylko o nagłym wybuchu rebelii studenckiej w 1967 roku w Berkeley oraz o działaniach terrorystów w różnych krajach. W ten sposób pojawia się niebezpieczeństwo niedoceniania przez polityków racjonalnego aspektu różnych powiązań.

Niebezpieczeństwo to materializuje się np. w postaci fałszywej oceny możliwości gospodarczych lub układu sił, w postaci kierowania się emocjami, nieumiejętności rewidowania swoich przeświadczeń i opinii, itd. Naukowiec natomiast, zwłaszcza przedstawiciel nauk ścisłych, umie rozpatrywać związki między zjawiskami *sine ira et studio*, potrafi myśleć w kategoriach zachowania równowagi, potrafi zmieniać swoje zdanie, jeżeli domagają się tego nowe wyniki poznania, po prostu naukowiec z natury unika jakichkolwiek stanowisk dogmatycznych. Tych właściwości i umiejętności życzyłbym każdemu politykowi, i dlatego w naszym kraju opowiadałem się zawsze za tym, aby problemy z dziedzin dotyczących polityki i życia duchowego były omawiane wspólnie w gremiach radzących, w których politycy i naukowcy mogą otwarcie przedyskutować interesujące ich zagadnienia. Ciała doradcze wspomnianego typu nie muszą posiadać kompetencji decydowania, ich zadaniem powinno być tylko przygotowanie racjonalnej strony procesu podjęcia decyzji.

Czy uważa pan, że studenci i profesorowie, wszyscy nauczani, nauczający i uczeni w RFN, stanowią dzisiaj dużą siłę polityczną?

Nie. Liczba profesorów i studentów w RFN jest zbyt mała, a poza tym nie mają oni zbyt wielkiego dostępu do wiedzy o rzeczywistych potrzebach ludności. Oczywiście, mogą działać zawsze wybitne osobowości spośród społeczności akademickiej, których myślenie może również oddziaływać politycznie. Ale jeśli potraktować profesorów i studentów jako grupę społeczną, to oceniam jej wpływ na życie polityczne jako nikły.

Nauka niemiecka w latach 1933–1945 była prawie całkowicie odizolowana od reszty świata. W okresie powojennym izolacja między światem nauki w RFN a naukowcami państw zachodnich powoli zanikła. Natomiast dość długo front zimnej izolacji utrzymywał się na linii Wschód–Zachód. Po 1956 r. nastąpiło wprawdzie pewne rozluźnienie, ale na przykład między RFN a Polską prawdziwy, chociaż trudny początek nowych stosunków nastąpił dopiero w grudniu 1970 r. Jak ocenia pan szanse i zadania nowego rozwoju stosunków między Polską i RFN?

Mam dużą nadzieję, że nastąpi dalszy rozwój współpracy naukowej między Polską a Republiką Federalną Niemiec. Najlepszym środkiem do tego celu nie są, moim zdaniem, oficjalne umowy kulturalne, ale bezpośrednie kontakty poszczególnych uczonych i instytucji. Na przykład Instytut Fizyki im. Maxa Plancka, którym przez szereg lat kierowałem, nawiązał obecnie ściślejsze kontakty z grupą fizyków w Krakowie, rozwinęła się już żywa wymiana doświadczeń i myśli, odbyły się nawet wspólne małe konferencje i sympozja. Doszło więc do rzeczywistej współpracy.

Jakie wskazania osobiste zaproponowałby pan, panie profesorze, młodym naukowcom, którzy chcieliby skorzystać z doświadczeń starszego pokolenia?

Jako odpowiedź na to pytanie musiałbym zacytować moje obie książki, które napisałem w ostatnich latach (»Część i całość« i »Kroki poprzez granice«). Cieszyłbym się, gdyby młodsze pokolenia mogły jakoś nawiązać do myśli wyrażonych w tych książkach".

Sportowa nominacja

Miło nam poinformować, że nasz redakcyjny kolega **Juliusz Ćwieluch**, dziennikarz i twórca podkastu „Rowery nie bajki", został nominowany do Nagrody Mariusza Waltera za rok 2025 w kategorii: Sport w mediach – obok Włodzimierza Szaranowicza i Jacka Kurowskiego.

Nagroda Mariusza Waltera jest przyznawana od 2024 r. twórcom mediów i dziennikarzom, których „działania i osiągnięcia zostawiają mądry i cenny ślad na rynku medialnym, (...) którzy inspirują i zaciekawiają". Laureatów poznamy 27 lutego. A podkastu „Rowery nie bajki" mogą Państwo słuchać na: **polityka.pl/podkasty/rowerowy**

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl f51a944834

Ostatni cesarz

To opowieść o pięknych, wpływowych i bogatych. Tyle że w dobrym, z drobnym wyjątkiem, guście.

W jej centrum: **Valentino Garavani**, zmarły 19 stycznia włoski projektant mody. By nie powiedzieć: jej cesarz, w ślad za tytułem poświęconego mu dokumentalnego filmu Matta Tyrnauera z 2008 r. „Tęsknię za czasami, gdy przepych i elegancja nie miały granic", mówił w nim Valentino, już po sprzedaży swojej marki i w przededniu odejścia z zawodu. Właścicielem tej pierwszej był blisko pół wieku, kolejnych dziesięć lat jeszcze tworzył. Przede wszystkim wystawne suknie. To na nich zbudował pozycję.

W przeciwieństwie do wielu swoich konkurentów nie zrewolucjonizował stroju. Czynił jednak wszystko, by wzbudzał on podziw. Udało się – zachwycał zarówno laików, z nawiązką spełniając ich wyobrażenia o pięknej modzie, jak i krytyków.

Miał jeden cel: sprawić, by kobieta czuła się piękna i tak też wyglądała. Jego suknie, co niebagatelne, bywały też tak lekkie, że – jak komentował „Guardian" – można było je zmieścić do koperty formatu A3. – *Kluczowa u niego była umiejętność modelowania figury poprzez krój. Charakterystyczne suknie o wyraźnie zaznaczonej talii, miękko opadające linie ramion oraz płynna praca tkaniny w ruchu świadczyły o głębokim zrozumieniu kobiecej anatomii. Mistrzowsko balansował między strukturą a lekkością: gorsety były niewidoczne, cięcia precyzyjne, a konstrukcja ukryta pod pozorną prostotą* – wyjaśnia stylistka Karla Gruszecka.

Od jego debiutu w 1959 r. przez świat przetoczyli się hipisi, punkowcy, raperzy, a Valentino niezmiennie tworzył zjawiskowe, kosztowne suknie dla sławnych i zamożnych. Od Liz Taylor i Jackie Kennedy po Anne Hathaway i Gwyneth Paltrow. W strojach Valentino statuetki Oscarów odbierały Jessica Lange, Sophia Loren czy Cate Blanchett. Gdy w 2001 r. za rolę w „Erin Brockovich" Julia Roberts zgarnęła Oscara w jego sukni haute couture sprzed dziewięciu lat – z białą lamówką, która na wysokości biustu rozdzielała się w kształt litery Y, tworząc parę ramiączek, i z trenem – ów moment uznał za punkt kulminacyjny całej swojej kariery. Suknia zyskała nawet własną stronę na Wikipedii, a Roberts – przy okazji – status jednej z pionierek zakładania archiwalnych dzieł, vintage, na tak doniosłe okazje.

Był autorem kreacji swoich koleżanek z przyjęć, wycieczek, rejsów, czyli królowych i księżniczek. W tym królowej Hiszpanii Sofii (zdaniem dziennika „La Repubblica" największej kolekcjonerki jego sukien haute couture; rzekomo nabyła ich ponad pół tysiąca), księżnej Diany czy Farah Pahlavi, która w płaszczu Valentino uciekała w 1979 r. z przejętego przez Chomeiniego kraju.

Potrafił używać kolorów. Zwłaszcza czerwieni, jego znaku firmowego. Jakimś cudem czerwień owa była niepodrabialna i natychmiast rozpoznawalna. Zakochał się w niej jeszcze jako nastolatek, gdy wraz z rodzicami odwiedził barcelońską operę; bodaj by obejrzeć „Carmen". Owa wizyta stała się mitem założycielskim jego marki. Urodzony w Lombardii, po studiach i stażach w Paryżu, słusznie wyczuwając pod koniec lat 50. koniunkturę, przeniósł się do Rzymu, o którym Federico Fellini kręcił właśnie „La Dolce Vita". W na nowo odkrytej przez zachodnie elity stolicy Włoch pojawiły się właśnie pieniądze, blichtr i gwiazdy. W 1960 r. przy Via Veneto poznał Giancarlo Giammettiego, wówczas studenta architektury. Połączyła ich miłość, a wkrótce i biznes, stąd można powiedzieć, że Valentino – jak to u Włochów – była firmą rodzinną. Mimo że ich romantyczny związek zakończył się po dziesięciu latach, biznesowo działali prawie do końca XX w., gdy sprzedali firmę korporacji.

Valentino mieszkał przy Place Vendôme w Paryżu i – w ostatnich latach – w willi przy rzymskiej Via Appia Antica. A jak wyliczyło włoskie „Elle", pozostawił po sobie (urządzone dziełami Warhola, Picassa i – tu pojawia się wątek dyskusyjnego gustu – Mitoraja) także inne mieszkania i posiadłości: podparyski Château de Wideville z 1580 r. (plus ogrody o powierzchni 120 ha, ze stawem z łabędziami, nimfeum i kolekcją róż ponad tysiąca odmian), XIX-wieczny pałac w londyńskim Holland Park, penthouse przy nowojorskiej Park Avenue, dom w szwajcarskim Gstaad i willę na Capri. Wszystko to lokalizacje, o których w przewodnikach zwykło się pisać, że są „ulubionymi miejscami spotkań kosmopolitycznej elity". To jest jego głównych klientów. ■

TREND

Michał Zaczyński – dziennikarz lifestylowy, ekspert branży mody, autor popularnych podcastów i bloga michalzaczynski.com, wykładowca ASP w Łodzi.

© WIREIMAGE/GETTY IMAGES, MP (2)

eprasa.pl f51a944834

TECHNO

Sprytny klocek

40 lat temu firma Lego wprowadziła system Light & Sound – pudełko na baterię 9 V z wypustkami, do którego można było podłączyć klocki z migającymi światełkami, a także imitującymi syrenę strażacką czy dźwięki kosmolotu. Współczesnym dzieciom wyrosłym w nasyconym elektroniką świecie trudno byłoby zrozumieć, jakie to było ekscytujące.

Zaprezentowany teraz przez Lego system Smart Play to odległy wnuczek tamtych zabawek. Jego sercem jest klocek **Smart Brick**, zawierający syntezator dźwięku, świecące diody, masę mikroskopijnych czujników (m.in. ruchu i koloru) oraz wbudowaną baterię ładowaną bezprzewodowo. Ideą „sprytnego klocka" jest dostarczanie cyfrowych przeżyć bez konieczności użycia ekranu – dotychczasowe próby rozszerzania zabawy (jak Lego Vidiyo, nieudana odpowiedź na TikToka, czy rozszerzające rzeczywistość Hidden Side) opierały się na użyciu smartfonów i aplikacji, co jednak odciągało od zabawy w realnym świecie. Od lat 90. gry wideo były największą konkurencją dla zabawy klockami; Lego, nie mogąc z nimi walczyć, postanowiło się przyłączyć. Bezpośrednim protoplastą systemu Smart Play jest interaktywna figurka z gry „Mario Bros.", reagująca na kolorowe kody kreskowe, wydająca dźwięki znane z konsoli.

Smart Brick, efekt 10 lat badań nad preferencjami małych konsumentów, idzie znacznie dalej. To magiczne pudełeczko, które reaguje na znaczniki ukryte w klockach-tagach i specjalnych figurkach. To one mówią, jaki dźwięk ma wydawać klocek – czy zagrać marsz imperialny z „Gwiezdnych wojen", zabuczeć jak silnik samolotu czy naśladować kaczkę. Klocek reaguje na ruch i odległość od tagów, modulując adekwatnie dźwięk. Można zapytać: po co, skoro dziecko samo potrafi wydawać takie dźwięki? Zabawa raczej polega na odkrywaniu możliwości klocka – budowaniu scenariuszy w oparciu o rozmieszczenia tagów i figurek. Najbardziej sprytna jest tu decyzja biznesowa – figurki i tagi są niczym oprogramowanie do komputera: wykorzystanie jego pełnego potencjału będzie wymagało kolejnych zakupów.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Jesteś freaky

Trudna i wymagająca jest droga do zbawienia kraju i rapu jednocześnie. Michał Matczak, bardziej znany jako Mata, żeby zostać prezydentem w 2040 r., już dziś stara się odcierpieć swoje, deklarując w nowym duecie z **Fagatą**, że aby uratować swój gatunek (muzyczny, a nie biologiczny), jest otwarty na relacje seksualne. I nawet rzuca coś, co w przyszłości, kiedy instytucja prezydentury stanie się jeszcze bliższa zwyczajom ulicy i Fame MMA, może stać się hasłem głowy państwa: „M-A-T-A, czyli Mata, dziwko, całuj berło". Naprawdę interesujące we wspólnej piosence rapera z influencerką znaną z internetowych afer i freak fightów jest jednak to, że już w tytule odnoszą się do jednego z czołówki młodzieżowych słów roku, czyli *freaky*.

Gdyby chodziło w tym słowie tylko o szaleństwo, nic by się nie zmieniło od lat 60., kiedy popularny był w angielskim rzeczownik *freaks* opisujący z grubsza to, czym byli hipisi, tylko w najbardziej ekstremalnej, rewolucyjnej wersji. Albo w czasach „Dziwolągów" Toda Browninga (w oryginale „Freaks"), kontrowersyjnego filmu sprzed niemal stu lat z ludźmi o różnych deformacjach ciała. I owszem, słowo *freaky* ciągle bywa używane w znaczeniu „dziwaczności". Choćby w komentarzu na X do najnowszych pomysłów Donalda Trumpa, że chodzi o „jego przyjaciół miliarderów, którzy chcą tam zbudować ześwirowaną utopię".

W Polsce też pojawiają się definicje mówiące o tym, że *freaky* to po prostu „wyświrowany" albo „niecodzienny", ale towarzyszą im odniesienia do nietypowych zainteresowań seksualnych lub do przesadnie rozbuchanej seksualności czy wreszcie przesady w okazywaniu swojego zainteresowania nietypowymi sferami erotyki. Nie dziwi więc, że Mata jako partnerkę do tego utworu wybrał bohaterkę nieutożsamianą ze wzorcem skromności (podobnie jak on). Całość nie mówi jednak niczego szczególnie szokującego – jest tylko mniej ugrzecznioną, rapowaną i opowiedzianą innym językiem wizją tematu poruszanego przez discopolową grupę Boys: „Nie jesteś aniołem, mówię ci/ Jesteś szalona".

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Taki jeden dobry kumpel dał mi radę wieki temu,
W sumie mogłem go posłuchać: Jeśli piłeś, nie diemuj
Taco Hemingway, Frascati, 2025 r.
diemować – wysyłać DM-y, direct messages, prywatne wiadomości

eprasa.pl f51a944834

Nie trzeba wspinać się na Etnę ani nawet zobaczyć Palermo, żeby się przekonać, jak atrakcyjną wyspą jest Sycylia.

Sycylia od zachodu

PODRÓŻE

To nie była miłość od pierwszego wejrzenia, chociaż wszystko odbyło się według, można powiedzieć, planu, który realizuje większość turystów. Wejście na Etnę, zwiedzanie Taorminy, Palermo oraz oczywiście Syrakuz, słynących ze swojego położenia, architektury i dziedzictwa historycznego. To miejsca najpopularniejsze na wyspie i prawie zawsze ściągają tłumy. Szczególnie w sezonie.

Pojechałam więc któregoś razu – poza sezonem – na zachodnie wybrzeże Sycylii. Znalazłam tam wszystko, co wcześniej, czyli zabytki, dobre jedzenie, piękne plaże. A w bonusie święty spokój.

Warto zacząć od kameralnego Trapani. Z pastelowymi kamienicami ciągnącymi się wzdłuż wybrzeża przypomina trochę słynne sycylijskie miasteczko Cefalu. Stare miasto, z charakterystycznym sierpowatym kształtem wcinającym się w morze, skrywa barokowe kościoły, eleganckie pałace i plątaninę wąskich uliczek – można poczuć autentyczną sycylijską atmosferę, ale bez ciśnienia i przeciskania się między ludźmi. Trapani to portowe miasto na cyplu, taka włoska brama na wybrzeże afrykańskie, co znajduje odzwierciedlenie m.in. na talerzu. Inspirację dla Couscous Trapanese przywieźli na statkach marynarze i handlarze z pobliskich Libii i Tunezji. Potrawa szybko się przyjęła, z małą modyfikacją, bo mięso zastąpiły łatwiej dostępne tutaj ryby i owoce morza.

Miasto jest świetną bazą wypadową na Wyspy Egadzkie, czyli archipelag, w którego skład wchodzą Favignany, Levanzo, Marettimo, małe Formici i bardziej skały niż wyspy – Maraony. Raptem 20 minut promem od Trapani można odetchnąć od miasta. Bo na Wyspach Egadzkich natura nadal gra pierwsze skrzypce.

Kolejna wycieczka z Trapani wiedzie już pod górę i wydaje się obowiązkowa. O położonym na wzgórzu średniowiecznym miasteczku **Erice** Gustaw Herling-Grudziński pisał: „Nigdzie może na Sycylii nie panuje tak głęboka cisza. Ludzie, nawet gdy wychodzą z domów, poruszają się jakby na palcach, ocierają o chmury i szybko znikają". Trapani zostaje w dole, Erice trwa w skupieniu. Kamienne miasteczko zawieszone jest jakby między chmurami a historią. Powietrze pachnie tutaj wilgotnym kamieniem i migdałowymi ciasteczkami w małych cukierniach, w których zawsze ustawiają się kolejki. Turyści i miejscowi zaopatrzeni w aromatyczne wypieki szczęśliwi idą dalej. Trzeba spróbować.

W Erice jest zimniej niż w Trapani i tę różnicę temperatur można odczuć błyskawicznie. Ciepła bluza się przyda, zwłaszcza w labiryncie wąskich i brukowanych uliczek, w których nietrudno pobłądzić. Widoki są jednak tego warte. Z murów zamku Wenus zawieszonego na klifie widać Morze Tyrreńskie i rozsypane na horyzoncie wspomniane Wyspy Egadzkie.

Do zobaczenia w pobliżu Trapani, tylko bardziej na południe, są jeszcze saliny. To nie tylko miejsce produkcji soli, lecz także unikalny ekosystem. Słone wody przyciągają m.in. ptaki wędrowne, można wypatrzeć flamingi. Krajobraz jest tyleż surowy, co hipnotyzujący.

Intensywną podróż po zachodnim wybrzeżu Sycylii dobrze zakończyć tradycyjnie, czyli na plaży. Najlepiej na jednej z najpiękniejszych na wyspie, z jasnym piaskiem, czyli San Vito Lo Capo. Wybrzeże często jest tutaj skaliste, więc plaża jest położona na wysuniętym w Morze Tyrreńskie cyplu i naprawdę wyjątkowa. San Vito Lo Capo bywa uznawana za jedną z najpiękniejszych w Europie. Ale kto nie musi leżeć na piaszczystej plaży, może zboczyć z trasy. Na wybrzeżu jest wiele ukrytych, skalistych zatoczek z bezpośrednim dostępem do plaży i często bez ludzi. *Dolce vita* w kameralnym wydaniu.

PS Z Trapani blisko jest też do rezerwatu przyrody Zingaro, który rozciąga się wzdłuż wybrzeża i oferuje spektakularne widoki na morze. Został zamknięty z powodu pożarów z lipca 2025 r. Na razie nie ma informacji, kiedy znów będzie otwarty, ale warto czuwać. ■

Magdalena Gorlas
– dziennikarka w podróży, autorka tekstów, ciekawa drugiego człowieka. Publikowała m.in. w: „Chicago Tribune", POLITYCE, „Vogue'u", „Dużym Formacie" czy „Piśmie. Magazynie opinii".

© SHUTTERSTOCK, MIKOŁAJ MARCELA

eprasa.pl f51a944834

Dzięki monotonii nie trzeba rozpoczynać nowej diety co pół roku, wydawać fortuny na suplementy i „zdrową żywność", która jest nią tylko z nazwy.

Jak jeść to samo i się nie nudzić

Od 13 lat jem to samo śniadanie. Dlaczego? Bo dzięki temu zawsze wiem, co zjeść, nigdy nie brakuje mi produktów, a po tych wszystkich latach pierwszy posiłek dnia przygotowuję już niemal z zamkniętymi oczami. To odruch. Część mojej codziennej (zbawiennej) monotonii. A jak to się zaczęło?

Był 1 stycznia 2010 r. Ważyłem w tamtej chwili 150 kg. Miałem 70 kg nadwagi. Powiedzieć, że było mi ciężko ze sobą, to nic nie powiedzieć. Borykałem się z nadwagą całe życie, ale problem nigdy nie był tak duży jak wtedy. Siedziałem więc w to noworoczne popołudnie i zastanawiałem się, co zrobić ze swoim życiem.

Tak, wiem: postanowienia noworoczne to nie jest mądra rzecz. Zima to w naturze czas odpoczynku, regeneracji sił. W tym kontekście popularny w naszej kulturze pomysł, by rozpoczynać rewolucyjne zmiany w życiu właśnie 1 stycznia, jest absurdalny.

Wtedy po prostu chyba zacząłem się bać – i martwić się o siebie. Nie trzeba bowiem wykształcenia medycznego, by rozumieć, że 70 kg nadwagi to prosta droga do bardzo wielu chorób, pomijając już samą otyłość, która jest poważnym problemem. A że pochodzę z rodziny lekarskiej, tym bardziej zdawałem sobie z tego sprawę. Ale miałem też w sobie jakąś energię do zmian.

Co zrobiłby ktoś inny na moim miejscu? Przeszedłby na dietę. Spróbowałby zrzucić kilkanaście, może kilkadziesiąt kilogramów. Byle pozbyć się tego nadbagażu i choć na chwilę oddalić widmo chorób czy nawet śmierci. Ja jednak wychodziłem z założenia, że jeśli coś robić, to raz, a dobrze. Jeśli mam zmieniać to, co jem, nie ma sensu przechodzić na jakąś niedopasowaną do mnie dietę, której nie rozumiem i która mi nie smakuje. Wiedziałem, że muszę zrobić dużo więcej: zmienić sposób odżywiania i życia. Na zawsze.

To wizja, która może doprowadzić do upadku. Zdaję sobie z tego sprawę. Bo jak do tego zabrać? No właśnie, gdybym zaczął już 1 stycznia bez żadnego przygotowania, nic by z tego nie było. Intuicyjnie wiedziałem, że muszę poczytać, jak się przymierzyć do zrzucenia nadwagi, zastanowić się, co – i przede wszystkim jak – jeść. Zamiast robić wszystko naraz i podwyższyć sobie poprzeczkę, obniżyłem ją i stwierdziłem, że uratują mnie tylko małe kroki w drodze do tak zuchwałego celu.

A skoro trzeba było zmienić niemal wszystko, stwierdziłem, że zacznę od początku: od poranka. Nigdy nie jadłem śniadań, przez to brakowało mi rytmu dnia.

Mikołaj Marcela – autor książek, nauczyciel akademicki, wicedyrektor kierunków Sztuka pisania oraz Twórcze pisanie i marketing wydawniczy na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Ostatnio wydał książkę „Sztuka obrony przed gównianym jedzeniem".

Śniadanie wydało mi się więc oczywistym wyborem... i to ono okazało się największym gejmczendżerem. Gdy zacząłem jeść samodzielnie przygotowane śniadanie, uwierzyłem, że mogę też przygotować inne dania. Dodałem więc makaron z warzywami, a potem kolejne przepisy, zastępując dotychczasowe „gówniane" posiłki prawdziwym, pełnowartościowym jedzeniem. I tak zaczęła się jedna z najbardziej niezwykłych historii w moim życiu, której częścią było zrzucenie 70 kg nadwagi w dwa lata (więcej o mojej historii w książce „Sztuka obrony przed gównianym jedzeniem. Zbawienna monotonia w kuchni i poza nią"). Teraz wypada mi zdradzić, co to za śniadanie jem od 13 lat. Oto ono. ■

Omlet z płatkami orkiszowymi, żurawiną i orzechami

Składniki:

- 3 jajka (najlepiej wiejskie, ja używam tych od kury zielononóżki kuropatwianej)
- 3 łyżki pełnoziarnistych płatków orkiszowych
- 1 łyżka posiekanych świeżych lub suszonych ziół (np. tymianek lub estragon)
- 1 łyżka wcześniej sparzonej wrzątkiem i odsączonej suszonej żurawiny
- 5–6 posiekanych orzechów włoskich lub prażonych orzechów laskowych
- sól i pieprz do smaku
- jabłko lub owoce sezonowe (opcjonalnie)

Przygotowanie:

- Jajka rozbijamy i roztrzepujemy w misce. Dodajemy posiekane zioła (wedle uznania), płatki owsiane oraz sól i pieprz do smaku. Dokładnie mieszamy.
- Wlewamy całość na mocno rozgrzaną patelnię z powłoką ceramiczną (nie trzeba wtedy używać tłuszczu), następnie przykręcamy ogień i czekamy, aż omlet wyrośnie.
- Przerzucamy na drugą stronę i jeszcze chwilę zostawiamy na patelni.
- Przekładamy na talerz, posypujemy orzechami i żurawiną. Możemy jeszcze dodać świeże jabłko oraz sezonowe owoce (maliny, truskawki, borówki, jeżyny, porzeczki). Smacznego!

eprasa.pl f51a944834

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Polexit już za dwa lata?

Dziś to nie mieści się w głowie, ale nie ma już „scenariuszy nie do pomyślenia". Skrajna prawica, zwłaszcza Grzegorz Braun, coraz śmielej wzywa do polexitu i ma sekundanta w osobie prezydenta Nawrockiego. **O tendencjach i wyborach w 2027 r. opowiada w „Polskim demo", podkaście POLITYKI i Fundacji Batorego, prof. Antoni Dudek. „Karol Nawrocki z uśmiechem na ustach będzie odbierał prezesowi Kaczyńskiemu wpływy na prawej stronie"** – mówi. Wyjaśnia też, czy wypada go nazywać youtuberem.

Bal nie dla wszystkich

Studniówka coraz częściej odbywa się poza szkołą i na koszt młodzieży (czyli rodziców). Każdy grosz się liczy, więc nie wszyscy nauczyciele mogą liczyć na zaproszenie. O nowych tradycjach i wyzwaniach pisze na polityka.pl polonista Dariusz Chętkowski: „Najtrudniej przychodzi uczniom zaakceptować obecność na studniówce żon i mężów nauczycieli. Nastolatki uznają to za grubą przesadę, gdy muszą – bo tak każe tradycja – zapraszać każdego pracownika szkoły z osobą towarzyszącą. Księdza też?".

Co zdziałają Giertych z Nowacką

Czy Polska wprowadzi obostrzenia w korzystaniu z social mediów przez dzieci? „Politycy boją się tego kroku" – przyznaje w rozmowie z Agatą Szczerbiak prezeska fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa Magdalena Bigaj. „Nigdy na żadnym ze spotkań komisji dzieci i młodzieży nie widziałam Romana Giertycha", dodaje. Objaśnia też, co nie działa w pionierskim systemie Australii, jak się w Polsce sprawdza rugowanie smartfonów ze szkół i czy wszystkim nam przydałby się wirtualny detoks.

„Noce i dnie" ponownie

Saga o rodzie Niechciców ma być kolejną, po „Znachorze" i „Lalce", głośną adaptacją polskiej klasyki w ofercie Netflixa. Czy da się pobić kultową ekranizację Jerzego Antczaka? Na polityka.pl pisze o tym Aneta Kyzioł. Sprawdzona reżyserka (Kamila Tarabura) wróży sukces, ale internet i tak znów zapłonie od porównań. Tekst Anety Kyzioł ukazał się w ramach cyklu „Kulturalnie polecamy i ostrzegamy" – zapraszamy w każdy piątek.

Dobry kostium dobrze leży

Są polskie akcenty oscarowe: Małgosia Turżańska otrzymała nominację za kostiumy do „Hamneta". W podkaście „Kultura na weekend" ujawnia kulisy pracy w Hollywood i opowiada, jak potoczyła się jej kariera. Zaczynała na planie u Agnieszki Holland, choć nie przy garderobie („byłam beznadziejna"), a kamieniem milowym okazał się dla niej serialowy przebój „Stranger Things". Mówi też pasjonująco o tym, jaki kostium jest dobry i czy zawsze musi pasować do epoki, którą oglądamy na ekranie.

© LESZEK ZYCH, PAWEŁ MALECKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, SHUTTERSTOCK, POLFILM/EAST NEWS, WOJCIECH LELIŃSKI

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl f51a944834

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl f51a944834

PODRÓŻE I REJSY
15 LAT
PODRÓŻ Z REJSEM
– I PILOTEM SPECJALISTĄ –
CHINY
• Rejs po Jangcy 5★ •
• Hotele 5★ •
• Wylot z Warszawy •
zeskanuj kod i sprawdź
terminy i ceny
15 DNI / 13 NOCY
ZWIEDZANIE & REJS PO JANGCY
Ilość miejsc ograniczona. Oferta ważna do 20 marca 2026 roku lub wyczerpania miejsc.
Cena zawiera: polskiego pilota, loty, napiwki, opłaty portowe, ubezpieczenie*, pełne wyżywienie, wstępy i wycieczki**, składki UFG i TFP
WIZYTY: PEKIN - SZANGHAJ - YICHANG - RZEKA JANGCY (TAMA TRZECH PRZEŁOMÓW) - CHONGQING - XI'AN - LUOYANG (GROTY DZIESIĘCIU TYSIĘCY BUDDÓW) - KLASZTOR SZAOLIN
WIĘCEJ INFORMACJI:
Telefonicznie: prosimy o podanie kodu: POLITYKA2601
12 345 26 29
Przez internet: podrozeirejsy.pl/chiny
zeskanuj kod i wysłuchaj wideopodcastu
* Statek i hotele w standardzie 5 gwiazdkowym norm lokalnych.
** ŚWIAT KL 65 000 EUR / NNW 15 000 PLN / BP 2 000 PLN (w tym choroby przewlekłe zgodnie z OWU Bezpieczne Podróże zat. Uchwałą Nr 42/Z/2021)
*** Wycieczki według programu zawarte w cenie podstawowej rejsu. Reklamodawcą jest Travelinc Sp.z o.o z siedzibą w Krakowie, ul. Głowackiego 4/11 Kraków, zarejestrowaną przez Sąd Rejonowy dla m. Krakowa, XI Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod numerem KRS 0000400124, wpis do Rejestru Organizatorów Turystyki i PUNPUT nr Z/38/2013. Zabezpieczenie finansowe SIGNAL IDUNA Polska. Oferta na wyłączność Podróże i Rejsy.
Kod: POLITYKA2601
eprasa.pl/01234834